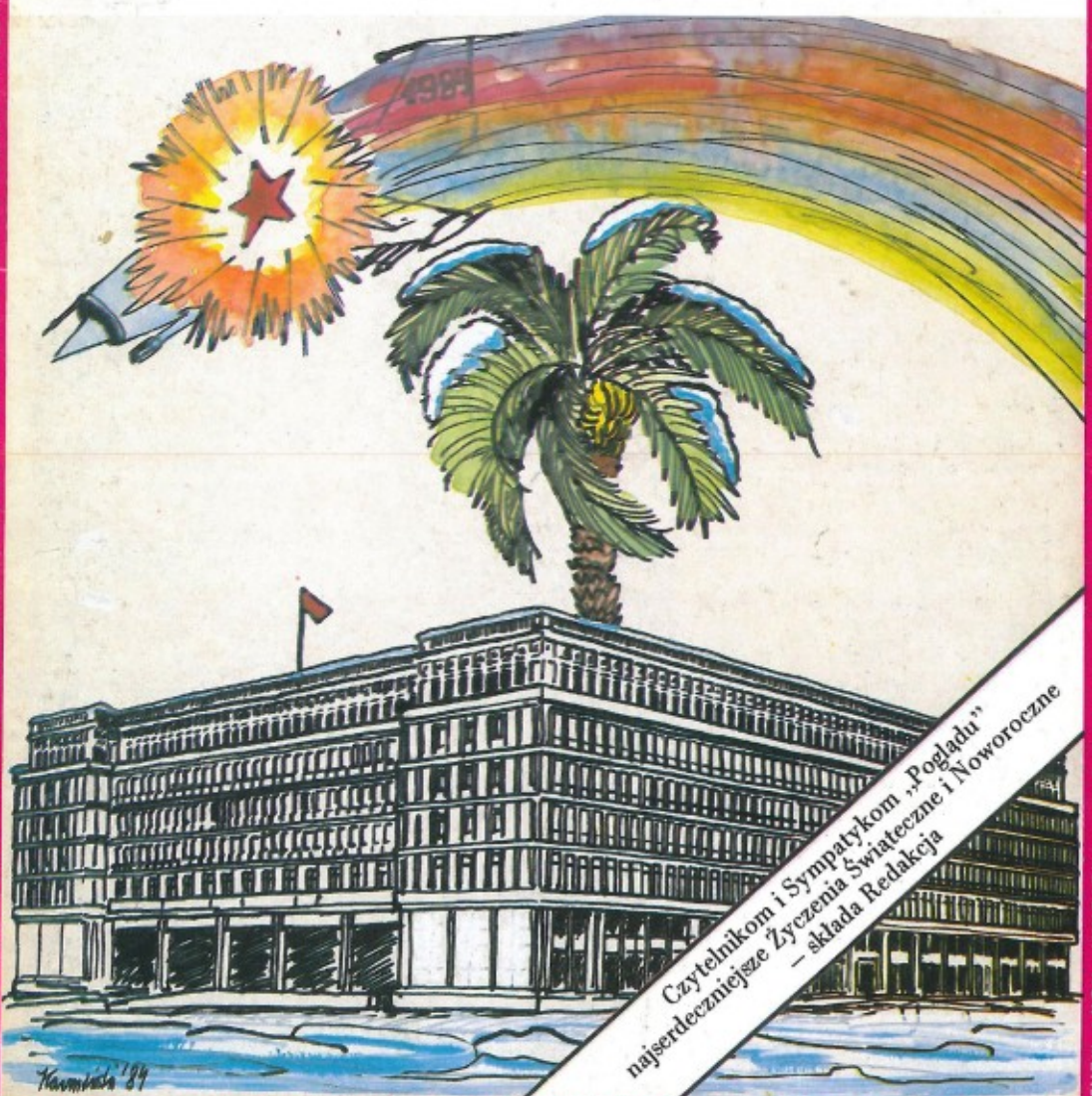


BERLIN • ZURYCH • DORTMUND • WIEN • PARYŻ • LONDYN • SZTOKHOLM • NOWY JORK • BERLIN • ZURYCH •
FRANKFURT • DÜSSELDORF • HAMBURG • MONACHIUM • WIEN • SZTOKHOLM • PARYŻ • LONDYN • NOWY JORK • SYDNEY • PRETORIA • NOWY MEKSYK

• DWUTYGODNIK „TOWARZYSTWA SOLIDARNOSC” •

Poglad

23.12.1984 r. • BERLIN • Rok III Nr 23-24/72-73



Czytelnikom i Sympatykom „Pogladu”
najserdeczniejsze Zyczenia Swiateczne i Noworoczne
— sklada Redakcja

Kawminski '84

BERLIN • ZURYCH • DORTMUND • WIEN • PARYŻ • LONDYN • SZTOKHOLM • NOWY JORK • BERLIN • ZURYCH •
FRANKFURT • DÜSSELDORF • HAMBURG • MONACHIUM • WIEN • SZTOKHOLM • PARYŻ • LONDYN • NOWY JORK • SYDNEY • PRETORIA • NOWY MEKSYK

<i>red</i>	
Jak ludzie...	1
<i>al</i>	
Felietony z wolnej zony	
– Wigilia	2
<i>Grzegorz Ziętkiewicz</i>	
Grudnie	3
<i>Maciej Rybiński</i>	
Prywatne rozmyślenia	10
<i>Jacek Kaczmarski</i>	
Pojednanie	13
<i>„r”</i>	
Solidarność przed stu laty	16
<i>Krystyna Jagiełło</i>	
Czy jesteś sam Ottonie?	18
<i>Szczęśliwa reakcjonistka</i>	
Terra nova	22
<i>Bjoern</i>	
Zupa na kościach	29
<i>Zygmunt Jabłoński</i>	
Autem policyjnym przez Manhattan	35
<i>Jerzy Hoffmann</i>	
Berlin podglądany	38
RECENZJE, OMÓWIENIA, POLEMIKI	42
Rozmowa z katem	47
PORTRETY	
Ksiądz Stanisław Małkowski	48
<i>Adam Lengyel</i>	
Stan wojenny na folwarku zwierzęcym	54
<i>Ottomar Ebert</i>	
Niedzielną opowiadka	58
<i>Krzysztof Sztablewski</i>	
Doktryna Rakowskiego	61
Wspomnienia niebieskiego mundurka	64
NOTATKI	
Kultura i polityka	66
PODGLĄDY	
Świąteczny dodatek satyryczny	69

*UWAGA! Kolejny numer „Poglądu”
ukáže się 20 stycznia 1985 roku.*

Oddano do druku dn. 11.12.1984

Rysunek na okładce – J. Karasiński

interlinie

Roland MISCHKE, współpracownik "Poglądu" oraz redaktor odpowiedzialny niemieckiej mutacji – MEINUNG, otrzymał I Nagrodę w tegorocznym konkursie Rady EWG – "Człowiecza Europa 1984" za pracę "Lebenmüssen im Westen" (Zmuszonym żyć na Zachodzie).

W konkursie, który odbywał się w tym roku pod hasłem "Daj wolności przyszłość", wzięło udział 240 twórców z 14 krajów Europy Zachodniej.

Nagrodzona praca traktuje o trudnościach adaptacyjnych byłych obywateli Niemiec Wschodnich w RFN, prezentuje wnikliwą analizę problemów, z którymi konfrontowane są osoby rozpoczynające swe życie na Zachodzie.

Gratulujemy!

*

Gdzieś u źródeł konkursu Poglądu – "PIERWSZE DNI leżeć musiała zwykła ludzka ciekawość. Jak odebrali inni ów świat, w którym przyszło im żyć, gdy zdecydowali się opuścić Polskę. Jak się urządzili, jak im się wiedzie, czy przeszli drogę podobną do naszej...

Przedstawione dziś prace – przypomnijmy dwie równorzędne nagrody drugie – ową ciekawość (miejmy nadzieję nie tylko nasza) winny zaspokoić.

"Szczęśliwa reakcjonistka"

TERRA NOVA

oraz

Bjoern

ZUPA NA KOŚCIACH

*

"ŚWIĄTECZNA ANTY-REŻYMOWA WYPRAWA KRZYŻOWA"
w "Podglądach" – dodatku świątecznym.
Dla ekstremy, rzecz jasna...

Jak ludzie...

Mówią, że coś wisi w powietrzu. Bo ludzie uciekają jak nigdy. Te historie z „Batorym” czy „Rogalinem” to tylko część prawdy. Z Wrocławia są. Koło trzydziestki. On trochę starszy. Kiedy przycisnąć, kiedy się rozkręci, wyrzuca z siebie wszystko. Jak gdyby się bał, że zapomną o nich. Jest dumny z jego wrocławskiej „Solidarności”. Przyjechali przed paroma miesiącami by zarobić. Podkreśla: *zarobić* a nie *dorobić się*. Po nowym roku? Wzruszają ramionami. Nie, nie wiedzą co będzie, ale coś się szykuje. Przez te trzy lata wyrobili w sobie ten siódmy zmysł. Właściwie to boją się tego; co może się jeszcze wydarzyć. Właściwie przez te parę nadchodzących miesięcy było by lepiej, gdyby pozostało przy starym. Wywiadu Kuronia nie znają. Nie ma znaczenia. Jaruzelski jest słaby – każdy to widzi. Ale z czego się cieszyć. Kto przyjdzie po nim?

Glemp? Ponowne wzruszenie ramion. Tu oceniacie wszystko inaczej. Czy pamiętasz *Testament Prymasa*? Podobno Małkowski dostał „szlaban” jeszcze za Wyszyńskiego. Glemp tylko przypominał. Tak, wiemy. Obaj drepczą w miejscu. I Glemp i Jaruzelski. Że jakby nie postąpili to i tak źle. Ten pierwszy nie jest dyplomatą, a i interes Kościoła do tego, drugi, bo mu się ziemia pod nogami pali. Przegrali. Milicja, bezpieczeństwa. Dali im glejt jeszcze przed trzynastym. Gdzie?... w Bydgoszczy. Ale nie przewidział, że mu się z łap wysuną. Że będzie proces? I co z tego? I tak się nie dowiemy. Generał się broni. Ze strachu. Sam sobie winien. Że są jego cieniem, że są wszędzie. *OAS*? Czytali już w Polsce. Tu dowiedzieli się o innych. O tych dwóch z lubelskiego, o osiemnastoletnim chłopaku z Katowic, którego pobito za frajer. O innym z Lublina, którego znaleźli z przetrąconym karkiem na schodach. Chcesz innych dowodów?

Wyraстая ponad przeciętność. Kontakty z podziemiem. Składki, kolportaż, SW.

Ich histeria to oznaka słabości. Na Niemców, że są rewizjonistami, Amerykanom o Wietnamie, za Nikaraguę, za Salwador. Walki frakcyjne? Stara płyta. Zabawa salonów. Potrzebne Zachodowi. Uspokajają sumienie. Alibi gdy się gada z czerwonym. Liberalowie? W to już u nas nikt nie wierzy. (*Ale tu wierzą*). Zgoda. I znowu wzruszenie ramion. Z Jaruzelskim robią co chcą. Ta wizyta Genschera. Wpuścili w kanał. (*Kto?*). Może Urban... Nie wiedzą. Urban to stary kocur; chadza własnymi drogami. Może i gra na dwie strony. Cwaniak? Nie, chyba nie. Po prostu doświadczony, inteligentny, to mu pomaga. W kraju go nienawidzą i... podziwiają. Za brutalność i szczerłość. Kompleks niższości chyba. Podobno nie należy do partii. Nie złapał się. Pajac? To raczej Jaruzel. Kręcą nim jak chcą. Obie strony. Marionetka. Bez wyjścia. Opiera się na bezpiece. Potrzebna mu tak samo jak Glemp. Żeby był spokojny. Nawet Urban wydaje się być przeciw niemu. Powiedział wprawdzie, że szuka się nadal, ale na siłę, sztucznie – to nie. O przebąkiwanej czystce w bezpiece mówi się coraz to mniej. Nie dają rady. Zakłęty krąg. Partia? Ta istnieje wyłącznie na papierze. I raz jeszcze: że trzeba było rozwiązać, zaraz po trzynastym. Teraz za późno. Żywy trup.

Bez wyjścia.

Kraj w prasie podziemnej



OŚWIADCZENIE REN-u

Rada Edukacji Narodowej uważa za swój obowiązek zająć stanowisko wobec nasilającej się w życiu publicznym naszego kraju kampanii nienawiści, której tragicznym przejawem był bandycki napad na księdza Jerzego Popiełuszkę. Czyn ten, którego dopuścili się pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, budzi odrazę i oburzenie, ale niestety nie może dziwić. Poprzedzony był licznymi napaściami na kapłana, którego odważne występowanie w obronie wartości moralnych i patriotycznych było dla władzy niewygodne. Odwoływano się do kłamstwa i fałszowania przez policję dowodów jego rzekomej winy. W całej prasie przedrukowano oszczerzy i obelżywy artykuł, którego autor przypisywał księdzu Popiełuszcze szerszenie nienawiści. Tymczasem ktokolwiek słuchał wystąpień duszpasterskich księdza Jerzego Popiełuszki, wie, że kapłan ten potępiał nienawiść i wzywał wiernych, by dobrem zwalczała zło.

Tragedia księdza Jerzego Popiełuszki powinna stać się groźnym sygnałem ostrzegawczym. Bezkarne poniewieranie godności ludzkiej, postawa wrogości i pogardy wobec ludzi myślących inaczej, są same w sobie złem moralnym, ponadto zaś powodują skutki dla każdego już dziś widoczne. Walka z tym złem jest obowiązkiem wszystkich, w pierwszym jednak rzędzie nas – wychowawców. Niech postawa księdza Jerzego Popiełuszki stanie się dla nas inspiracją i przykładem.

Podpisano:

Rada Edukacji Narodowej
27 października 1984
KOS, nr 63,
5 listopada 1984

Z oświadczenia Rady Parafialnej Bytych Internowanych i Więźniów Politycznych: (...) Nie naszą sprawą jest karać, ale naszą sprawą jest odróżniać dobro od zła i prawdę od fałszu – jak czynił to ks. Popiełuszko (...) Nie wolno dłużej milczeć nam, katolikom. Kościołów nie buduje się tylko z cegieł – kościoły to wierni. Musimy bronić Kościoła, musimy bronić własnych sumień – musimy mówić! Wielki Prymas kardynał Wyszyński miał odwagę powiedzieć w czasach stalinowskich – gdy chciano z Kościoła uczynić polityczną, prorożymową instytucję – *non possumus*. My musimy powiedzieć teraz – *non possumus* – nie możemy! Nie możemy zgodzić się ze złem i zbrodnią, z kampaniami nienawiści, z dziełem narodu i deprawacją młodzieży wcielanej do ZOMO i Służby Bezpieczeństwa. Nie możemy – *non possumus*, jeżeli chcemy, by Polacy stali się wolnym i suwerennym narodem szanującym godność osoby ludzkiej.

Wola, nr 39 (122),
19 listopada 1984

„JAKBY NIE BYŁO ZWIĄZKU...”
(rozmowy „Woli”)

Wola: Jak możemy się bronić przeciw terrorowi reżymu? I co masz na myśli mówiąc o konkretnej akcji?

Odp.: Dla mnie był to perfidny test. Na ile komuna może sobie pozwolić. I okazało się, że może sobie pozwolić na wiele. Ja czekam – może się w końcu ockniemy. Dokąd będzie nas garstka ludzi zdecydowanych na wszystko, to nic wielkiego nie zrobimy, nie mając jawnego poparcia w zakładzie i na ulicy. Musimy być zdecydowani. A to, co mówią teraz w zachodnich rozgłośniach i w Wolnej Europie, to mydlenie oczu. Nie o frakcje w tym chodzi, tylko o nas, a kto nas je, czy tacy, czy inni, to nie ma znaczenia. Przez te trudne dwa tygodnie chodziłem do kościoła i zwykli księża potrafili powiedzieć to, co czułem. A Prymas Glemp powiedział zachowawcze kazanie. Dobrze, że Lechu chociaż w takiej chwili nie mówił o dialogu. W końcu ludzie nas słuchają i czytają, a Lechu ma mił u ludzi, to nie będzie w pewnych sprawach zdecydowania. I wtedy te zakładane teraz komitety obrony praw i występujące w sprawach praworządności nie zmieniają sytuacji i nie będą mogły nikogo bronić. Możemy tylko mieć znowu więcej więźniów politycznych z tego powodu...

Wola: Więc co można zrobić, żeby prowadzić do tych konkretnych akcji, o których mówites?

Pierwszy raz na Zachodzie. Jak przejechali przez Mur, to wszystko w ką. Cała bibuła, problemy. Przynajmniej na parę miesięcy. Jak ludzie. Świąteczny kicz? Łza w oku? Już zapomniałeś jak wyglądają nasze ulice. Nałykać się. Jak zastrzyk na później. Będzie o czym wspominać. Może i legendą obrośnie. Jak ta księgarnia, gdzie siedzimy pijąc kawę. Tyle bibuły na raz. Robi wrażenie.

Święta? Wyśpimy się. Będziemy leżeć przez dwa dni w łóżku i słuchać tej amerykańskiej dyskoteki. Trochę poczytać.

Czy przyjadą raz jeszcze? Zobaczymy. Nie chcą pozostać w ich pierwszym kraju. Zobaczyć Paryż, do Włoch. Być może następnym razem. Ale wtedy już w jedną stronę.

Tymczasem Święta.

red.

Felietony z wolnej zony

Wigilia

Właśnie zaczynałem już ostrzyć pióro na Kazimierza Mijała, tego enfant terrible polskich komunistów, gdy mój Anioł Stróż postukał znacząco w wiszący nad biurkiem kalendarz. Boże! Święta idą... Do kosza z „marksistowsko-leninowską” odyseją od równin Mazowsza do gór Albanii i z powrotem, tym razem – za kratki.

Święta. Święta Bożego Narodzenia... Czyż wielu z was przypuszczało przed kilku laty, że będziemy je spędzać w tym, rozrzuconym po wszystkich krajach Europy Zachodniej (ba, prawie wszystkich kontynentach), współczesnym hotelu „Lambert”? Że trzeba będzie unieść ze sobą delikatność opłatka i dźwięk kołеды; że wypatrywana na niebie pierwsza gwiazda, będzie gwiazdą obcą?...

Nasze polskie wigilie. Wigilia zesańców, którą widzę po-

przez piękny i smutny obraz Jacka Malezewskiego. Wigilia górników z kopalni „Piast”, przeżyta w najmroczniejszej sztolni roku osiemdziesiątego pierwszego. Wigilie „azylantów”, emigrantów „za chlebem” i wigilie w Słupsku. Tarnowie. Poznań.

Ta radość, jakże czasem bolesna, dzielona słowem nadziei i, na nowo narodzonego, piękna.

Ten blask każdego stołu, który tworzą najbliżsi. Ci obecni ciąłem i ci obecni, tylko i aż, duchem. Nasze polskie wigilie.

Wiem, że Boże Narodzenie to święto pojednania, a jednak coś się tam śmieje we mnie gdy pomyślę, iż dla komunistów, ta nasza radość, jest przeżyciem niedostępnym.

L... (wybacz Aniele Stróżu) dobrze im tak!

AL

Grzegorz Ziętkiewicz



GRUDNIE

Ulice starego miasta przemierzają setki ludzi. Świeci słońce i nie widać prawie turystów. Bo przecież wy nie wyglądacie na żadnych turystów. Obdrapany drewniany parkan zalepiono nowymi plakatami, z których jeden, nawet wielobarwny informuje o jakimś nowym filmie. Nikt nie zwraca uwagi, nikt się niczym nie wyróżnia. Pod murami starego miasta studenci sprzedają kiczowate obrazki i rysunki, z których parę o dość dużych rozmiarach jest okropnie prymitywnymi aktami. Leniwi w okolicy przechodnie przyglądają się powykładanym tu ciekawostkom z zainteresowaniem. Przechodzicie i wy, myśląc o tamtej nocy, nie kojarząc tego miasta i tych ulic z tamtymi wydarzeniami. Od tego czasu upłynęło już przecież tyle dni. I wszystko wróciło do normy. Ten nowy kolorowy plakat o filmie zdążył już nawet przykryć swego biało-czarnego poprzednika. Tamten, zaczynający się od słów: *Dekret o stanie...* poszedł w zapomnienie, bo przecież takie właśnie wrażenie robi wszystko wokół. Ale nie, wy nie przyjechaliście, żeby pamiętać. Przyjechaliście raczej po to, by zapomnieć to, czego zapomnieć się nie da. Przyjechaliście tu, do tego miasta, bo tu wam nic nie może i nie powinno się kojarzyć. Nie było was tu dawno i chociaż rozmowa sama schodzi automatycznie na tematy istniejących w tym mieście choćby niezależnych oficyn wydawniczych, a stąd już tylko krok do dat i wspomnień, to jednak rok wstecz nie było tu was i nie może być wspomnień.

Jest grudzień, początek drugiej dekady – jak mawiają meteorolodzy. Świeci słońce i mimo, że jest czasem dość chłodno, nic nie może przypominać tamtego grudniowego dnia, tamtej nocy pełnej śniegu, lodu parzących z zimna w przeguby kajdaneł i skrzypiącego pod nogami mrozu. Nic nie przypomina białego, przerażającego i zewsząd otaczającego na drutach szronu, który po raz pierwszy dostrzegasz na własne oczy przyciskając głowę do małego, podłużnego otworu, wyciętego w parowarstwowej blasze, otworu, który służyć ma przecież tylko za wentylator. Nic nie może ci przypominać tego niezapomnianego, pierwszego i jakże przecież nieadekwatnego wrażenia, pierwszej myśli: Oświęcim zimą, że tak musiał wyglądać, że tak wyglądał, że tak...

To królewskie miasto z zamkiem na wzgórzu, gdzie dziewczynka zastępując na chwilę matkę myli się na swoją niekorzyść sprzedając wam pocztówkę, musiało być wtedy przykryte tym samym śniegiem. Musieli iść po nim ci sami, podobni do ciebie i do tamtych

Odp.: Nam osobiście brak konceptu. Jest jakiś marazm. Choć i pewne ożywienie po pogrzebie ks. Jerzego, a też i pewien wzór. Na pewno droga nie prowadzi przez działalność tzw. półjawną, o której się dużo mówiło ostatnio. Przynajmniej u nas to się nie uda, bo brak ludzi. Trzeba by ujawnić różne osoby, wysunąć na tapetę, a to niebezpieczne dla roboty konspiracyjnej, tym bardziej, że nowych osób nie ma dużo. Nie wolno nam zaniechać, i ja osobiście nigdy nie zaniecham pracy podziemnej, choć często staje się rutyną.

Woła: Co robi Twój TKZ?

Odp.: Może za bardzo przywykliśmy do tego co robimy i wydaje się nam, że to rutyna i że robimy za mało. A może nie robimy tak mało. Zbieramy składki, choć po wolutku maleje liczba płacących. Na początku to ludzie sami się zgłaszali, teraz tym trudniej, płaci ok. 1/10 załogi. Płacącym składki wypracujemy zasiłek statutowe i losowe, choć zasiłek losowy wypracujemy nieraz tym, którzy nie płacą składek, a sytuacja wymaga, żeby podać im rękę. Informujemy o odczytach i wykładach, ale na to ludzie nie mają czasu.. Zostało nas w TKZ i wokół już niewiele, czasami robimy mniej znaczące rzeczy, po to, żeby w ogóle robotę ciągnąć. Był taki moment, że nosiliśmy się z zamiarem zawieszenia TKZ, ale udało nam się wciągnąć kilka nowych osób, takich co to niczego nie robimy w czasach „Solidarności” i jakoś poszło dalej. No, przede wszystkim, to organizujemy kolportaż. Prasa zresztą nie jest uzależniona od płacenia składek. Mamy w zakładzie „Wolę”, „TM”, choć nie tak często, mało „KOS-a”, a ludzie o niego pytają, wchodzi „Niepodległość”, ale teraz trudniej ją rozpowszechnić, bo chyba biją za dużo piany. Ludzie lepiej chyba cenią gazety, które docierają do nich rzadziej, w „Woli” przede wszystkim czekają na informacje z zakładów oraz na to, co robić dalej. Na książki jest mniejsze zapotrzebowanie. Są drogie jak na dzień dzisiejszy, powinny być tańsze i łatwiej dostępne. Robotnicy mało czytają – tak było, a jeszcze jak książki są drogie – to nie kupują. A TKZ nie stać na fundowanie. Prowadzimy więc bibliotekę, jeszcze od czasów „Solidarności”. Jeśli ktoś chce czytać, to nie ma problemu, żeby książki u nas wypożyczał. Książki różnego typu. Ja osobiście bym nawet dziwiłony, że jak przyszła „Historia” Alberta to mimo ceny wszyscy chcieli to mieć. O innych książkach, to się wszyscy dowiadują, jak ktoś coś przeczyta i pochwali książkę innemu, takie forpocztę. Z tego wszystkiego co powie-

działem wynika, że z formuły związkowej zostało już niewiele. Właściwie to jakby nie, ma związku. To jest działalność grupy opozycyjnej.

*Wola nr 39 (122),
19 listopada 1984*

We Lwowie miejscowe władze podjęły decyzję o likwidacji kwatery tzw. Żelaznej Kompanii na cmentarzu Łyczakowskim, największym zachowanym cmentarzu powstańców listopadowych 1830 r. Zniszczono już 35 spośród 70 grobów tłukąc płyty nagrobne z napisem „Weteranom Wojska Polskiego 1830-1831”. Ich miejsca zajmują groby radzieckich dostojników partyjnych.

*Solidarność Dobrego Ślaska,
nr 1, 29 września 1984*

KAZIMIERZ BRAUN NIE WYJEŻDŻA DO USA

Otrzymał list podpisany „Włóczyński” nawiązujący do informacji podanej w Biuletynie Informacyjnym SW nr 53, jakoby Kazimierz Braun, zdjęty ze stanowiska dyrektora Teatru Współczesnego, miał zamiar udać się do Stanów Zjednoczonych. Autor listu domaga się sprostowania informacji, gdyż, jak twierdzi, „dla władz PRL byłoby na rękę, aby ten człowiek wyjechał z kraju”, jednakże Braun „nie miał i nie ma zamiaru wyjeżdżać do USA”. Ze względu na znaczenie wymienionej postaci dla wrocławskiego życia kulturalnego sprostowanie zamieszczamy.

*Z Dnia na Dzień,
nr 33/335, 30.09-6.10.1984*

NAD CZYM PRACUJĄ... CENZORZY

Najwięcej ingerencji widać w czasopiśmie katolickich (niezależnych od zgrupowań zrzeszonych w PRON). Stała walka toczy się w wydawnictwach. W „Ossolineum” rozsypano gotowy już skład tomiku Lothara Herbsta „Rdza na trąbce” od 1978 roku czekającego na wydanie. Niepewne są losy takich pozycji, jak „Katolicyzm we współczesnym społeczeństwie” czy przygotowywanego przez Jerzego Ficowskiego zbioru anegdot żydowskich „Rodzinki z migdałami”. Przygody spotykają zbiór wierszy Wata, który ma wejść do serii „Biblioteka Narodowa”. W pracy prof. Zakrzewskiego o „Boże, coś Polskę” usunięto tekst innego hymnu – „Boże, coś Rosję”.

*Z Dnia na Dzień,
nr 33/335, 30.09-6.10.1984*



w mundurach ludzie, musiały przecieć co najmniej tak samo parzyć kajdanki. Ale ty nie chcesz o tym nie wiedzieć, ty nie chcesz tego pamiętać, ty wyszedłeś, wyjechałeś, przyjechałeś właśnie do tego starego miasta i ono ma teraz być ładne, spokojne, normalne.

Po ulicach pędzą zagonieni ludzie, gdzieś w kolejce kłócą się o kostkę masła lub parę rajstop. Wy pijecie jednak w tym czasie kawę w „Wierzyńku”, co rujnuje was finansowo, o czym wiecie i z czym się przecieć godzicie. Potem, albo przedtem, idziecie przez ten stary rynek szukać uliczki, która swą nazwę bierze od przepływającej przez to miasto rzeki, wchodzicie po krętych schodach do redakcji „Tygodnika”, gdzie nigdy przedtem i nigdy potem już nie będziecie. Wręczacie jakiemuś nieznanemu sobie redaktorowi, którego nazwisko nic wam w tym miejscu nie mówi, jakieś teksty.

On mówi, że dobrze, że przeczyta, że odpisze. Więc ogarniając jeszcze wzrokiem te malutkie pokoiki tego najbardziej poczytnego w całym kraju pisma wychodzicie i idziecie dalej mówiąc o tekstach, które właśnie oddaliście. Mówicie, że przecieć są one o tym, co było, o tym, co się stało i, że przecieć to niemożliwe, żeby poszły, bo cenzura i w ogóle. Ona pociesza ciebie, że może jednak i tak idziecie dalej patrząc na stare mury. Planty, dwie wieże, tę niższą i wyższą, a z góry, gdzieś spod samego nieba zaczyna dobiegać do was melodia, która każe się jednak uśmiechnąć. Każe stanąć i słuchać w tę kolejną zbliżającą się grudniową noc. Trębacz gra hejnał.

* * *

Wyjedziecie tym oblepionym związkowymi plakatami autobusem za miasto i po przejechaniu około 30 kilometrów zepsuje się on po raz pierwszy. Potem będzie psuć się właściwie już ciągle i będziecie do pewnego momentu żartować, że „Solidarność” z WPK specjalnie dała wam tego trupa. Gdzieś między Bydgoszczą a Świeciem zatrzymacie się w jakiejś dziurawej, umeblowanej w pokryte laminatem stoły knajpcie, by coś przełknąć i tam uświadomisz sobie, że jesteście na szlaku takich, jak wy, jak wy w ten dzień zmierzających w tym samym kierunku. Do knajpy wchodzić będą obwieszeni znaczkami związku inni, nieznani wam ludzie, którym będziecie mówić cześć i potwierdzać nawzajem, że jedziecie w tym samym ce-



lu i kierunku. Na miejsce przybędziecie, gdy będzie już zmierzchać. Miasto pełne będzie mundurowej milicji, która uwija się między setkami podobnych do waszego autobusu i skieruje wasz na jakiś naprędce zaimprovizowany parking na dużym, wyżużlowanym placu. Będzie on położony dosyć daleko od miejsca – celu waszej podróży i narzekając na takie jego położenie, będziecie czym prędzej, prawie biegiem zdążyli do tego samego celu.

Jest was około trzydziestu. Masz przecież nawet wykonane w autobusie fotografie i mógłbyś policzyć. Mógłbyś też powiedzieć, co każdy z was dzisiaj robi i w jakiej części świata mieszka. Mógłbyś powiedzieć, ile każdy z was siedział, a kto nie siedział jednak, kto wreszcie okazał się wtyczką tamtej strony, jeśli nie co najmniej dziwnym człowiekiem. Na tych zdjęciach jedziecie jednak wszyscy razem: poeta i maszynista, behapowiec i ojciec zakonnik, inżynier elektryk i ty.

Na placu, który w rzeczywistości okazał się być pętlą tramwajową – o czym nie miałeś zresztą pojęcia – stoją już tłumy ludzi. Ciemność rozjaśniają dwa reflektory, które ustawione u wylotu wychodzących na plac ulic świecą w górę silnym niebieskim światłem. Jednak głównym oświetlonym punktem tego placu, punktem, w którego stronę skierowani są wszyscy zgromadzeni, są trzy wysokie krzyże, strzeliście wyrastające ku górze, tak, że musicie zdrzeć ku nim głowy. Krzyże, na których zwieńczeniu wiszą trzy wielkie kotwice. I mimo, że wiedziałeś, mimo że czytałeś, mimo to zadajesz sobie pytanie, kiedy zdążyli to zrobić, jak zdążyli go zbudować.

Będziesz próbował zapamiętać wypisany obok na murze cytat, będący tłumaczeniem Biblii. Będziesz chodził i oglądał, i może pomyślisz, że jak powiedział ten mały człowiek o śmiesznym na początku dla wielu nazwisku, za rok spotkacie się tu znowu.

Gdzieś dobrze po północy budzi cię swymi rozkopanymi i dziurawymi ulicami Słupsk, gdzie w dworcowym barze-restauracji postanowiliście coś znowu zjeść. Zaspane, brudne, jakby w łachmany poubierane twarze tamtejszych podróżnych, może bardziej bezdomnych, niż wybierających się w jakokolwiek podróż. Zjedliście zrazy mielone albo może klopsy nadziewane i ty poczułeś, że wszyscy ONI przyglądają się wam, jakbyście spadli tu z innej planety. Tu była tylko kolejna noc tego kolejnego kraju na wschodzie wielkiego świata, który dawno o tej swej części zapomniał, jeśli nawet kiedyś przez chwilę wiedział o jej istnieniu. Patrzyli na was obwieszonych znaczkami w czerwone, stylizowane napisy, jakieś niepojętej i obcej

Kraj w prasie zachodniej



4 grudnia 1984

Jak podała za ministrem finansów, Nieckarzem, *Frankfurter Allgemeine Zeitung* w końcu br. długi PRL w stosunku do Zachodu wzrosną do 30 mld dolarów, zaś w stosunku do wierzycieli z Bloku Wschodniego do 5,3 mld rubli transferowych.

**MAFJNYCH METOD...
CIĄG DALSZY**

Neue Zuercher Zeitung pisząc o tajemniczej śmierci dwóch wyższych funkcjonariuszy MSW, płk. Trafalskiego i mjr. Piątka, prowadzących śledztwo w sprawie zabójstwa ks. Popiełuszki uważa, że wypadek ten jest jakby żywcem „zapożyczony z francuskiego filmu kryminalnego średniej klasy”. Nie można wykluczyć, że wypadek ten jest skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Rzecz w tym jednak, że nikt w to nie wierzy. „Jeszcze jedno przestępstwo lub kolejne ustępstwo Jaruzelskiego wobec tzw. „betonu” może spowodować wyczerpanie się cierpliwości i przelanie się przystawowego dzbana, i nic nie pomogą już apele Głępa o spokój.” – przypuszcza wiedeński korespondent szwajcarskiego dziennika.

Śmierć Stanisława Chaca w dniu 22 października (patrz *Pogląd* 22/71) nastąpiła – jak informują kręgi służby zdrowia w Lublinie – wskutek uszkodzeń czaszki wywołanych uderzeniami lub też upadkiem. Chaca znaleziono nieprzytomnego w bramie własnego domu. Zmarł on po pięciu dniach pobytu w szpitalu. Lekarz oświadczył, że obdukcja nie wykazała śladów tortur,

we krwi zabitego przez „nieznanych sprawców” nie znaleziono również alkoholu.

St. Chac był przewodniczącym „Solidarności” Zakładów Samochodowych w Lublinie.

* * *

Prasa niemiecka przekazuje oficjalne dane wyników obdukcji zwłok ks. Popiełuszki, które znacznie różnią się od wiadomości otrzymanych z kręgu rodziny ks. Jerzego. W oficjalnym sprawozdaniu mówi się, że przyczyną śmierci było uduszenie w wyniku zakneblowania ust oraz założenia wokół szyi sznura; nie stwierdzono złamań kości, wiadomo jednak, że jedno z żeber ks. Popiełuszki było złamane, że tył głowy został oskalpowany, a na ciele widoczne były ślady wielu uderzeń.

5 grudnia

GENEWSKI RAPORT

Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża ogłosił w Genewie zakończenie swojej misji w Polsce, pierwszym kraju Bloku Wschodniego, w którym działali przedstawiciele tego Komitetu. Udało im się odwiedzić 4 851 internowanych. Z 499 wniosków złożonych przez Czerwony Krzyż o zwolnienie z internowania z powodu złego stanu zdrowia, tylko w 296 wypadkach władze przychyliły się do wniosku, nie pozwalając jednak, aby przedstawiciele Czerwonego Krzyża odwiedzili więźniów politycznych, prawomocnie skazanych, lub znajdujących się jeszcze w areszcie śledczym.

8 grudnia

Niemieckie dzienniki podają, że jeden z członków TKK, Eugeniusz Szumiejko (38 l.), zrezygnował z działalności konspiracyjnej. Według informacji Polskiej Agencji Prasowej złożył on oświadczenie o swojej dotychczasowej pracy podziemnej oraz podpisał zapewnienie, iż nie zamierza kontynuować działalności „niezgodnej z obowiązującym w PRL prawem”. Na podstawie amnestii z 22 lipca br. Szumiejko został zwolniony. Wobec dziennikarzy oświadczył on, iż powodem decyzji były sprawy prywatne – jego żona oczekuje trzeciego dziecka.

Z listu, który kręgi podziemnej „Solidarności” udostępniły zachodnim korespondentom wynika, że również Zbigniew Janas, członek przywództwa warszawskiej „Solidarności” z przyczyn osobistych, zamie-



idei, tu, gdzie nic nie mogło się wydarzyć i nikt na nic nie czekał. Mogłeś może kiedyś potem pomyśleć, że to miasto nie jest przecież ani małe, ani tak prowincjonalne, że przecież byłeś później w mniejszych i bardziej niż ono beznadziejnych. Mogłeś myśleć, że ta noc, ta zewnętrzność niczego nie oznacza, że ci ludzie-nieludzie też w gruncie rzeczy nic nie oznaczają, że są, siedzą, stoją czy leżą przecież wszędzie i w towarzystwie, i nie w twoich miastach. Nie myślałeś. Wsiadłeś w autobus i po wypaleniu papierosa wytoczył się on z powrotem na w miarę równą szosę, by po chwili pogрузić was w ciemnościach tej grudniowej, beznieżnej nocy.

* * *

Ranek tego dnia, jak inne przed nim, nie zapowiadał niczego, prócz przewidzianych dniem poprzednim zajęć, więc wstałeś, jak ci za ścianami: nad tobą i obok ciebie. Potem może zjadłeś śniadanie, wyciągnąłeś pękające od starości kozaki, zieloną kurtkę, którą nosi teraz któryś z tych wyrośniętych chłopaków z tej niby zadbanej polskiej wioski. Zbiegłeś na dół po schodach nie zaglądając do skrzynki na listy, bo przecież czas zaglądania do niej dopiero miał przyjść i to o wiele, wiele później, i poszedłeś brodząc nogami w białym, puszystym śniegu, którego nikt nie odgarniał, bo i po co, skoro może stopnieje, na przystanek tramwajowy. Po drodze minąłeś pusty od towarów SAM spożywczy, o którym spotkany tam parę tygodni wcześniej znajomy, który właśnie wrócił z dalekiej Ameryki, miał powiedzieć, robiąc charakterystyczne oko – co tu się stało, o co tu chodzi. Odpowiedziałeś wtedy, że przecież widać i nie wyobrażając sobie nawet rzeczy tak przecież niewyobrażalnej, jak tego typu sklep tam, w tej Ameryce, poszedłeś dalej w swoją stronę.

Tramwajem dojechałeś do głównego skrzyżowania miasta – ronda trzech nazw, gdzie po prawej stronie piętrzył się wybudowany jeszcze za Gomułki orbisowski hotel, a dalej koło kina szło się do budynku Zarządu Regionu. Przeszedłeś więc koło hotelu, przez ulicę, koło fryzjera i sklepu z zabawkami, gdzie mogły już wisieć gwiazdkowe dekoracje, odebrałeś na dole klucz i wspiąłeś się na to wasze wysokie, czwarte prasowe piętro.

Z napływających teleksów wynikało, że tu i tu i jeszcze tu w nocy i nad ranem zauważono ruchy wojsk, ale były to wojska twego ojczystego kraju i nie wywołało to u ciebie żadnych skojarzeń. Wobec napływających w ciągu dnia dalszych tego typu informacji i alarmów z różnych regionalnych komisji, zszedłeś na dół, o jedno piętro niżej i dowiedziałeś się od pełniącego tam funkcję

sekretarza zarządu, znanego niezależnego plastyka, który wiele razy powtarzał już wzbudzając ogólną wesołość wtajemniczonych, że rzuci to wszystko w jasną cholerę i zajmie się wreszcie plastycyzmem, więc dowiedziałeś się od niego, że tego typu informacje, pojawiały się już parokrotnie i cóż może z tego wynikać.

Dzień toczył się po prostu. Nikt nie powiedział niczego, co miałbyś potem zapamiętać, nikt nie przyszedł z nową sensacją lub wspaniałym pomysłem. Za oknami sypał śnieg i ty myślałeś już o tym, co będziesz robił następnego dnia, co napiszesz do następnego numeru i, czy Michał przywiezie wreszcie ostatni, wydrukowany już podobno numer. Mógłbyś teraz zadać sobie pytanie, w którym to kraju świata, czy może tylko Europy mieszka Michał, którego miałeś spotkać potem tylko jeszcze raz przed kasami wojewódzkiego Pewexu, gdzie wymowałeś szeleszczące papierki, które jakimś cudem wpłynęły na twoje konto z tamtej strony świata. Mógłbyś teraz zrobić wykaz miejsc tych i innych imion, które następnego dnia pojechały w tym samym, co ty kierunku, a później, jeszcze później pakowały i sprzedawały to, co zostało.

Wieczorem usiadłeś przy biurku, które stało przy oknie z widokiem wypadającym między oknami i hen, tam, gdzie za miastem bieleł się komin elektrociepłowni i zielona szarość dalekich lasów. Było biało, na biurku paliła się lampa i ty urwałeś pisanie tekstu w połowie zdania, by nazajutrz zapamiętać to, co chciałeś dalej powiedzieć, by dokończyć.

Spotkałeś tego plastyka jako pierwszego. To uświadomiło ci, że nie jesteś sam, że nie chodzi tylko o ciebie, że to może lepiej, a może gorzej. Niczego więcej nie mogło ci to uświadomić. Ktoś powiedział ci później; wszystko więc dzieli się na to, co było wcześniej i na to, co było, będzie później; więc ktoś z jego przyjaciół, a może tylko znajomych powiedział ci, że on był pijany. Był po prostu pijany, bo pił tego dnia, tego dnia poprzedniego wieczorem i tego dnia... to jeszcze nie wytrzeźwiał, bo było to fizyczną niemożliwością. Zastanawiałeś się, czy on może wiedzieć to, że ty siedzisz na tej ławce, tego korytarza, tego budynku, gdzie na dole wydają normalnym ludziom paszporty, że twoje ręce skrepuwane są kajdankami. Że ty tu siedzisz, kiedy on wychodzi w towarzystwie mundurowego funkcjonariusza. Chciałeś w tym ułamku sekundy pokazać mu ten niebywały dla ciebie skandal, że ty siedzisz w kajdankach, ale strach, zwykły strach kazał ci siedzieć nadal. Strach, który mówił, że mogą ci zrobić wszystko, mogą, jeśli może coś powiesz, cokolwiek, albo może, kiedy coś pokażesz, cokolwiek — na przykład te właśnie kajdanki. Więc on, pijany — jak można być w takim momencie pijany, przecież działa się historia, działa się w was i w NICH, a on pijany, po prostu pijany, więc on wyszedł wraz z tamtym na dół po tych samych schodach, po których ty z innymi, innymi weszliście przed chwilą tu do góry, by później też zejść tą samą drogą do tej samej, kolejnej budy-suki, którą po tej samej drodze do tego samego miejsca... odośobnienia.

Nikt ci nie powiedział niczego, nikt ci nie odpowiedział na zadawane przez ciebie nieśmiało pytania, nikt ci nie kazał uświadamiać sobie dziejowej chwili i wydarzeń, więc nie czułeś i nie wyobrażałeś sobie, bo niby skąd i dlaczego. Ulicą przejechał tramwaj, dzwoniąc kołami na zakręcie, generała odwodzili już raz z taśmy na antenie radia i ty wolałeś po prostu nie myśleć — jakbyś to może kiedyś tak nazwał. Dni, mundury o nowym dla ciebie kolorze, nowe pomieszczenia i ten wniosek, to zdanie — więc to tak wygląda, to teraz już wiem, przyszedł później, w następne dni, tygodnie...

rza zrezygnować z działalności w konspiracji.

NOWA „WOJNA KRZYŻY”

W komunikacie na zakończenie konferencji polskich biskupów, która odbyła się na Jasnej Górze, poddano ostrej krytyce „prowokacje” w stosunku do Kościoła. Biskupi wyrażają obawy wobec faktu, że obecnie „ze szkół i miejsc pracy usuwa się krzyże”.

9/10 grudnia

Niedziele i poniedziałkowe wydania prasy niemieckiej informują obszernie o zaostrzeniu się konfliktu między Kościołem a PZPR. Jako prowokację określili biskupi polscy decyzję władz z 1 grudnia br. o usunięciu krzyży w jednej ze szkół zawodowych w miejscowości Włoszczowa (Polska p.d.). „Wojna o krzyże” rozpoczęła się, gdy uczniowie zdecydowali się na zajęcie budynku szkoły, traktując ten akt jako protest przeciw polityce władz oświatowych.

Miejscowość Włoszczowa zamknięta została przez milicję i służbę bezpieczeństwa dla dziennikarzy zachodnich, którzy — jak oświadczone — swą obecnością mogliby zaostrzyć i tak napiętą sytuację. Wielu z nich poddano wielogodzinnym przesłuchaniom.

Frankfurter Allgemeine Zeitung w korespondencji z Warszawy wspomina obszernie o reakcji oficjalnych środków masowego przekazu. I tak organ partii województwa kieleckiego *Słowo Ludu* przynosi obszerne informacje na ten temat podkreślając, iż decyzja o usuwaniu krzyży zgodna jest z obowiązującym prawem. Jej podstawą jest przepis prawny z 14 czerwca 1961 r. o rozdziale Kościoła od państwa.

Wg *Słowa Ludu* ilość uczniów uczęszczających do szkoły wynosi 700, z czego 300 bierze udział w strajku okupacyjnym. Godnym ubolewania faktem jest — pismo kielecki dziennik — jak niewielki wpływ na młodzież posiada ZSMP.

Agencja prasowa AP cytuje obszerne fragmenty wspomnianego wcześniej Listu Pasterskiego, w którym biskupi domagają się raz jeszcze „usunięcia mechanizmów, które doprowadziły do zamordowania ks. Popiełuszki. /.../ Polska i cały świat nie uspokoiły się jeszcze po tym bezprecedensowym morderstwie.” „Odpowiedzialnym czynnikiem zarzuca się wzniecanie napięć i niepokoїв w kraju.” „Stanowiskiem narodu jest” — czytamy na zakończenie

- „by krzyże pozostały w szkołach i zakładach pracy.”

SB ZDJEŁO DRUKARNIE „TYGODNIKA MAZOWSZE”

Według informacji napływających z Warszawy SB odkryło drukarnie *Tygodnika Mazowsze*, znajdującą się w piwnicy domu jednorodzinnego. Aresztowano dwie osoby.

W Szczecinie prokuratura wszczęła dochodzenie przeciwko współzałożycielom miejscowego Komitetu Obrony Praworządności, Edmundowi Bałuce i Janowi Kosteckiemu. Podobne komitety założono w Warszawie, Wrocławiu i Krakowie. Bałuka i Kostecki zorganizowali akcję ulotkową, zaś *PAP* określiła treść ulotek jako zniesławiającą rząd PRL.

LIS I MIERZEJEWSKI

wolni po sześciomiesięcznym pobycie w areszcie śledczym. Agencje prasowe przypominają, że Lisowi – zgodnie z obowiązującym w PRL prawem karnym – za popełnione przestępstwa groziła kara śmierci. Lis i Mierzejewski aresztowani zostali 10 czerwca br. w Gdańsku. Lech Wałęsa powiatał z zadowoleniem fakt uwolnienia działaczy „Solidarności”, podkreślając jednocześnie ich niewinność.

RADYKALNI KSIĘŻA

– taktyczny Prymas – to tytuł korespondencji z Polski redaktora *Sueddeutsche Zeitung* – Josefa Riedmilla. Obok portretu Żoliborza i jego robotniczych tradycji, roli kościoła św. Stanisława Kostki – Riedmiller prezentuje interesującą analizę roli Kościoła jako mecenasa i obrońcy wolnej kultury polskiej po zamachu z 13 grudnia '81 roku. „Wielu, (z twórców), którzy stracili swe miejsca pracy i zarobki, byli w stanie przeżyć wyłącznie dzięki pomocy Kościoła, który stworzył możliwości pracy” – pisze dziennikarz *SZ*. „Prasa kościelna, w wielu przypadkach zaopatrywana z Zachodu w papier oraz maszyny osiąga nakład 1,5 miliona egzemplarzy. Dopiero od czerwca wznowiono wydawanie *Cztergłędu Katolickiego* – organu diecezji warszawskiej. PK założony został w roku 1863 – roku powstania przeciwko carskiej władzy.”

Wydawnictwa katolickie dają możliwość publikacji wielu pisarzom i dziennikarzom. Władze PRL zdają się nie tolerować – pisze *SZ* – odro-

żenia się „Latających Uniwersytetów”, których działalność popierana przez Kościół stoi na pograniczu nielegalności.

Ten sam dziennik określa sytuację Glempa jako trudną, jest on bowiem skazany jest na karkołomną ekwilibrystykę między oczekiwaniami rządu a narodu. Czasami traci jednak równowagę i obydwu stronom następuje na palce. Tak było m.in. w lipcu br. podczas pobytu w RFN. Glemp celebrował wówczas mszę świętą w obecności – znienawidzonych w Polsce – Niemieckich Rycerzy Krzyżowych. Wystąpienie w Częstochowie, rozumiane jako próba załagodzenia napiętej sytuacji między Kościołem a państwem nie przyniosło Glemptowi oczekiwanej poprawy. *SZ* przypomina, że Jaruzelski odwołał mające się odbyć we wrześniu spotkanie z głową Kościoła w Polsce. Co narodowi nie mogło się podobać – pisze dalej dziennik – to fakt, że Prymas Glemp w dzień podania informacji o uprowadzeniu ks. Popiełuszki wybrał się w podróż do Berlina Wschodniego. „Mord na ks. Popiełuszcze grozi zerwaniem tej delikatnej nitki, jaka wiązała racje państwa i Kościoła. Wśród 22 tysięcy duchownych wzrasta polityczny radykalizm oraz gotowość do męczeństwa, a także przekonanie że Prymas winien inaczej postępować, by zapobiec gorszemu.”

Nowe kłopoty Prymasa

związane są z niejasnym losem Kościelnej Fundacji Rolniczej. Odpowiednia umowa z rządem jest wprawdzie gotowa, ale termin podpisania jeszcze nie znany. Także wysokość zachodnich kredytów – początkowo 5 mld marek – jest mało prawdopodobna. „Można będzie mówić o szczęściu, jeżeli uda się otrzymać 1/5 wspomnianej sumy” – pisze *SZ*. Także i podział wchodzących w grę sum, musi budzić niepokój. Wydziałek polityczny posiada decyzja, że tzw. „projekty pilotowe” uzyskają wsparcie finansowe, a więc prywatne przedsiębiorstwa rolnicze, które i tak są rentowne. Zamierzeniem Glempa było, aby ową pomoc otrzymały także małe gospodarstwa rolnicze, obejmujące swym zasięgiem blisko 75 % powierzchni uprawnej. Kościół liczyć się musi – pisze *SZ* – z odruchami niezadowolnienia ze strony części polskich rolników.

Niezdołna do...
przewodzenia

partia – to przeświadczenie ogółu Polaków. „Jaruzelski pozostaje

wprawdzie I sekretarzem, ale opiera się przede wszystkim na armii i milicji” – uzasadnia zachodniemiecki dziennik *SZ*. Wizyty Jaruzelskiego w Sofii, Berlinie Wschodnim, Budapeszcie i Moskwie – nie w mundurze, a po „cywilnemu” dają jednak podstawy do przypuszczeń, iż niemożliwość przywódca jednego z krajów Bloku Wschodniego jest mile widziany, niż generał.

Jaką przyszłość ma przed sobą socjalizm w wojskowym wydaniu, daje się prześledzić na przykładzie sowieckiego marszałka Ogarkowa, który zwolniony został z obowiązków 9 września br. Zdaniem *SZ* jest to niewątpliwie rodzaj kary (Ogarkow jest obecnie dowódcą sowieckich sił okupacyjnych w Niemczech Wschodnich), a nie degradacja. Jeżeli Moskwa odrzuca na własnym podwórku skłonności bonapartyzyczne, zapytać należy, dlaczego toleruje je w Warszawie – pisze autor korespondencji. By przetrwać politycznie, obydwaj generałowie (Kiszczak i Jaruzelski) mają dziś wiele do zrobienia, a mianowicie powinni wyjaśnić „sprawę ks. Popiełuszki” – kończy J. Riedmiller.

Kraj w prasie PRL



Jak karkołomne mogą być sprawy prokuratora oskarżeń, tym razem o wyzywanie do przywrócenia Niemcom Gdańska, uświadomienia publikowany na łamach dziennika rządowego *Rzeczpospolita* (13.11.1984) artykuł zatytułowany *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie...* Niepodpisany z nazwiska reżymowy dziennikarz sugeruje znanemu w całym kraju, a i poza jego granicami ks. Henrykowi Jankowskiemu nawoływanie – właśnie poprzez tytułową pieśń – do powrotu Gdańska do Niemiec. Pytając: *Czyżby Gdańsk nie był częścią prastarych ziem pol-*

skich? dziennikarz wyjaśnia, że *kazanie ks. Jankowskiego współbrzmia z innymi głosami i innymi poglądami, bo również w RFN rozległy się wołania o wolną ojczyznę*. A tak poza tym, to przecież *ks. Jankowski czerpie pełną garścią z pieniędzy nadestanych z RFN*. W dalszej części artykułu następuje szereg cytatów wypowiedzi działacza Ziomkostwa Wschodnoniemieckiego, *Ziomkostwa Prus Wschodnich i Ziomkostwa Pomorzan*, które mają uświadomić czytelnikowi, że *ks. Jankowski jest po prostu zdrajcą*. Bo choć nie otrzymał jeszcze medalu Prus Wschodnich, to *wyraża także do wolnej ojczyzny i za to otrzymał odznaczenie z Londynu*. PRL-owski dziennikarz pouczając w końcówce artykułu, jak winno brzmieć zakończenie tytułowej pieśni, pisze, że *cała ta rodzem z ducha Targowicy historia przywołuje pytanie o moralność i godność Polaka, bez względu na to, w jaką suknię jest ubrany*. O godności komunistycznych pismaków wręcz trudno w ogóle mówić.

Nienawiść w Polsce rozsiewają księża. *Skąd my to znamy?* - pyta *Trybuna Ludu* z dnia 14.11. br. w artykule zatytułowanym *Nienawiści ciąg dalszy* i odpowiada, że krytykując postępowania komunistycznych władców PRL księża postępują tak samo, jak... biskupi okresu Adolfa Hitlera. *Szukam - pisze kolejny anonimowy dziennikarz Trybuny - w pamięci faktów z przeszłości, kiedy to duchowni także gloryfikowali „walkę z komunizmem” nie bacząc na to, czy postępują godnie, uczciwie*. W tej to pojemnej jak widać pamięci dziennikarz organu KC PZPR znajduje długie cytaty. Pochożą one z *Listu pasterskiego biskupów połowych Wehrmachtu z 1941 roku, z Modlitwy błagalnej opracowanej przez wrocławską kurię biskupią w roku 1942 i wreszcie z listu pasterskiego biskupów niemieckich zabranych w Fuldzie w 1941 roku*. Dalej przypomina się czytelnikowi ilu to polskich księży zamordowali hitlerowcy, by wyciągnąć prosty na zakończenie wniosek: *Dwóch warszawskich księży [...] nawiązuje do historii strasznej, do idei nie tylko antykomunistycznych, ale antypolskich i antyludzkich*. Tym oto prostym sposobem gazeta usiłuje wzmocnić czytelnikowi, że kto krytykuje komunizm staje po stronie hitlerizmu. Nie pierwszy to przypadek w ten „wymyślony” sposób oczerniania cenionych przez naród polski kapłanów. Czy oczekiwać należy dalszych rewelacji?

Wokół morderstwa dokonanego na ks. Popiełuszce narastają dalsze reakcje władców PRL-u. I tak to na łamach dziennika *Rzeczpospolita* (10-11.11.84) znajdujemy *List Protestacyjny Dyrekcji PLL „LOT”*. Czytamy w nim, iż umieszczenie emblematu „LOT” na transparentie z napisem „Solidarność” podczas pogrzebu ks. Popiełuszki jest zdaniem dyrekcji *zwyczajną prowokacją polityczną, godzącą w uczucia wszystkich uczciwych ludzi*. Czego to nie zrobi prawomyślna dyrekcja, by nie być tylko posadzoną o choćby cieni sympatii do cieszącego się poparciem zdecydowanej większości społeczeństwa Związku. Transparent tegoż z *intencjami naszego przedsiębiorstwa nie ma nic wspólnego*.

Również w dziedzinie podawanych przez rzecznika rządu Urbana informacji, jak widać nawet z łamów oficjalnej prasy, panuje szalony bałagan. Oto bowiem *Rzeczpospolita* z 15.11.br. przynosi *Sprostowania rzecznika...*, w którym wyjaśnia on, iż *powiedziałem, że sprawcy zabójstwa ks. Popiełuszki w czasie podróży mającej na celu porwanie byli w Urzędzie Wojewódzkim w Bydgoszczy. [...] Uściłm, że chodziło o WUSW, a nie urząd podlegający wojewodzie*. Radzilibyśmy więc panu rzecznikowi - jak kłamać, to mądrzej.

Tematowi kłopotów z benzyną poświęcił tygodnik *Polityka* kilka artykułów (nr z 17.11.br). W jednym z nich, zytułowanym *Benzyna z mandatem*, czytamy podawane w zupełnie poważnym tonie informacje o zabiegach, których celem ma być walka z nielegalnym handlem tym produktem. *Dyrekcja CPN zakupiła agentom nożyczki i tytułem próby zaleciła im wycinać kupony*. Jak zakończył się ten eksperyment nie wiemy, wiemy natomiast, że: *Oszustwa najczęściej wytapują specjalnie utworzone przy okręgowych dyrekcjach CPN komórki rozliczeń, których pracowników wyposażono w lupki (podkr. nasze) oraz przeszkolono w wychwytywaniu fałszywych kuponów*. Lupki więc już są, a tymczasem na wielu stacjach, jak czytamy dalej *zamiast dystrybutorów używa się włader*. Wot, wyższość socjalizmu...

Św. pamięci ks. Jerzemu Popiełuszce zarzucono swego czasu nadużywanie wolności sumienia. Tymczasem *Zachód nadal nadużywa wolności informacji* - pisze w tak zatytułowanym artykule *Trybuna Ludu* (5.11.br). Na czym owo nadużywanie może w ogóle polegać gazeta nie wyjaśnia, cytując jedynie wystąpienie na forum ONZ przedstawiciela PRL-u, który *zwrócił uwagę, iż poważnym problemem w stosunkach między Wschodem i Zachodem pozostaje nadużywanie wolności informacji*. Dalej powiedział on, iż *kwestie położenia kresu tym negatywnym zjawiskom powinny być przedmiotem poważnego międzynarodowego dialogu [...] z myślą o zaprzestaniu nielegalnych działań*. Jak łatwo się domyślić - „nielegalnym działaniem” jest pisanie np. o Polsce tego, co zakazane jest przez rządzących komunistów. Bo to, co pisze *Trybuna Ludu* nie jest przecież „negatywnym zjawiskiem”. Czym więc jest?

W. Jaruzelski wręczył nominację - informuje *Rzeczpospolita* w numerze z dnia 13.11.br. o nominacjach nowych członków Narodowej Rady Kultury. Jak pisze rządowy dziennik *ma to na celu uzupełnienie składu Rady o przedstawicieli wszystkich stowarzyszeń twórczych i środowisk artystycznych oraz społecznych działaczy upowszechniania kultury*. Listę nowo mianowanych „przedstawicieli stowarzyszeń twórczych” otwiera *Anatol Adamski - prezes Związku Ochotniczych Straży Pożarnych*. Zaraz za nim dalsi działacze: *Halina Auderska i Roman Bratny*. Życzymy powodzenia w upowszechnianiu kultury w... remizach strażackich.

Nakładem Księgarni „Libella” w Paryżu ukazała się książka

**Ks. JERZY POPIEŁUSZKO
„KAZANIA PATRIOTYCZNE”**
Msze święte w intencji Ojczyzny w czasie stanu wojennego w Polsce
Styczeń 1982 - Sierpień 1984.

Cena: F. 95,00

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris (France)
Książki wysyłamy na cały świat.

Prywatne rozmyślenia

1.

Jeden ze znajomych niemieckich podsunął mi książkę Wolfganga Leonharda „Zmrok na Kremlu” z podtytułem „Jak powinna wyglądać nowa polityka wschodnia”, zachęcając iż my, Polacy, możemy się z tego dzieła dowiedzieć, jakie są możliwości przemian w Sowietach i jaka wobec tego czeka nas przyszłość. Czytałem tę grubą – 320 stron – księgę z rosnącym zniecierpliwieniem, już od pierwszych stron świadom, iż mam przed sobą kolejną pracę jednonogiego teoretyka skoku o tyczce. Prac takich wydano setki, a na ich nieudolności odciskały się nieodmiennie próby uporządkowania rzeczywistości sowieckiej za pomocą obcej jej logiki politycznej i ekonomicznej rodem z sytego, pacyfistycznego, demokratycznego i liberalnego Zachodu. Toż samo czyni Leonhard, z troską dostrzegając niewydolność sowieckiego systemu gospodarczego i tę samą troskę przypisując kierownikom tego systemu, szkicując następnie sześć możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji wewnętrznej ZSRR – od modernizacji zarządzania gospodarką wedle modelu polskiej reformy, poprzez rodzaj koalicji partyjnej elity władzy z „prywatną inicjatywą” i reprivatyzacją produkcji; poprzez liberalizację dokonaną przez pokolenie wychowane na XX zjeździe i destalinizacji; poprzez przejęcie władzy przez rosyjskich nacjonalistów – w rodzaju Sołżenicyna, odrzucających zarówno komunizm, jak i demokrację; poprzez ponowną stalinizację, czystki i masowe prześladowania – aż po dyktaturę wojskową, do której próbą generalną miałby być pucz Jaruzelskiego.

Są to wszystko rozważania tak samo uprawnione, jak twierdzenie profesora historii na Uniwersytecie Jagiellońskim, Aleksandra Krawczuka, który obliczył, iż najdłuższy czas trwania każdego imperium wynosi 210 lat – po siedmiu pokoleniach elita władzy degeneruje się i następuje rozpad, bądź przynajmniej rewolucyjne przemiany zmieniające dotychczasowy charakter imperium. Podoba mi się ta teoria, ponieważ przynajmniej memu pokoleniu nie pozostawia wielkich złudzeń.

Leonhard zapomniał o jeszcze jednej możliwości, o scenariuszu upadku potęgi wydawać by się mogło niezachwianej, którego prosty i przekonujący opis znalazłem w jednej z najbardziej uroczych, napisanych w języku polskim książek – a także, co nie zawsze idzie w parze, w jednej

z najmądrzejszych – Anny Kamieńskiej „Rozmowy z profesorem Daleczko”.

„Dioklecjan odzyskał i wzmocnił granice Mezopotamii. Wypuszczał nowe monety, zmieniając wartość pieniądza. W roku 301 wydał edykt zawierający taryfę maksymalnych cen produktów spożywczych w całym cesarstwie. *Edictum de pretiis rerum venandum**. Spowodował on tylko wzrost drożyzny. Obowiązywał powszechny przymus pracy, produkcji i oddawania kontyngentów państwu. Wymagało to z kolei zwiększenia aparatu administracyjnego. /.../ Dioklecjan wzmocnił i uporządkował armię. Podniósł jej stan liczebny do pół miliona ludzi. W okresie największej przestrzenności cesarstwa armia miała 25 000 żołnierza. Za Sewera – 33 legiony, obecnie, czyli za Dioklecjana – 68 legionów po 7 tysięcy ludzi, ponadto oddziały posiłkowe. 46 legionów liczyli milites limitares – pogranicznicy. 16 legionów – rezerwa rozmieszczona planowo wewnątrz cesarstwa. Przyboczny korpus cesarza dopełniał consortium sił zbrojnych. Wydaje mi się, że od tych liczb krew w moim sercu krystalizuje się w bryłki lodu. /.../ Lecz wróćmy do naszej intelektualnej chłosty. Utrzymanie tej potęgi wojskowej mogło się dokonywać tylko kosztem stopniowej i całkowitej pauperyzacji ludności. Toteż upadek cesarstwa – nieunikniony – stał się dla ludzi bezbolesny, był wyzwoleniem. Wszystkie społeczeństwa wchodzące w skład imperium powitały z ulgą zgon cesarza i usilnie dopomagały wszystkim siłom odśrodkowym.”

Jak daleko stąd, jak blisko.

2.

Przychodzi baba do lekarza w kajdankach i z zakneblowanymi ustami.

Ależ – powiada lekarz – niech się pani nie kępuje.

3.

Dowiedziałem się właśnie, iż model gospodarczy, jaki nastanie w PRL po uwięzionym prowadzeniem wprowadzeniu reformy gospodarczej nazywać się będzie „system planowanej centralnie społecznej gospodarki rynkowej”. Innymi słowy będzie to system komunistyczno-anarchistyczno-kapitalistyczny, przy czym komunistyczny będzie

system płac, anarchistyczna produkcja rynkowa a kapitalistyczne ceny. Musiał ów system wymyśleć jakiś tęgi ekonomista, więc z pewnością nie Manfred Gorywoda, bo Gorywoda nie jest ekonomistą, tylko urzędnikiem partyjnym. W każdym razie owa konstrukcja myślowa jest pięknym przykładem zyciństwa ducha nad materią, a wiara w zdolność modelowego przekształcania gospodarki bez naruszania podstaw jej struktury, radosnym przejawem fideizmu partyjnej elity.

4.

W PRL droga awansu stoi przed wszystkimi otworem i każdy może jeszcze zrobić karierę. Każdy, oprócz Jaruzelskiego.

5.

Rozmowa z zaprzyjaźnionym Niemcem.

– Warto by wystąpić z inicjatywą, aby nazwę ulicy w Kolonii, przy której mieści się ambasada PRL, zmienić na ulicę Ks. Popiełuszki.

– To się nie uda. Większość w Radzie Miejskiej mają socjaldemokraci, a oni nigdy się nie zgodzą.

– To przedstawimy im projekt alternatywny, ulicę kapitana Piotrowskiego.

6.

Kiedy obserwuje się wyłaniającą się z wody dłoń – widać najpierw pięć oddzielnie sterczących palców. Aby wiedzieć, że te palce układają się w jedną całość, trzeba mieć zdolność widzenia pod powierzchnią wody. Często zastanawiam się, czy przyglądając się PRL z bońskiego dystansu, rejestrując wydarzenia nie jestem w sytuacji człowieka, traktującego każdy palec, jako byt osobny?

Palce te, to fakty, które nie bardzo chcą się układać w jedną, przejrzystą całość, a próby ich wzajemnego dopasowania kończą się jałowymi i prostackimi interpretacjami. Rzecz w tym, że to, co w PRL naprawdę ważne, co powinno kształtować nie tylko opinię w Polsce, ale i politykę Zachodu wobec jej rządu, leży nie w sferze faktów, a procesów społecznych. Nie sposób zrozumieć wydarzeń, jeśli zapomina się, że są one częścią, fragmentem długotrwałych procesów.

Rzeczywistość społeczna Polski jest obszarem niezbadanym. Raz dlatego, że badanie takie musiałyby wypaść niekorzystnie dla hierarchii rządzącej – próby podejmowane przez PAN-owski *Komitet 2000* były przyjmowane przez władzę z niekrytym niezadowoleniem, a ich rezultaty uznane za ściśle tajne. Jedną z konkluzji tych badań było na przykład stwierdzenie w roku 1979,

iż polski system prawa jest najbardziej represyjny w Europie, a jednocześnie z istoty swej kryminogenny. To nie mogło się naturalnie podobać twórcom propagandy sukcesu. Dwa, że gdyby badanie socjologiczne przeprowadzono jawnie i na szeroką skalę, musiałyby być obciążone grzechem marksistowskiej interpretacji zjawisk społecznych. A marksizm jest, paradoksalnie, nieprzystający do rzeczywistości polskiej. Podstawowa zasada marksistowskiej analizy, zasada poszukiwania sprzeczności wynikających ze stosunku do środków produkcji mogłaby w kraju, w którym środki te zdeprywatyzowano przed 40 laty, dać efekty zgoła komiczne. To prawie tak, jakby Marks analizując społeczeństwo kapitalistyczne zamiast pojęciem klasy społecznej posługiwał się pojęciem stanu.

Naczelną cechą procesów społecznych do sierpnia 1980 roku był rozpad naturalnych więzi społecznych, sygnalizowany czasami w pojedynczych płaśczyznach, jak np. kryzys rodziny.

Można się zastanawiać, czy stworzenie warunków powodujących zanikanie więzów społecznych było częścią świadomego planu komunistycznych metod czy też tylko rezultatem totalitarnych metod rządzenia. Jedno jest pewne – efekty społeczne składania musiały do niepokojów.

Poddanie kontroli władz obszarów tradycyjnej, spontanicznej aktywności społecznej, przypisanie im znaczących funkcji politycznych, doprowadziło do ich obumarcia.

Wspólnoty ludzi połączonych jednym celem zastąpiły wspólnoty połączone interesem. Za fasadą organizacji sportowych, młodzieżowych, nawet opieki nad zwierzętami kryły się kliki, poszukujące odskoczni do dalszej kariery i gryzące się między sobą o doraźne korzyści. Deklaratywne cele z reguły nie pokrywały się z rzeczywistymi interesami, a działania były z zasady pozorne.

Zwyrodnienia organizmu społecznego najpełniej ujawniły się w funkcjonowaniu związków zawodowych, które, złożone z zawodowych funkcjonariuszy, stały się narzędziem dyscypliny i wydajności pracy.

To, co w krajach demokratycznych jest naturalnym, spontanicznym organizowaniem się obywateli – na przykład w celu zaprotektowania przeciwko zbrojeniom atomowym – w Polsce było instytucjonalną częścią systemu sprawowania władzy. Nie pozostawiono najmniejszej szparki – nawet tak, zdawało by się, politycznie naturalną dziedzinę, jak turystyka, wręczgnięto w ideowy zaprzęg. Największa turystyczna impreza PRL, to Rajd Szlakami Lenina, w której obowiązkowo udział brać musiały ekipy wszystkich zakładów pracy noszących imię wielkiego wodza rewolucji październikowej. Zmuszano ludzi do wędrowania po górach nie dla przyjemności i zdrowia, a dla

statystycznych figli, z których wynikać miało, że co rok więcej osób czci ochotniczo Lenina spacerowaniem po Tatrach.

Jawnie polityczny charakter miał sport, który nie służył doskonaleniu jednostki, ale wykazać miał wyższość realnego socjalizmu nad kapitalizmem. Niezdrowa atmosfera sztucznej hodowli sportowych mistrzów w relatywnie biednych krajach Europy Wschodniej, plus możliwość wyjazdów zagranicznych dla działaczy, doprowadziły sport amatorski do wynaturzeń niespotykanych wśród zawodowców.

Nawet normalne życie towarzyskie, kontakty między ludźmi wspólnych zainteresowań, straciły, wobec trudnej sytuacji ekonomicznej, bezinteresowny charakter. Zapraszano innych na kolację nie po to, by wspólnie spędzić przyjemnie czas, ale aby załatwić sobie niedostępne powszechnie artykuły deficytowe codziennego użytku.

Spółceństwo ulegając dekoracyjnej integracji w partyjno-państwowym systemie organizacji zawodowych i społecznych – statystyczny Polak należał do pięciu różnych stowarzyszeń i związków o niepolitycznym charakterze – w rzeczywistości podlegało coraz większej atomizacji.

Powstanie „Solidarności” pokazało, jak ludzie spragnieni są autentyczności, nieskłamanej wspólnoty celów, jak szybko zdolni są organizować się ku czemuś, a nie dla czegoś. Wprowadzenie stanu wojennego te na nowo zadzierzgnięte więzy uczyniło nieformalnymi, ale jednocześnie niesłuchanie je wzmocniło.

Samoorganizacja społeczeństwa, to jest właśnie ten proces, który tak często przegapiamy, zapatrzeni w wydarzenia będące tylko jego elementami, bądź też próbami jego przerwania.

7.

Przygoda jednego z moich przyjaciół w Warszawie, na przyjęciu z udziałem uczestników elity władzy. Rozmowa toczy się wokół tego, kto co komu może załatwić. Mieszkania, samochody, pralki, telewizory. Mój przyjaciel, najstarszy w towarzystwie, siedzi milcząc, gdy jeden z obecnych, widać przyjaźnie nastawiony, czyni mu szczerą propozycję.

– Chcesz, to załatwię ci grób na Powązkach.

8.

Gdzieś w połowie 1981 roku zaczął mnie dozorca domu, w którym mieszkałem i powiada:

– Panie lokatorze, proszę porządnie zamykać piwnice, bo tu się kręca różni prominenci i ciągle coś ginie.

Rozmowa ta przypominała mi się, gdy przeczytałem, że Maciej Szczepański, były prezes Ra-

diokomitetu wycofał z Sądu Najwyższego rewizję i zdecydował się bez protestu odsiedzieć swoje osiem lat. Szczepański jest jedynym z tych prominentów, o których wspominał mój dozorca, jaki stanął przed sądem.

Nie dziwię się też, że nie będzie apelował. Skoro uznano go za jedynego winnego, osiem lat to wcale niedużo. Powiedziałbym, że to niezła koniunktura. Wychodzi trzy miliardy samych dolarów za rok wycienienia, nie licząc złotówek. Bardziej opłaca się kraść, niż ulotki roznosić.

A prominenci nadal się kręcą.

9.

Wbrew powszechnemu mniemaniu to nie pani Ferraro przejdzie do historii, jako pierwsza w dziejach USA kandydatka na wiceprezydenta. Pierwszą była Angela Davies, która już cztery lata temu startowała w wyborach u boku szefa KP USA, Gus Halla, zdobywając całe 24 tys. głosów na 80 mln głosujących. W tym roku było jeszcze gorzej. O tych sukcesach komunizmu wśród uciskanej klasy robotniczej USA propaganda i polska i sowiecka milczały. Ale natychmiast, jak tylko w Stanach wprowadzona zostanie prawdziwie demokratyczna, wzorowana na PRL-owskiej, ordynacja wyborcza, laureatka Nagrody Leninowskiej uzyska co najmniej 75 % głosów.

10.

Od dawna męczyło mnie i nie dawało spać po nocach przeświadczenie, iż jest krzywdzącą niesprawiedliwością podział obywateli polskich na dwie kategorie, jeśli idzie o możliwość otrzymania nagrody przyznawanej za granicą. Ci, którzy idą na pasku imperializmu amerykańskiego i opowiadają się przeciwko socjalistycznej odnowie mają szansę taką nagrodę dostać, a ci, którzy przeciwnie, idą na innym pasku, szansy takiej nie mają.

Jest to sprzeczne z moim poczuciem sprawiedliwości.

Dlatego postanowiłem przyznawać doroczne nagrody im. Kazimierza Gazurki Witaszewskiego w dziedzinie literatury, sztuki, polityki teoretycznej, polityki stosowanej oraz ogólnej aktywności umysłowej. Przygotowuję właśnie listę laureatów wraz z uzasadnieniem. Nagrody, w postaci listów pochwalnych, garderoby używanej i niektórych produktów żywnościowych, prześlę laureatom pocztą.

Zrezygnowałem natomiast z przyznawania stypendiów zagranicznych, ponieważ jak uczy praktyka, takie stypendium może otrzymać każdy. W Bonn, na stypendium Friedrich Ebert Stif-

tung przebywa politolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Pasierb.

Dał on w bońskiej Volkshochschule wykład na temat aktualnej sytuacji w Polsce, prezentując pryncypialnie słuszną linię partii. Dyskusję, ziry-

towani zbyt bezczelnymi pytaniami słuchaczy, zakończył również pytaniem.

— Czy powinniśmy się wszyscy powiesić?

Jeśli była to poważna propozycja, to stypendium nie poszło na marne. ■

Jacek Kaczmarski

Pojednanie

Pachnie igliwiem. Lśni niebieskawa czystość obrusa. Pokój powiela się wielokrotnie w kolorowych szkłach bombek choinkowych. Odświętne radosny gwar i krzątania dobiega zza drzwi do kuchni, ale nie widać nikogo.

Ulice są puste. Mróz i kopny śnieg. Samochody przestały się pokazywać na mieście jeszcze przed zmrokiem. Teraz jest granatowo i cicho, spomiędzy czarnych gałęzi drzew błyskają dalekie światelka, ale nie widać nikogo.

W kościele blask. Umyta kamienna podłoga. Poczerniałe ze starości obrazy męki pańskiej zamazane odbitym światłem grubych świec. Może wiatr poruszył dzwonem, albo zabrzmiał w wysoko umieszczonych organach, ale nie widać nikogo.

Pies zaskomlał i zwinął się wokół siebie samego pomiędzy zamarniętą rynną, a okienkiem piwnicy na węgiel. To znaczy — słycać było skomlenie. Psa nie widać. Skrzypią kroki na nieubitym śniegu. Dzwonek do drzwi.

— Już! Już! — smuga światła wypada na zewnątrz. Brzęk łańcucha, para osiada na zimnej kłamce. — Za wcześniej przyszedłeś! Za wcześniej! Jeszcze nic nie gotowe!

— Nie miałem daleko. — Drzwi się zamykają, światło znika. Otrzępywanie palta, stuk butów o żelazne okratowanie słomianki. — Zdrowy ziąb!

— Wejźdź dalej. Córka mi pomaga w kuchni. Dzieci zaraz będą, wszyscy zaraz będą! Nalej sobie czegoś. — Na moment grzybowy zapach i smakowite ciepło przemyka po lustrze w przedpokoju. Dźwięk karafki z nalewką uderzającej o kryształowy kieliszek. Chłupot lubego płynu.

Skrzyp krzesła.

— O dwa nakrycia za dużo! — zakołysała się gałązka choinki i zaraz znieruchomiła. Drgnęła firanka w oknie. Skrzyp podłogi. Zdjęcia w szklanych oprawkach na kredensie.

— Teraz się daje dwa! — Zza ściany, spomiędzy garnków. — Nieznajomi teraz samotnie nie chodzi! — Otwarte drzwicki wiszące zegara. Dłuższa wskazówka ledwo przesuwają się w górę. Pies podniósł głowę. Wyjął zziębnięty nos z ku-

dłów na brzuchu. Zawarczał z głębi psiej piersi. Tupot drobnych nóg. Znowu smuga światła, krzyki, śmiech. Pocałunki. Tata, tata! Czy możemy już obejrzeć prezenty? Kiedy będziemy jeść? A on przemoczył sobie całe spodnie! Tylko nos mi zmarzł! Zgubiłeś rękawiczkę! Pełno śniegu na podłodze, zdjąć mi buty! Światło znika.

Czekamy, aż przyjdą wszyscy. Nie ruszaj opłatka!

Przesuwanie widelców. Fałdy na obrusie. Lala — głos dziecka. — Gdzie Pimpek? Pimpek na dworze, nie wyjdiesz po niego, już ciemno! — Już jest gwiazdka, już jest gwiazdka! — firanka całkiem odchyłona, okno na granatową noc. — Już jest gwiazdka! — Czekamy, aż przyjdą wszyscy. W Wigilię wszyscy muszą być razem. — To czemu się spóźniają? — Widocznie mają powody. — Ja chcę prezenty!

Dzwonek do drzwi. Pies z podwiniętym ogonem opuścił swój kąt i przemknął chytkiem za róg domu. Smuga światła. — No nareszcie! Dzieci się niecierpliwią! — W samą porę chyba? — Wszystko gotowe. Siadajcie do stołu. — Czekajcie na mnie! Niech zdejmę fartuch! — A prezenty? Pod choinkę, pod choinkę, najpierw opłatek i wieczera! — Najpierw prezenty! — Będziesz ty spokojny? — Podmuch wiatru sygnął zmarzniętym śniegiem z pochyłego dachu. Po grzbiecie psa przebiegł dreszcz.

Modlitwa. Cichy trzask opłatka. Szept życzeń, pocałunki. Potrącanie meble. Krople na obrusie. Mamo, niech mamusia nie płacze, przecież to Wigilia! — Ale, bo ja tak co roku! Tak rzadko was widzę! — Mamo, mamo.

Zegar bije. Śledziki na widelczykach. Kieliszki. Już jeden rozlany. — Ja też chcę! — śmiech. — Poczekaj, aż będziesz dorosły. — Już jestem dorosły! — Sagan barszczu. Chleb posmarowany masłem. Siano pod obrusem. — I co u was? — To co zwykle. — Mój Boże, że człowiek tyle musi wycierpieć. — Nie mówmy o tym, wszystko da się wytrzymać.

Kapusta z grzybami. Karp smażony i w galarecie. Okrzyki zachwytu. — Tylko mama tak potrafi! Zdrowie mamy! — Ale dalibyście spokój! — Nie pij tyle, pijesz coraz więcej! Puste butelki na podłodze pod ścianą. — Czy zaśpiewamy kolędę? — Kolędę, kolędę, a potem prezenty!

Pies obszedł już cały dom. Niepewnie podnosi ogon i opuszcza łeb. Podchodzi do drzwi

i warczy. Na melodię kolędy nakładają się kroki dwóch mężczyzn. Pies chowa się pod schodami.

Dwóch dorosłych, postawnych obywateli, podobnie zresztą ubranych stoi przed drzwiami. Wreszcie jeden puka. Smuga światła. — O, niespodziewani goście! Nieznajomi! Prosimy, prosimy! Prosimy do środka! Światło znika.

Mężczyźni patrzą na siebie niepewnie. Jeden z nich chyba ma pot na czole, chociaż wszedł z mrozu.

Na stole potrawy, napoczęte ciasta, na pół opróżnione kieliszki. Dwa puste, czyste nakrycia. — Prosimy siadać! Czy gorący barszcz na początek? Jeszcze jest!

Goście siadają. Milczą. Niepewnie ujmują sztućce. Jeden z nich schował przedtem do kieszeni coś, co miał już w ręku, kiedy wchodził. Może się czerwieni, może to od mrozu.

Pod wpływem ich milczenia milkną wszyscy. Nie słychać pytań o prezenty. Goście jedzą z trudem. Westchnienie.

— Przecież dzisiaj dzień pojednania! Przecież zaraz pójdziemy na pasterkę! Doprawdy, przecież...

Goście odkładają widelce i noże. Niezgrabnymi rękoma w tanich, niezbyt czystych garniturach sięgają po kieliszki. Gaśnie świeca, potem druga.

— My, na pasterkę, nie dziękujemy — jąka się jeden z nich patrząc w kilku kierunkach naraz.

— Nie, nie — na pasterkę, koniecznie! To tradycja, tak trzeba, jakże bez pasterki? W Boga nie wierzyć, ludziom krzywdę czynić, ale w Wigilię, na pasterkę trzeba! Bezwarunkowo!

— Kościół niedaleko — kilka kropel na obrusie. — Mamo!

Goście wypijają jednocześnie. Kieliszki są pełne. Jeszcze raz. Do dna. Jeszcze raz. Ten bardziej zaczerwieniony krztusi się. Ten drugi mówi — może ja go wyprowadzę, może na dwór...

— Nie, nie! Gościna! Nic się nie stało! — Może ziółek? — Na pasterkę, na pasterkę! Tu dom, tu ciepło!

Pies stoi przed zamkniętymi drzwiami. Drżą mu cienkie łapy. Jeży mu się sierść na grzbiecie. Patrzy na oblodzony próg. Po chwili przysiadła na zmarzniętym zadzie i wyje.

Gwar. Smuga światła. Goście, lekko chwiejni. Nie patrzą już na siebie. Patrzą pod nogi. Tupot wielu par butów, obłoki pary i zapach wódki i igliwia. — Poczekajcie na mnie! — Czekamy, czekamy! Skrzyp śniegu. Światło znika. Głasy się oddalają. W perspektywie ulicy dwie sylwetki, za którymi, w bezpiecznej odległości podąża pies.

W kościele rżęsiście.

Dwaj stoją obok siebie.

Nie wiedzą, co zrobić z rękami. Nikogo nie widzą. Ale nie mogą się poruszyć. Dopiero po pasterce usłyszą:

— No, to chodźmy — i wyjdą z kościoła bramą prowadzącą na cmentarz, gdzie będą musieli wszystkich poprowadzić do mogił. I każdego wysłuchać, z zaciśniętymi zębami i wściekłą pokorą. Pojednanie. Rano pies znajdzie ich śpiących na ławce przed jednym z rodzinnych grobowców. Pod nazwiskami wykutymi w kamieniu nie będzie dat, ani miejsca, czy rodzaju śmierci. Będzie tylko wiek umarłych. Różne liczby. Od wysokich do najmniejszych.

Będzie padał śnieg. Już o świcie nie będzie widać śladów dwóch mężczyzn. Śladów prowadzących do opuszczonego domu, w którym ponoć ktoś się ukrywa przed prawem. ■

Ogłoszenie

The Rand Corporation, amerykański instytut naukowy, który wydał szereg prac o Wojskach Polskiej Ludowej, podejmuje nowe studium badające ich rolę w PRL. W związku z tym poszukujemy byłych wojskowych PRL w celu przeprowadzenia rozmów. Skrome

honorarium. Dyskrecja zapewniona. Zainteresowanych prosimy o listowny kontakt:

Dr. Alex Alexiev
The Rand Corporation
Santa Monica
California 90406-2138
USA

4 grudnia 1984

**POWRÓT
NA OJCZYZYNĘ ŁONO**

dwóch „afgańskich” dezertersów z sowieckiej armii, znajdujących się uprzednio w Wlk. Brytanii, *Izwiestia* wykorzystywała do ataków propagandowych na angielskie służby wywiadowcze. W artykule moskiewskiego dziennika, utrzymanym w podobnym tonie, co reportaże o powrocie Allitujewej oraz sowieckiego dziennikarza Bitowa, pisze się o Rykowie i Chlanie, jako o sowieckich bohaterach, wziętych do niewoli przez Afgańczyków. Po roku pobytu w więzieniach oraz w niewoli zachodnich służb wywiadowczych, wykorzystali oni pierwszą okazję i zgłosili się do sowieckiej ambasady, która umożliwiła im powrót do kraju. Inaczej niż w wypadku Allitujewej i Bitowa, nie zaprezentowano „afgańskich bohaterów” zachodnim dziennikarzom.

8 grudnia

Korespondent liberalnego dziennika *Tagesspiegel* odnotowuje zmiany społeczno-polityczne zachodzące w Chińskiej Republice Ludowej. Charakterystycznym przykładem jest artykuł w organie Komunistycznej Partii Chin *Zen-min-żin-pao*, w którym wysuwa się tezę, że klasyczny marksizm i jego tezy są dzisiaj przestarzałe oraz atakuje się krytyków nowych chińskich reform gospodarczych. W sprawach gospodarki nie można kierować się tylko teorią – twierdzi się w nie podpisanym imieniem i nazwiskiem artykule. Obecne wystąpienie *Gazety Ludowej* jest jak dotychczas najbardziej ostrą krytyką klasycznej nauki marksistowskiej ze strony KP Chin.

**ZNÓW ZŁE ŻNIWA
W ZSRR**

Sowiecka agencja prasowa TASS doniosła, że przyczyną skąpych zbiorów w bieżącym roku – najgorsze od lat – była wyjątkowa susza. W ciągu ostatnich pięciu lat, tylko jeden raz w roku 1983 wypadły one pomyślnie – zebrano wtedy ponad 190 mln ton. W obecnym planie pięcioletnim Związek Sowiecki zamierzał zebrać od 238 mln do 243 mln ton zbóż. Nie osiągnął tego celu nigdy, zbierając przeciętnie od 150 mln do 180 mln ton zbóż. Tegoroczne zbiory określa się na 170 mln ton. Oznacza to dalsze zakupy zbóż przez Sowieców na rynku amerykańskim.

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

Nakładem ICARUS Enterprises ukazała się książka Stefana Bej-Kresowicza pt.

„SKRZYDLACI NAJEMNICY”

Opracowanie to jest dziełem lotników polskich, którzy znaleźli się w USA podczas stanu wojennego w PRL. Odsłania ono kulisy katastrofy samolotu IŁ-62 „Kopernik”, rejs 007 jaka miała miejsce na Okęciu w roku 1980.

Opis w książce obejmuje ostatnie lata wydarzeń w Kraju i na Świecie widziane oczyma polskiego pilota, aż do momentu zestrzelenia samolotu koreańskiego przez Związek Sowiecki, dziwnym zbiegiem okoliczności też rejsu 007. Opracowanie informuje również Czytelnika o poziomie sowieckiej techniki lotniczej oraz zamierzeniach sztabu Układu Warszawskiego. W myśl założeń ideologów sowieckich „Trzecia” wojna światowa już się rozpoczęła, a jej pierwszy etap posiada charakter utajony.

**KSIĄŻKĘ TĘ WINIEN
PRZECZYTAĆ KAŻDY**

Stron 398 ze 120-oma unikalnymi zdjęciami i schematami. Cena książki 18 \$. Łącznie z przesyłką. Książkę nabyć można w ICARUS ENTERPRISES, PO Box 1857, Atlantic City, NY 08404. Ponadto w roku 1985 ukaże się ta książka w języku angielskim. Cena książki 14,95 \$ w subskrypcji. Dla nabywców powyżej 4 egz. wydania polskiego, stosuje się 25 % zniżki.

Z A M Ó W I E N I E

ICARUS ENTERPRISES, P.O. Box 1857
Atlantic City, NY. 08404, U S A

Proszę o przesłanie egz. książki „SKRZYDLACI NAJEMNICY” w języku polskim. Cena poj. egz. 18 \$. Zamawiam egz. książki na rok 1985 w języku angielskim. Cena 14,95 \$.

Przekazuję również \$ na fundusz wydawniczy.
Załączam czek-MO na sumę\$

NAME
ADDRESS
CITY
STATE
ZIP



Walter Crane – Widokówka „Solidarności Pracy”

„Solidarność”

Nie wszyscy wiedzą, że przed ponad stu laty (1883) w polskim ruchu robotniczym działała organizacja pod nazwą „Solidarność”. Była to niewielka grupa inteligentów i robotników, którym przewodził Kazimierz Puchewicz¹.

„Solidarność” powstała wiosną 1883 roku w wyniku rozłamu partii „Proletariat”², kierowanej przez Ludwika Waryńskiego. Na skutek różnic ideologicznych Puchewicz wystąpił z „Proletariatu” i utworzył własną partię robotniczą „Solidarność”. Jej członkiem został też m. in. Feliks Kon³.

Puchewicz i członkowie jego partii przeciwni byli walce politycznej prowadzonej przez „Proletariat”, a szczególnie jej spiskowo-terrorystycznym metodom.

„Solidarność” unikając konfrontacji z władzami zmierzała, poprzez szeroką działalność propagandową i uświada-

¹ – Kazimierz Puchewicz (1850-1884). Prawnik z wykształcenia, działacz robotniczo-socjalistyczny. Więziony w latach 1879-1881 za udział w ruchu robotniczym. W 1882 współzałożyciel i współautor programu politycznego „Proletariatu”. Ponownie uwięziony w 1883. W 1884 zwolniony z więzienia z powodu zaawansowanej gruźlicy, na którą wkrótce umiera.

² – Międzynarodowa Socjalno-Rewolucyjna Partia „Proletariat” utworzona w 1882 roku, pierwsza polska partia robotnicza, działała na terenie Królestwa Polskiego do 1886 roku. „Proletariat” głosił konieczność obalenia kapitalizmu i wprowadzenia socjalizmu; kładł nacisk na

wywalczenie swobód politycznych i narodowych. Zalecał masową agitację i propagandę, a za główne metody walki politycznej uznawał strajki i terror indywidualny. Zwolenników i wpływy posiadał nie tylko wśród robotników ale również wśród radykalnie nastawionej inteligencji i wojska. W 1883 i 1884 roku przeprowadzono aresztowania wśród członków i aktywistów „Proletariatu” (łącznie ponad 200 osób). W grudniu 1885 zapadł wyrok w procesie 29 „proletariatczyków”. Cztery osoby: student Stanisław Kunicki – lat 24, robotnik Michał Osowski – lat 22, robotnik Jan Pietrusiński – lat 21 oraz rosyjski sympa-

tyk partii, sędzia Piotr Bardowski, skazane zostały na kary śmierci. 28 stycznia 1886 roku na stokach Cytadeli Warszawskiej wyrok został wykonany. Pozostałych oskarżonych skazano na długoletnią katorgę i zesłanie. L. Waryński, główny przywódca i ideolog „Proletariatu” skazany został na 16 lat katorgi i zmarł w twierdzy szlisserskiej w 1889 roku. W 1886 po aresztowaniu ostatniej grupy kierowniczej z Marią Bohuszewiczówną na czele, partia ostatecznie przestała istnieć.

³ – Feliks Kon (1864-1941). Działacz polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego. Członek „Proletariatu” skazany w procesie je-

przed stu laty

miającą, doprowadzić do masowej akcji strajkowej, opartej „na solidarności wszystkich robotników”.

Przygotowując robotników do strajku generalnego dla osiągnięcia celów ekonomicznych, „Solidarność” zalecała umiarkowanie i ostrożność: „Podczas strajku zachowujemy się z godnością, nie dopuszczamy się gwałtów, które na naszą zawsze wypadają niekorzyść, unikajmy zająć z wojskiem, a nade wszystko trzymajmy się razem, nie odstępujemy sprawy ogólnej. W jedności i solidarności nasza siła i najskuteczniejsza broń przeciw naszym wrogom.”

Żywot „Solidarności” był krótkotrwały. po kilku miesiącach jej członkowie wrócili do „Proletariatu” i podzielili jego los.

Truizmem byłoby twierdzenie, że historia lubi się powtarzać.

go przywódców na 10 lat i 8 miesięcy katorgi. Więziony w latach 1884-1891, do 1904 na zesłaniu. Od 1906 działacz PPS-Lewicy. W maju 1917 przyjeżdża do Piotrogradu. W latach 1919-1922 sekretarz KC KP Ukrainy (okres „wielkiego głodu” podczas którego zmarło 10 mln ludzi). W 1920, obok Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego, członek Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, „rządu polskiego” z ramienia Rosyjskiej Republiki Rad, „rządu” rezydującego przez kilkanaście dni w Białymstoku. Od 1922 współzałożyciel Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. W 1931-1933 przewodniczący Ogólnokrajowego Komitetu Radiofonii Rosyjskiej Republiki Rad. Po 1933, aż do śmierci...?



Pogląd

Wydawnictwo

Do nabycia w księgarniach polskich na Zachodzie oraz bezpośrednio w redakcji naszego dwutygodnika:

Tomasz Jastrun – ZAPISKI Z BŁĘDNego KOŁA
Berlin, Pogląd 1984, str. 75, DM 8,-

Józef Kuśmierek – CREDO
Berlin, Pogląd 1983, str. 90, DM 8,-

Józef Kuśmierek – POLSKA A ZACHÓD,
czyli oczekiwanie na pomoc
Berlin, Pogląd 1984, str. 184, DM 12,-

NOWOŚĆ

W. M. Aleksander – AGENTURA, państwo policyjne
Berlin, Pogląd 1984, str. 192, DM 12,-

Czy jesteś sam, Ottonie?

Napisane dla Miesięcznika „Więź”, odrzucone przez cenzurę. Drukujemy bez wiedzy i zgody autorki.

Tuż pod ołtarzem, na samym środku kościołka we wsi Machowa pod Tarnowem widnieją oparty o sztalugi portret żołnierza w mundurze Wehrmachtu. Dookoła portretu świece i kwiaty. Pod nim skrzynka z kartkami zawierającymi prośby i błagania:

„Ottonie kochany, spraw, by wynik moich badań był pomyślny. Daj, by mój mąż niedowiarę wrócił na łono Kościoła świętego, daj mi dobrze wychować dzieci.”

„Prośba o łaskę wiary i odwagę dla Tadeusza – pątniczka z Warszawy.”

„Ottonie, pomóż mi w nauce, w polskim i w matematyce – Rysiek.”

Panu Trybusowi ze wsi Machowa jeszcze nie zdarzyło się, aby Otto Schimek, żołnierz austriacki z II wojny światowej, którego dowództwo armii niemieckiej ukarało śmiercią za odmowę zabijania ludzi, nie spełnił jego prośby. Ale ksiądz proboszcz Szydłowski otrzymuje także i z dalszych zakątków Polski listy świadczące o łasce, jaką zsyła z niebios Otto na ludzi wznoszących ku niemu modlitwy. Nadawca z Nowego Sącza pisze, że kiedy brat jego leżał w szpitalu z wylewem krwi do mózgu, lekarz powiedział: tu może już pomóc tylko Pan Bóg. I wtedy cała rodzina zaczęła się modlić do Otto Schimka, o którego kulcie słyszała już wcześniej. Brat ciągle nie rokował nadziei. Posłano dzieci ze świecami na grób Ottona do Machowej. Dzieci dotarły na miejsce o godzinie piątej po południu. I właśnie o piątej brat odzyskał przytomność.

Grób Otto Schimką znajduje się na wiejskim cmentarzu, niedaleko kościoła. Nic poza chorągiewką austriacką (polsko-austriacką, jak mi powiedzieli chłopcy z Machowej dostrzegając podobieństwo barw narodowych: czerwień, biel, czerwień) nie wyróżnia go spośród innych zadbanych, przysypanych płytą mogił. Tylko napis:

„Otto Schimek ur. 5. V. 1925

stracony został przez Wehrmacht w 1944, ponieważ wzbraniał się strzelać do polskiej ludności. Niech Cię Bóg przyjmie w swojej wieczystej miłości!

W wielkiej miłości Twoje rodzeństwo.”

Pod tablicą ktoś położył zdjęcie błogosławionego Rafała Kalinowskiego i karteczkę z odręcznym napisem:

„Bądź pozdrowiony, wielki człowieku, który nie dałeś się manipulować rozkazem ani bezdusznością, ale dotrzymałeś wierności Bogu, rozumowi i moralności.”

Jest 14 listopada 1983 roku. Rocznicą śmierci Ottona Schimka rozstrzelanego niedaleko wsi Machowa. Już od wczoraj gromadzą się u grobu pielgrzymi z całej Polski, by złożyć hołd chłopcu, który żył tylko 19 lat. Pytam pątników z Rzeszowa, w jaki sposób dowiedzieli się o istnieniu Otto Schimka.

We wrześniu ubiegłego roku – mówią – biskup Tokarczuk wspominając wypadki zaistniałe w Polsce 31 sierpnia wspominał o Schimku, o Schimkach...

Ksiądz proboszcz powiedział podczas kazania wygłoszonego na Mszy świętej odprawionej ku czci Ottona:

„Ottonie, wydawać by się mogło – przegrałeś. Ale to nieprawda. Siebie zwyciężyłeś, to jest zwycięstwo największe. Umiałeś powiedzieć – nie. Zastanówmy się i my wszyscy czy w trudnych sytuacjach życiowych, gdy popadamy w konflikt z własnym sumieniem, potrafimy, potrafilibyśmy powiedzieć – nie?”

Co wiemy o Ottonie Schimku?

Urodził się w Wiedniu w 1925 roku, jako trzynaste dziecko czeladnika ślusarskiego i byłej pomocy domowej. Ojciec zmarł wcześniej, matka zarabiała szyciem, żyjąc wraz z dziećmi na pograniczu nędzy. Katolicyzm był w tej rodzinie czymś więcej, aniżeli zwyczajowo przyjętym wyznaniem. Wieczorami w domu czytano Biblię. Idąc na wojnę, 17-letni Otto zapewnił matkę, że jako chrześcijanin nie spali swoich rąk krwią. Będąc celować tak, by nie trafić do celu. Swoją postawę potwierdził przed rodziną raz jeszcze, gdy już jako żołnierz odbywał w domu urlop. Wrócił wtedy z Jugosławii. Wspominał, że oddział jego uczestniczył w egzekucji kobiet i dzieci. Schimek udawał, że zaciął mu się karabin. Wkrótce jednak, któryś z usłużnych kolegów złożył na niego donos. Oddział w tym czasie przeniesiono do Polski, w okolicy Tarnowa. Dowódca, chcąc sprawdzić, czy donos jest prawdziwy, wyznaczył Ottona do udziału w egzekucji zakładników ukaranych za współpracę z partyzantką. Wtedy Schimek odmówił wykonania rozkazu tłumacząc: „Jestem żołnierzem, ale

jestem także chrześcijaninem. Jako żołnierz walczę z wrogiem, a nie z niewinnymi ludźmi.”

Wiadomości te pochodzą od siostry Ottona Schimka, pani Elfriedy Kujal. Jeszcze bowiem wojna nie skończyła się, gdy do matki Ottona przyszli koledzy z jednostki i opowiedzieli historię śmierci jej syna, wręczając zarazem szkic cmentarza, na którym spoczywa Otto.

Nie wiadomo dokładnie, gdzie go rozstrzelano. Oczekując na rozkaz z Berlina, więziono go podobno w piwnicach klasztoru karmelitów w Lipinach. Sprawa Schimka trafiła bowiem do kancelarii Rzeszy. Autorzy austriackich publikacji o Schimku tłumaczą to tym, że podczas rozprawy, która odbyła się nad Ottonem, sąd wojskowy przypomniał sobie o istnieniu niemieckiej ustawy głoszącej, że żołnierz może odmówić służby, jeśli stoi to w sprzeczności z jego sumieniem. Z Berlina przyszedł w sprawie Schimka rozkaz jednoznaczny: „Rozstrzelać i zakopać w rowie jak psa.”

Powiadają, że w gaju brzoźowym opodal klasztoru karmelitów, to znów, że koło drogi... ktoś widział rękę żołnierza wystającą z ziemi jeszcze zimą 45 roku... Ale czy to był żołnierz niemiecki?

— ...A bo ja pani wiedzieć mogę 83 lata mając, choćbym i wprzód wiedziała?

To znów stara Trybusowa upiera się, że była na Schimka pogrzebie.

— Przywiózł go furman na cmentarz. Już się zmierzchało. Lubię polecieć na pogrzeb, bo sobie myślę: może i ze mną tak będzie. Furman go przywiózł w samym mantlu, bez trumny. I to był mantel niemiecki.

— Co też mama opowiada — syn przerywa — po pierwsze mama nie mogła być na pogrzebie Niemca, bo niby z jakiego powodu, a po drugie, mama była na pogrzebie żołnierza polskiego Waligóry.

— No, no, a potem chowali Schimka.

— Mamo, Waligóra zginął w 39 roku...

Wiadomo jedno: zwłoki Ottona przeniesiono za pozwoleniem władz niemieckich na cmentarz katolicki, ulegając silnym prośbom matki. Sama grobu syna nigdy nie miała odwiedzić.

Zmarła w latach sześćdziesiątych, ale — jak mówi pani Elfrieda Kujal — do końca życia nie otrząsnęła się z tragedii, jaką była dla niej śmierć najmłodszego syna.

Siedziyna na plebanii, ksiądz gościnnie częstuje nas obiadem. Pani Kujal jest zmęczona. Położyła dziś autografy na 200 zdjęciach swego brata, które przynieśli jej parafianie i zarzeka się, że nigdy więcej żadnej fotografii nie podpisze. Od 13 lat przyjeżdża do Polski dwa razy do roku: 5 maja, w rocznicę urodzin Ottona i 14 listopada, w rocznicę jego śmierci.

Po raz pierwszy przybyła do Polski w 1970 roku. Po wojnie opiekowała się chorą matką i chorym mężem. Gdy została sama, pewnego dnia natknęła się przypadkowo na szkielet cmentarza w Machowej, zostawiony jej matce przez kolegów Ottona. Pomyślała wówczas: a może ja bym odnalazła jego grób?

Szkic, który niestety później zaginął, okazał się bezbłędnym drogowskazem. Pani Kujal, nie znając ani słowa po polsku, bez trudności trafiła na cmentarz w Machowej, a w nim na opuszczoną mogiłę. Ksiądz Szydłowski pamięta, że były proboszcz umierając przekazał mu wiadomość: na naszym cmentarzu jest grób żołnierza niemieckiego. Ale nie wiadano po wojnie, kim ów żołnierz był. Zaniedbany grób zaniedbanego żołnierza, na który ludzie w Dniu Święta Zmarłych z litości rzucali czasem kwiatek.

Tropienie losów zmarłego brata stało się przeznaczeniem pani Kujal. To ją wysłała matka do komendantury Wehrmachtu w Wiedniu, by dowiedziała się czegoś o Ottonie. Chyba to było na początku 45 roku. W liście z października Otto zapewnił, że wszystko jest w porządku, po czym zamilkł. Matkę ogarnęły najgorsze przeczucia. Tymczasem pożegnał list, który Otto napisał 14 listopada 1944 roku na parę godzin przed śmiercią do swego brata Rudolfa, dawno był już w domu, lecz Rudolf bał się pokazać go matce. Kopia listu znajduje się w kancelarii księdza proboszcza Szydłowskiego w Machowej. Otto dziękuje w nim matce i rodzeństwu za wszystko, co dla niego uczynili, po czym pisze:

„Nie płaczcie. Idę szczęśliwy do nieba. Niech Bóg zesła Wam rychły pokój, a mnie da szczęśliwe odejście. Wiem, że w każdym przypadku jestem w ręku Boga. On sprawę należycie ułożyć i wspólnie zakończy. Będzie też moja sprawa wyjaśniona ludziom później, być może w lepszym życiu. Jestem w podniosłym nastroju. Czy poza tym marnym życiem mamy coś do stracenia? Duszy mojej nie mogą oni przecież zabić.”

Ale uczynili wiele, aby zatrzeć ślady przeszłości. Oficjalne zawiadomienie o śmierci Ottona Schimka datowane 27 listopada 1944, a doręczone jego matce z wielotygodniowym opóźnieniem brzmia:

„Do Marii Schimek
Wiedeń
Oberangartenstrasse 12b

W sprawie karnej za dezercję przeciwko pani synowi, grenadierowi Ottonowi Schimkowi, wyrok sądu polowego zapadł 28.X.44, zatwierdzony 7.XI.44, został wykonany 14.XI.44 w terenie.”

W tym samym piśmie zawiadamia się, że nekrologi i ogłoszenia o śmierci są zabronione.

Treść tego dokumentu jest mi znana dzięki uprzejmości pana Lecha Niekrasza, który wydobył go z Archiwum Dokumentacji Austriackiego Ruchu Oporu w Wiedniu.

A więc dezertor.

Po wykonaniu wyroku na Ottonie Schimku dowódca jednostki miał podobno powiedzieć swoim żołnierzom, że tak właśnie giną tchórze, którzy boją się walczyć z wrogiem.

Czy niechęć strzelania do bezbronnych jest tchórzostwem? Czy może zagrażać człowiekowi z karabinem człowiek nieuzbrojony?

Oficerowie jednostki, do której należał grenadier Schimek, a których nazwiska napotkał w wiedeńskim archiwum Lech Niekrasz, twierdzą co prawda, że ich jednostka nie brała udziału w rozstrzeliwaniu zakładników, ani partyzantów na ziemiach polskich. Ale na ten temat wiele mają do powiedzenia chłopcy z Machowej...

Oficerowie ci zresztą nie przypominają sobie, aby jakkolwiek żołnierz zginął z powodu odmowy udziału w egzekucji. Smutne, że nawet ksiądz kapelan Josef Seufert nie mógł przypomnieć sobie Ottona Schimka. Pytał go o to ksiądz Celiński, autor pierwszego artykułu, jaki pojawił się o Ottonie w *Tygodniku Powszechnym*. Owszem, ksiądz był kapłanem jednostki stacjonującej w Galicji, jak powiedział, lecz Schimka nie pamięta. Ale kiedy z okazji wizyty Papieża w Wiedniu na Kahlenbergu miała zostać odsłonięta tablica pamiątkowa ku czci Ottona Schimka – wówczas ksiądz kapelan przypomniał sobie tego żołnierza, straconego, jak się wyraził, za dezercję i tchórzostwo. W związku z czym tablicy nie odsłonięto – mówi Lech Niekrasz, który zapoznał się w wiedeńskim archiwum z korespondencją między księdzem Celińskim a księdzem Seufertem.

Tymczasem narasta gąszcz wątpliwości. Dlaczego – pytają ludzie w Machowej – koledzy, którzy przed końcem wojny przyszli do matki Schimka, nigdy więcej już się nie pojawili?

– Może zdążyli jeszcze zginąć na froncie – mówią – a może po prostu uznali, że wypełnili już swoją misję.

– Ilu ich było dwóch, trzech?

Nie wiem. Pani Kujal też nie pamięta. Nie uczestniczyła w rozmowie z nimi. W czasie, gdy odbywała się egzekucja Ottona Schimka, ludność Machowej, jak też i okolicznych wsi, została wysiedlona. Zbliżał się front. Wracali później do zniszczonych domów i historia bohaterskiego żołnierza armii Wehrmachtu była zapewne ostatnią sprawą, którą byliby skłonni się wówczas zainteresować... Ktoś gdzieś coś słyszał, ale nawet ci, w których pamięci pozostał ślad obecności Ottona

na tej ziemi, milczeli. Mało to było własnych zmartwień? Mało zaginionych bohaterów? Dopiero gdy ksiądz Szydłowski, już po wizycie pani Kujal powiedział na odpuszcie w 1970 roku o postawie i śmierci Ottona Schimka, ludzie zaczęli sobie coś przypominać. Ale minął czas. I wielu z tych, którzy mogliby stać się choćby pośrednimi świadkami życia Otto Schimka w Polsce, dawno zmarło.

Pozostały rwące się nitki wspomnień. Młynarz ze wsi Jaworze opowiada, że widział, jak dnia pewnego żołnierze Wehrmachtu biegali do czyjeś sadu na jabłka. A jeden z nich nie poszedł. Udał się do przydrożnej kapliczki Matki Boskiej, by się pomodlić. Młynarz wdał się z nim w rozmowę. Chłopiec powiedział, że ma 19 lat i pochodzi z Wiednia...

Sołtys wsi, pan Pieczonka, przypomina sobie zdarzenie, które miało miejsce na jesieni 1944 roku. Rodzina Pieczonków nie została wysiedlona, natomiast w domu jej stacjonował oddział Wehrmachtu. Rodzice, którzy z czasów pierwszej wojny światowej znali trochę niemiecki, lubili sobie czasem pogadać z kucharzem, panem Guttmanem. Pewnego dnia przyszedł pijany i markotny. Pani Pieczonka zapytała go, dlaczego płacze. A bo dziś będziemy strzelać swojego – powiedział. Na pytanie – dlaczego? – odparł: Bo nie wykonał rozkazu. Sołtys Pieczonka, wówczas kilkunastoletni chłopiec, nie rozumiał treści rozmowy, ale słyszał ją i widział zapłakanego Guttmana. Matka powtórzyła mu później słowa żołnierza.

– A dlaczego nie ujawnił się nikt, komu Schimek uratował życie – pytają ludzie z Machowej.

– Skoro Schimkowi wyznaczono zadania w plutonach egzekucyjnych, to nawet jeśli on nie chciał ich spełnić, spełniał kto inny... – mówię kobiecie.

Nad grobem Ottona Schimka zaległa cisza. Lecz cisza niespokojna, pełna domysłów i pragnień. Nawet ci, którzy o Schimku prawie nic nie wiedzą, chcą wierzyć, że taki żołnierz był, że w ogóle może istnieć. Taki żołnierz, który nie będzie strzelał...

– Nam wszystkim byłoby lepiej – powiedziała do mnie nauczycielka ze wsi Machowa – gdybyśmy tak naprawdę i bez zastrzeżeń uwierzyli w Otto Schimka.

Byłoby nam wszystkim o wiele lepiej, gdybyśmy uwierzyli, że człowiek nie musi zabijać...

Żyją ludzie, którzy mogliby dać świadectwo tej prawdzie. Ale nie w Polsce należy ich szukać. Byli żołnierze i oficerowie Wehrmachtu, którzy milczą lub dostarczają dowodów przeciwko „dezertorowi”, wyjaśniliby zapewne okoliczności śmierci człowieka, który poświęcił swoje życie, aby nie odbierać go innym. Lecz czy mają po te-

mu motywacje? Postawa Schimka obarcza ich sumienia, śmierć oskarża. Ale też wielu jest ludzi, dla których Otto Schimek stanowi źródło wiary w człowieka. Dlatego nie jest wykluczone, że poznamy jeszcze niepodważalne dowody jego bohaterstwa. I przyjdzie czas, że znów spełni się przepowiednia Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: „I morderca na grobie twym kwiatek złoży...”

Ci, którzy zabijali, mówią: dezertier. Ci, którzy ocalili, zamilkli być może na zawsze. Ci, którzy żyją, poszukują symbolu i poszukują dosłowności.

— Bo żeby to było tak, jak z Ojcem Maksymilianem Kolbe — wdychając ludzie z Machowej — przeżył Gajowniczek i wszystko opowiedział...

Na ręce księdza proboszcza przychodzi tymczasem list:

„Należę do pokolenia, dla którego pytanie, czy ci wszyscy Niemcy byli tacy? Dlaczego? — było jednym z zasadniczych pytań moralnych. Długo pozostawało bez odpowiedzi, wyciszone, ale nie zapomniane. W historii Otto Schimka znalazło nagłe oświetlenie namacalne, bliskie.”

Do księdza Szydłowskiego przyjechali kiedyś studenci z Warszawy zostawiając maszynopis zatytułowany: „Cóż mamy do stracenia?” i opatrzony mottem:

„Obawa śmierci jest u ciebie obawą samego siebie przyjrzyj się temu przed czym tak rąco uciekasz! To twoja własna twarz jest, to nie jest oblicze śmierci

Twój duch jest jak drzewo, a śmierć liściom podobna” — fragment wiersza autora Rumi, poety perskiego z XIII wieku.

Tekst zawiera omówienie biografii Ottona Schimka oraz ankietę skierowaną do młodzieży wsi Machowa:

1. Czy w wieku 19 lat można posiadać tak zdecydowane przekonania?

2. Czy takie zachowanie, mimo sprzeczności z prymitywnym instynktem samozachowawczym, jest patologiczne?

3. Czy jedynym powodem takiego zachowania jest religijność?

4. Czy twoi rodzice stanęli po stronie Ottona, czy jego sędziów?

5. Czy nadszedł już czas na spełnienie nadziei Ottona: „Będzie też chyba moja sprawa wyjaśniona ludziom później, być może w lepszym życiu...”

Ksiądz Szydłowski uważał, że ankietę za trudną jest dla młodzieży wiejskiej i nie rozprowadził jej wśród miejscowej ludności. Niemniej jednak w dokumentach parafialnej kancelarii natknęłam się na fragmenty wypracowań uczniów szkoły w Machowej:

„On jeden stał się zaprzeczeniem ludowego powiedzenia: jak świat światem, Niemiec nigdy nie był Polakowi bratem. Gdyby na świecie było więcej takich ludzi, jak Otto, nigdy nie doszłoby do żadnych zbrodni” — uczeń klasy VIII.

„Moim zdaniem Otto powinien być beatyfikowany, by świat dowiedział się o jego czynie i brał z niego przykład” — uczennica klasy VIII.

„Niby taki sam, jak inni, a jednak inny w życiu codziennym... Za wielką odwagę i bohaterski czyn należy mu się wdzięczność... Boże w Trójcy Jedyny proszę Cię o beatyfikację dla Otto Schimka.”

Na końcu wypracowania dopisek: „Ottonie, proszę Cię, wstaw się w tej trudnej sytuacji za Polskę, moją Ojczyznę” — uczennica klasy VIII.

Tragiczny jest również świat, którego Schimek nie dożył. Świat wojen, przemocy, niewoli. Pytanie: czy człowiek musi być posłuszny rozkazom jest tak aktualne, że nie pozwala zapomnieć o postawie Ottona. Przeszłość związana z jego osobą snuje się po głowach współczesnych budząc moralny niepokój.

Z niego też zrodziła się sztuka, którą o Ottonie Schimku napisał Tadeusz Bańkowski z Kongregacji Oratorianów. Przedstawienie zatytułowane „Nikt nie ma większej miłości” wystawione zostało 14 listopada w klubie przy kościele Ojców Filipinów w Tarnowie i odegrane przez młodzież parafialną. Zaczyna się od sceny, w której Otto słuchając radia dowiaduje się, że jego rocznik idzie do wojska. Matka prosi go: wyłącz tę szczerkaczkę. Córka powiada na to: i z tej propagandy można się wiele dowiedzieć. Jeśli za dużo mówią o sukcesach, to znaczy, że przegrywają. Sztuka składa się z różnych scenek opowiadających zdarzenia zaczerpnięte z artykułów o Ottonie Schimku. Stanowi przykład losu męczennika, który poświęcił życie swoje za przyjaciół swoich. Koledzy z jednostki wiedzą, że Otto jest niewinny. Być może nawet zazdroszą mu szlachetności, na którą nie mają odwagi. Otto zostaje sam.

A nas wszystkich nurtuje pytanie: Czy byłeś na świecie sam? Czy jesteś sam, Ottonie? ■

miesięcznik polityczny
N° 28 WARSZAWA - KRAKÓW cena 80zł

NIEPODLEGŁOŚĆ
(WYDANIE ZACHODNIE)

BOX 2113
22002 LUND 2
SWEDEN

photo press film INDEPENDENT POLISH AGENCY

Terra nova

Podziwiam ludzi wiernych od „kołyski” po grób tym samym ideałom, afiszujących się dozgonną ideologią. Taką czy inną; to nieistotne. Intrygująca jest ich stałość, w którą – nie kryję – trudno mi uwierzyć. Szczególnie, gdy zanalizuję własne, prawie cztery dziesięciolecia spędzone na tej najmilszej z planet. Ileż to razy zmuszona byłam zmieniać swoje sądy, spojrzeć na dany problem pod innym kątem, odrzucić poglądy narzucone wieloletnią indoktrynacją przez dom rodzinny i szkołę, przejęte od przyjaciół.

Jeden z kolejnych procesów reedukacyjnych rozpoczął się 13 grudnia 1981 roku, po udanej ucieczce do Berlina Zachodniego.

Kapitalizm znałam z trzech źródeł: okresu wczesnego dzieciństwa, które spędziłam w Niemczech i, z którego to najbardziej utrwaliły mi się wędrujące „wesołe miasteczka”; z opowiadań rodziców obejmujących okres od 1923 do 1954 roku oraz opowieści rówieśników wyjeżdżających „na roboty” do Europy Zachodniej.

Z emigracją bloku wschodniego i jej działalnością wiązałam nazwiska: Miłosz, Hłasko, Sołżenicyn oraz czasopismo „Kultura”; z młodymi emigrantami okresu „Solidarności” – obóz w Traiskirchen.

Wydawać by się mogło, że tak uboga wiedza o nowym środowisku ułatwi zaasymlowanie się w nim. Tak się jednak nie stało. Wprost przeciwnie. Okazało się bowiem, że poza niewielu konkretnymi wiadomościami na temat Zachodu przywiozłam co najmniej tyleż wyobrażeń. W większości powstałych na bazie kontrastu do komunistycznej rzeczywistości, zakładających dogłębną znajomość systemu sowieckiego przez tutejszych obywateli, ich wysoki poziom kulturalny, wyrobienie polityczne.

Będąc w szczęśliwym położeniu osoby władającej językiem niemieckim mogłam już od pierwszych dni studiować otaczający mnie świat. Rozmowy z przygodnie poznanymi tubylcami, czasopisma, książki, programy radiowe i telewizyjne – stopniowo wgłębiałam się w problemy tutejszego życia. Dochodziły własne doświadczenia zebrane w ciągu upływających miesięcy. I tak, dzień w dzień przybywało rozczarowań.

Zaczęto się już w samym Berlinie. Stałam oko w oko z opisywaną przez Parkinsona biurokracją sektora państwowego. Co innego czytać jednak czyjeś humorystyczne rozważania, żyjąc w do cna biurokratyzowanej „komunie”, a co innego przekonać się o ich autentyczności na własnej skórze.

Obóz na Marienfelde, komenda policji, rady dzielnicowe, *socjal* na Amrumerstr., nawiasem mówiąc perła wśród instytucji zajmujących się cudzoziemcami – te i wiele podobnych miejsc dane mi było odwiedzić w trakcie niespełna dwumiesięcznego pobytu w tym mieście. I wszędzie roіło się od najwierniejszych sług państwowej maszyny.

„Kolejny numer!”

„Jaki pan ma numer!”

„Bez numerka nie przyjmujemy!”

„To nie u nas!”

„Nie wiemy!”

Bezosobowość i niekompetencja!

Bezsilna wobec urzędniczej gadaniny, mętnych wyjaśnień i dezinformacji, równocześnie jednak zmuszona korzystać z usług bezdusznych formalistów z utęsknieniem szukałam jakiegoś rozsądnego wyjścia. I znalazłam! Metodą wykorzystywaną niejednokrotnie w kraju – „na piśmie”! Prośba, zapytanie, dyplomatycznie, czy też stanowczo, obojętnie. Byle było na piśmie. Nader niewygodna forma załatwiania sprawy, szczególnie dla urzędnika. Pisma nie można wyrzucić, zbyć, pominąć; musi je rozpatrzyć. Odpłaca więc

pięknym za nadobne i zabiera się do opracowywania sprawy, pamiętając przy tym o zapewnieniu pracy komórkom równorzędnym jak i nadrzędnym efektem czego do petenta wpłynąć może definitywna odpowiedź dopiero po kilku miesiącach, poprzedzona plikiem pism wyjaśniających. O ile byłaby nie po jego myśli, radzę złożyć pismo odwoławcze do wyższej instancji.

Już z górą dwa lata prowadzę ożywioną korespondencję z różnymi państwowymi instytucjami, i nie narzekam. Większość moich problemów znajduje się co prawda jeszcze w trakcie rozpatrywania, są jednak i takie, które po kilkumiesięcznej wędrówce opuściły biurokratyczny labirynt z pozytywną adnotacją. Uzbrojona w cierpliwość staram się nie tracić nadziei. Oto cała filozofia!

Rozczarowanie wzbudziła we mnie także słynna, szczególnie z opowiadań dziadków, niemiecka organizacja. Gdzież ona gdzie? Przynajmniej we wspomnianym już przeze mnie sektorze państwowym, a z takim spotyka się zazwyczaj przeciętny *Asylbewerber* daremnie by jej szukać.

Cotygodniowa pielgrzymka na Amrumstr. i Puttkamerstr., udział w szturmowaniu baraku *socjalu*; wprowadzenie bonów żywnościowych o takim rozkładzie wartości, iż jednorazowy zakup litra mleka lub jednego chleba stawał się praktycznie niemożliwym; brak do końca stycznia 82 roku jakiegokolwiek informacji na temat praw i obowiązków ubiegających się o azyl — to tylko nieliczne przykłady swoistej dezorganizacji. Początkowo sądziłam, że jest to rodzaj „straszaka” obliczonego na zniechęcenie cudzoziemców do składania wniosków azylowych w RFN-ie, z czasem jednak zauważyłam, że obejmuje ona także mniej przedsiębiorczych i „wyszczekanych” tubylców.

Nie dość na tym, z przerażeniem obserwowałam nienajlepszą organizację pracy przedsiębiorstw zatrudnionych na zlecenie instytucji państwowych. Pracownicy odstawiali najpradziwszą socjalistyczną fuszerkę na koszt państwa. Piwo płynęło strumieniami, w górze unosiły się niebieskawe obłoki papierosowego dymu... a w tydzień po oddaniu nowej poczty do użytku, zaczął przeciekać dach; w dopiero co zbudowanym budynku szpitalnym łóżka nie mieściły się w drzwiach, za wąskie; po remoncie bloków socjalnych mieszkańcy zgłaszali setki różnorakich usterek...

Tymczasem wykonawcami byli zachodni specjaliści, czy jak to uwielbiają określać Niemcy, *Profi*. A to już osobny temat!

Tutejszy rzemieślnik wyposażony jest w zbiór narzędzi, o którym nasz krajowy może jedynie marzyć. Gabinety lekarskie wyglądają niczym salony wystawowe aparaty medycznej. Półki sklepowe uginają się pod szerokim asortymentem towarów. Wokoło pełno speców!

A mnie się marzy polski porządny konował. Bez tej całej maszyneryi, ale z głową. A ja tęsknię za polską kucharką, która z niczego zrobi żarcie, że palce lizać.

Zachodni fachowcy to specyficzny ludek. Facet od zagipsowywania dziur nie wbije gwoźdźcia, od tego jest gość od wkręcania śrub, któremu brak uprawnień do skrócenia kabla, ponieważ tym zajmuje się fachura-elektryk...

Pewna znajoma cierpiąca przez prawie rok na dość nieprzyjemne dolegliwości zaziębieniowe przeszła wszelkie możliwe badania, poznając przy okazji super precyzyjny sprzęt diagnostyczny, zanim zaaplikowano jej... ciepłe niewymowne. Dobrze, gdy lekarze kilkumiesięczne poszukiwania kończą się tak prozaicznie. Zdarza się, że lekarze skoncentrowani na zbieraniu danych produkowanych przez skolekcjonowaną aparaturę, nie zauważają postępującej choroby. Fachowy analfabetyzm! *Fachidioten!* Cóż pomogą najcudowniejsze maszyny, jeśli człowiek nie potrafi z nich skorzystać? Jeśli opiera się wyłącznie na tabelarycznych danych pomijając jedną z najbardziej precyzyjnych aparatów, jaką jest mózg ludzki?

Dotyczy to prawie wszystkich dziedzin zachodniej rzeczywistości. Czy tego typu „wąskotorowe” wyszkolenie jest wynikiem zaleceń tutejszego „wydziału” oświaty, czy też kryje się za nim zapotrzebowanie, ponoć dogłębnie przeciążonego i zestresowanego

społeczeństwa — trudno powiedzieć. Problem zaczyna nabierać jednak cech kryminalnych, gdy działalność niektórych fachowców wskazuje na brak solidnej wiedzy, ma charakter *besserwisserstwa* i prowadzi na dodatek do kształtowania opinii publicznej.

Mam na myśli tutejszych „specjalistów do spraw wschodnich”. Dziennikarzy, naukowców i polityków zajmujących się problematyką bloku sowieckiego; analizujących, opracowujących, komentujących, wreszcie wyjaśniających swoim obywatelom wydarzenia zachodzące w krajach na wschód od Łaby. Większość tych nieomylnych znawców powołuje się na wypowiedzi członków kół rządzących, jak i zaprzyjaźnionych kolegów po fachu, wykazując daleko posuniętą indolencję na polu poznawania opinii przeciętnego obywatela „demoludów”.

Przykładowo, jesienią ubiegłego roku, w kilka tygodni przed ponownym wprowadzeniem kartek na masło, pewna hrabina w jednej z bardziej poczytnych gazet niemieckich „opiewała” zmiany, jakie zaszły w Polsce. I tak — masła i jajek było w bród, wydajność pracy wzrosła, rzemieślnicy świetnie zarabiają, Związek Radziecki pomaga jak może, w 1984 roku wchodzi prawo, w myśl którego obywatele naszego kraju będą mogli współuczestniczyć w konsultacjach społecznych... A jeżeli rzeczywiście dojdzie ten fakt tylko i wyłącznie Stanom Zjednoczonym, których sankcje gospodarcze doprowadziły do zwiększenia uboju zwierząt. Arystokratyczna dziennikarka powołuje się na wypowiedzi panów Czyrka i Rakowskiego, ministra sprawiedliwości i tym podobnych aktywistów ruchu „robotniczego”.

Z okazji śmierci Andropowa, telewizja zachodnioniemiecka wyświetliła film dokumentalny o życiu zmarłego, przeplatając go wypowiedziami emigrantów rosyjskich. Program można by zaliczyć do ciekawszych, gdyby nie jego szokujące zakończenie. Na ekranie ukazał się kolejny zachodni „specjalista do spraw wschodnich”, pracownik popularnego „Spiegla” od którego dowiedzieliśmy się, że... „wszystko nie jest wcale takie straszne”. Andropow w swoich zamiarach rozbrojeniowych po prostu nie natrafił na „odprężeniowo” nastawionego przeciwnika. Andropow nie był winien zestrzelenia koreańskiego samolotu pasażerskiego, albowiem był w tym czasie nieobecny! Za rządów Andropowa wiele zmieniło się na lepsze — przykładowo robotnicy rosyjscy nie robią już nagminnie zakupów w trakcie godzin pracy! I tak dalej, i tak dalej. Na koniec prognoza dziennikarskiego fachmana — następnym sowieckim sekretarzem będzie Ustinow! Czernienko jest bowiem za stary i żeby cały kraj nie musiał cierpieć z powodu chorobowych niedomagań szefa partii... nie zostanie wybrany!

Dlaczego tutejszy obywatel miałby wątpić w przekazywane mu prawdy? Jak tu nie wierzyć specjalistom?

Tego typu przykładami można zapisać setki stron. Jak zauważa w swojej książce „Der Medien — Krieg” Paula Lendvai, ... niektórzy obserwatorzy zachodni skłonni są uważać Związek Sowiecki, a wraz z nim pozostałe kraje bloku wschodniego za kraj, jak każdy inny. W tutejszych środkach masowego przekazu mówi się bez żenady o komunistycznych parlamentach, wyborach, partyjnych dyskusjach, o normalizacji... o rosyjskich kibicach sportowych w Jugosławii, etc., etc.

Słowa i sformułowania o jakże różnym znaczeniu po obu stronach Łaby. Pewna byłam, że w krajach, w których bynajmniej nie brak rzeczowej literatury na temat komunistycznego totalitaryzmu, nawet przedszkolak orientuje się, kim są sowieccy obywatele rozmieszczeni na trybunach i oklaskujący swoich zawodników. Kolejny niewypał!

Nawet część Niemców tego pokolenia, które na własnej skórze miało wątpliwą przyjemność posmakowania systemu totalitarnego, bierze grupę sprawdzonych aktywistów, ich rodziny oraz dzielnych pracowników KGB za najwzwyklejszych kibiców sportowych. Na szczęście pamięć wszystkim świetnie dopisuje. Wystarczy przypomnieć „pana z wąsikami”, a już wracają wspomnienia o cenzurze, zamordyzmie, lagrach i te powojenne o kolejkach, czarnym rynku, „załatwianiu”...

Te same pojęcia, ten sam system!

Zupełnie odmiennie wyglądają rozmowy z pokoleniami powojennymi, ludźmi urodzonymi po pamiętnym roku zerowym. Pewien młody mężczyzna, z zawodu rzemieślnik, przekonywał mnie zawzięcie, że „Sowietci nie przyjdą”, równocześnie wychwalał pod niebiosa import sowieckiego gazu ziemnego. Że pierwsza faza tej wspaniałej transakcji obejmuje Berlin Zachodni, miasto, które na własnym ciele odczuło twardą rękę kremlowską, nie robiło na nim większego wrażenia.

„Blokada? – to przecież historia, przeszłość!”.

„Zakręcenie gazowego kurka? Ale po co?”

Prawda?

„Ale po co Rosjanie mieliby na nas napadać, jeśli będziemy bezbronni?” Rzeczywiście – po co? Zapytajcie chłopów afgańskich, może oni wiedzą.” To fragment z książki Władimira Bukowskiego, „Pacyfiści kontra pokój”. Na całe szczęście nie tylko mnie frajuje problem wiarygodności i łatwowierności, jaką darzy się na Zachodzie sowieckich władców.

Przytoczone powyżej pytanie wiąże się ze wzrastającą w ostatnich latach popularnością utopii jednostronnego rozbrojenia, propagowanej przez „siły postępu i pokoju” wolnego świata. Któż to taki? Ano, Zieloni, Czerwoni oraz inni Pacyfiści. W przeważającej części młodzi intelektualiści.

Po prawie trzyletnim pobycie w Niemczech nie mogę przestać się dziwić. Przyzwyczaiłam się już do wielu dziwactw: wiem, że wypada mieć lepszy wóz od przyjaciela, że będąc kierownikiem nie wypada palić skrętów, że wypada spędzać urlop na wyspach Kanaryjskich, że... Ale żeby intelektualistycznie wypadało mieć koniecznie lewicowe poglądy? Ze szkoły pamiętałam, iż osobnicy hołdujący filozofii intelektualnej, innymi słowy platonowskiemu realizmowi, uważają rozsądek za źródło wszelkiego poznania. Jakiż jednak rozsądny człek głosił będzie, po dogłębnym zapoznaniu się – a okazji ku temu w tej części świata nie brak – z naturą komunistycznego reżymu, sławną rymowaną *lieber rot als tot* lub *better red than dead*?

Jednym słowem, nie jestem intelektualistką! Miłuję co prawda pokój, ale cóż po nim, gdy brak wolności? Ta z kolei, podobnie jak miłość nie jest sama przez się zrozumiała. Gdy jej brak trzeba o nią walczyć, kiedy się ją posiada, trzeba jej bronić.

Wracamy do punktu wyjściowego. Bezbronność obroną na ewentualne zakusy agresora?! Zawstydzi się... i da spokój?!

Słuchając przed laty w polskich massmediach relacji o „Wielkanocnych marszach pokojowych” ogarniających cały świat nie sądziłam, że ulicami zachodnich metropolii maszeruje kolejny *hit*.

Moda na „pokój”!

Do dobrego tonu piosenkarzy, pisarzy, dziennikarzy, polityków i wszystkich pozostałych „wystawianych” na widok publiczny, należy uwzględnienie w swoim repertuarze haseł: pokój, rozbrojenie, „niehumanitarna bomba N”, *ein bisschen Frieden*...

Pokój ludziom dobrej woli, skuteczniejsze – uczucie strachu ludziom złej woli!

Ta ledwie przeze mnie muśnięta problematyka ma pewien hak. Nazwijmy go ogólnie „alternatywnym rozrabiactwem” na drodze do starego jak świat celu – władzy!

Dotyczy to niestety właśnie tych „jakże postępowych grup” zielono-czerwonych intelektualistów. Ich programy wypełnione są po brzegi nakazami i zakazami – wszystkie w imię dobra ludzkości.

Skąd my to znamy?

Czerwona ideologia zapakowana w tym przypadku w zieleń umierających drzew. Nikt nie przeczy, że w ostatnich latach zaniedbano otaczającą nas przyrodę, że w niektórych rejonach Europy zanieczyszczenie powietrza, rzek i ziemi jest alarmujące. Cóż jednak pomogą odgórne zarządzenia, kontrole, środki zaradcze, jeśli przeciętny obywatel nadal będzie obrabiał swój ogródek działkowy najróżnorodniejszymi chemikaliami, bezsen-

sownie wycinał zdrowe drzewa rzucające cień na okno altanki, wystawiał psy, które stały się dlań zbyt uciążliwe...

Marzenia o idealnym świecie, równości i sprawiedliwości towarzyszyły naszym pracownikom, towarzyszyć będą naszym prawnikom, z nich wyrasta prędzej czy później każde dziecko. Trudno jednak na nich konstruować partię polityczną.

Człowiek jest co prawda istotą rozumną i dwunożną, a pomimo to jest jednym z członków ziemskiej fauny i jako taki z natury agresywny, gotów każdej chwili zastosować przemoc, czy to fizyczną czy też moralną, celem zaspokojenia swoich potrzeb materialnych jak również duchowych. I na tym bazują twórcy czerwonych, zielonych i podobnie totalitarnych partii.

Brak wewnętrznej logiki?

Idealizm, a równocześnie gwałt?

Mechanizm tych zależności jest bardzo prosty. Przyjrzyjmy się drapieżnikom. Natura zmusza je do zacieklej walki o przeżycie, o swoją rację żywnościową. Wystarczy jednak zamknąć je w klatce, codziennie obdarzać mięsnym smakołykiem, a łagodnieją. Ich potomstwo, urodzone w ogrodach zoologicznych wygrzewa się apatycznie na słońcu i łaskawie dopuszcza do siebie opiekunów.

Człowiek jest z natury leniwym stworzeniem. Wystarczy mu obiecać spokojną egzystencję, możliwie równy podział dóbr materialnych oraz sprawiedliwość, a już wydaje się być zadowolonym. Ktoś jednak musi się zająć wcielaniem w czyn tych ideałów. Tak to powstaje elita wykonawców, zwiększających z roku na rok liczbę swoich członków i wielkość swoich dóbr i uprawnień. Tego przeciętny szarak nie może zdzierżyć.

Miało być równo!

Któż by jednak dawał sobie odebrać raz przywłaszczone w ten czy inny sposób mienie, wywalczoną kierowniczą posadkę?

W ten to bardzo uproszczony sposób powstał czerwony terror, powstałby także zielony!

Rozczarowanie goni za rozczarowaniem.

Jakże można być tak ślepy i głuchy? „Finlandyzować się”, czerwienić i zielenić, obserwując pod swoimi drzwiami biedniejszą i zniewoloną przez system sowiecki strefę wschodnią?

Ale, z ręką na sercu, kogo to właściwie tutaj interesuje? NRD, ZSRR, Polska? Ot, geopolityczne położenie, traktat jałtański. Tak ustalono, tak musi być i... niech tylko nie podskakują, bo nie daj Boże coś się stanie! Zgadniają się na wszystko, byleby nie było wojny, nawet na *rot...*

Tego nie przewidziałam. Sądziłam, że moja działalność polityczna, pisarska będzie się ograniczała do wspomagania tutejszego ducha antykomunistycznego. Tymczasem zajmuję się przekonywaniem Niemców i... — o zgrozo! — młodych rodaków przybyłych w ostatnich trzech latach na Zachód, o konieczności i sensie walki z grożącą Europie ekspansją ideologii sowieckiej.

Po cóż wyjaśniać naszym rzeczy jasne, zrozumiałe, setki razy doświadczone na sobie samych? No cóż, systemowi wschodniemu udało się wychodować stworzony zwany *homo sovieticus*. Dla niego Zachód jest jednym wielkim Pewexem. Imperializm dobrym wujaszkiem, wynagradzającym obficie każdego uciekiniera z tego znieprawionego komunizmu. Technika kwitnie na każdym rogu, biurokracja jest na wymiarciu, wszystko funkcjonuje jak w zegarku.

No i przyjechali! Proszą o azyl, o „Duldung” i czekają... na zezwolenia, przedłużenia, *interview*, mieszkania, pracę. A obok toczy się barwne życie. Ulicami pędzą wspaniałe wozy; kuszą wystawy sklepowe; zadowoleni, syci Niemcy koszą trawę wokół własnych domków jednorodzinnych.

Czy *socjal* wystarczy do pierwszego?

Czy w *Caritasie* dadzą ciuchy czy gotówkę?

Działalność polityczna? Nie po to wyjechali, „nadziałali się” dość w kraju. Mają chyba wreszcie prawo „używać żywota”! Jak się tylko urzędzą pojedą do kraju na odwiedziny. I kto im podskoczy, dewizowcom? Nawet powiatowy „pierwszy”, kłaniać się będzie w pas.

Współziomkowie wycofują podania azylowe, starają się o wizy emigracyjne do krajów zamorskich i popadają w kolejny okres oczekiwania. Niemieckiego się nie uczą, bo zamierzają wyemigrować, angielskiego nie zakuwają, bo kto wie czy w ogóle wyjadą? Jedno jest dla nich pewne — pewnego dnia zastartują! Urzędzą się! Urzędzą się, a wtedy oczy wszystkim na wierzch wyjdą! Tym w kraju, co nie wierzyli i tym tutaj... szwabskim urzędasom, co ich jak żebraków traktują, odmawiają pomocy materialnej „znieważając” tym samym podstawowe prawa ludzkie, obdarzają ochłapami w postaci ciuchów i mebli wyrzuczonych przez ichnie społeczeństwo obfitości.

Mijają miesiące, lata, a nasi milusińscy nadal czekają na cud. Do kraju wracać — wstyd; żyć tutaj — beznadzieja! Podniecają się zaistniałą sytuacją, niepewnością jutra, zachodnim kryzysem. W swoim sosie, przy pół litrze dochodzą do najbardziej czarnych wniosków.

Nie wierzą już w Zachód, w demokrację! Białolą nad brakiem sprawiedliwości i równości. Z goryczą dzielą świat na ludzi sytych, broniących swej władzy i forsę oraz „ludzkie śmietnisko”, do którego zaliczają cudzoziemców i Niemców zdanych na pomoc socjalną, mieszkających w ponurych, wilgotnych ruderach.

Taki nastrój skłania do szukania alternatyw. A te można bez większego trudu znaleźć u wspomnianych „Zielonych”. Z jednej strony trudno mi się pogodzić z istnieniem emigrantów i uciekinierów z bloku wschodniego, którzy wygłaszają te same co w swoich krajach poglądy, dostosowując je sprytnie do tutejszych warunków. Z drugiej strony podziwiam ich łatwość integrowania się z zachodnimi warstwami „postępu”. Czy świadczy to o cwaniactwie, czy tępotcie?

Zapewne jeszcze upłynie wiele wody nim poznam i zrozumieć wszystkie mechanizmy rządzące tutejszą rzeczywistością, nim zaznajomię się z szeroką paletą wygłaszanych tutaj poglądów i opinii. Ale jedno wiem już w tej chwili — przebywam w świecie demokratycznym, jak dotychczas najbardziej optymalnym systemie, jaki urzeczywistniono w ostatnich kilku stuleciach. Systemie, w którym miliony właśnie tych „małych ludzi” decydują o życiu społeczno-politycznym zachodzącym w ich kraju. Oczywiście jeśli chcą, jeśli przekonani są o słuszności swych poglądów i są zdeterminowani walczyć o ich realizację.

Dobitny przykład działalności „małego człowieka” przeżyłam przed rokiem. Władza ogłosiła spis ludności. Niektórzy obywatele niemieccy uznali to za akt ingerencji w ich osobiste życie. Wystarczyło zaskarżenie państwa przez dwie hamburskie prawniczki, aby sąd w Karlsruhe rozpatrzył przedstawione obiekcje, a spis został storpedowany.

Ustrój demokratyczny daje każdemu z osobna i wszystkim razem szansę kształtowania otaczającej rzeczywistości. Nikt odgórnie nie narzuca, co słuszne a co fałszywe. Każdemu przyznaje się prawo do wygłaszania własnych poglądów, realizacji własnych celów i dążeń, o ile naturalnie nie wykraczają one poza przyjęte demokratycznie normy prawne. Życie w tym systemie niewiele ma wspólnego ze „stabilną i spokojną vegetacją” mieszkańców bloku wschodniego. Przypomina raczej atmosferę kłótni, waśni i radości, jakie przeżywają członkowie każdej najmniejszej komórki społecznej, jaką jest rodzina. Ojciec próbuje rzucić twardą ręką, matka odkryła powtórnie ruch emancypacyjny, dzieciaki „uwiaryły” w szkolny stres, dziadek snuje opowieści o starych, zdyscyplinowanych czasach, wnuk uważa pracę za przeżytek, wymalował włosy na żółto i codziennie punktualnie zjawia się na rodzinnym obiedzie, wujek otworzył własny sklep i haruje od rana do wieczora, kuzyn, zazdroszczący mu wielkiej „mamony”, zapisał się do DKP i walczy przeciw „krwiopijczemu” imperializmowi, babcia zaczytuje się brukową prasą,

wnuczka walczy o likwidację tego typu literatury, jako ogłupiającej szczególnie świat kobiecy...

Wiele mogłabym jeszcze opowiedzieć o tej wielkiej rodzinie. Czasami rzeczywiście nie wiadomo, o co jej chodzi. Jedno jednak nie ulega wątpliwości — jest żywa!

Początkowo było mi trudno przyzwyczać się do dziennikarzy o poglądach od skrajnie konserwatywnych do skrajnie czerwonych, do demonstracji, apelacji, proklamacji; do rozdyktowanych homoseksualistów walczących o swoje prawa, gospodyń domowych reklamujących biel bielszą od bieli; do wyśmiewających się nawzajem polityków; sensacyjności, z jaką relacjonuje się mordy i gwałty; do apolityczności szerokiego ogółu...

W pierwszym roku mojego pobytu na Zachodzie denerwowały mnie te przejawy wolności — zrobić porządek z tym całym bractwem, wprowadzić odpowiednie zakazy, nakazy, kary...

Mentalność *homo sovieticus* — przyzwyczajono nas do swoistego „porządku”! Jak bardzo zostaliśmy z biegiem lat wyćwiczeni w tym jedynym, najlepszym systemie wszechświata, komunizmie, widzę na podstawie rozdzwigników zachodzących coraz częściej między mną a rodziną pozostawioną w kraju. Ich zdaniem wytrzymają. Przeżyli wojnę, Stalina, przeżyją także „chwilowy” kryzys gospodarczy kraju. Chwila, trwająca dzięki partii już prawie czterdzieści lat.

Problem w tym, że stąd widzi się wiele jaskrawiej zachodzące u nas, jak i w sąsiadujących krajach socjalistycznych, zjawiska. Dopiero tutaj w całej okazałości odczuwamy niewolę naszego narodu, beznadziejność jego położenia. Z trwogą obserwujemy demoralizujący wpływ sowieckiego reżymu nie tylko na swoich poddanych, ale także na społeczeństwa demokratyczne, które nie są w stanie docenić wywalczonej wolności, których pociąga zwycięstwo miernoty i lenistwa nad indywidualnym rozwojem jednostki.

Moja reedukacja trwa i trwać będzie zapewne jeszcze wiele lat.

Szczęśliwa reakcjonistka

REWIZYTA

Pojawił się wreszcie w ciemnym wylocie dworca kolejki podmiejskiej. Bez walizy.

— Stoi na podeście. Teraz twoja kolej.

Była ciężka jak sto skurwysynów. Cały nakład. Do samochodu dwa kroki; nogi ugięły się pod ciężarem strachu, i nie tylko. Cztery skrzyżowania i jesteśmy u pani teściowej, obca twarz na podwórku, gdzie wszyscy się znają. Już druga dziś — rano pojawił się kuzyn z prowincji, „zaufania godny człowiek” — poinformowała w ostatniej chwili.

Teraz siedzi przy stoliczku i składa, kartka do kartki, na pół i na ćwierć, okładka i można spinać, dziesięć w jedną stronę, dziesięć w drugą i pięćdziesiąt do koperty.

— Kawki, herbatki? — jak refren tych wszystkich dni. Pijemy kawę w milczeniu, pod niewy-

godnym jamnikiem jeszcze stopy papieru. Walizkę trzeba dziś odwieźć, siostra jedzie do Zakopca i potrzebuje. Tu, w starym domu jest bezpiecznie; ściany znane od lat, leniwe ciepło kaloryferów, tramwaje za oknem i prawdziwe, drewniane drzwi. Wieczór, rzadkie latarnie i ludzie na przystankach jak przed rokiem.

— Niewydrukowane spal, śmierdzą farbą — kuzyn wstaje, rozprostowując plecy, i idzie do kuchni z plikiem kartek w ręku. Zawsze szkoda cudzej pracy, choćby jednostronnie sfuszerowanej. Dalej składamy bez słowa, zbyt wiele było ich przedtem. Kończą się szare koperty, kończy się lekcja języka angielskiego, na zakończenie przypomnimy państwu najważniejsze wiadomości.

— Może herbaty? — idę do kuchni, w przedpokoju rozlewa się zapach tlejącego jeszcze papieru. Kuzyn, schylony nad blatem, podpała ostrożnie ostatnią porcję śnieżnych kartek. Widzę, jak na niezadrukowanych stronach czernieją powoli litery wierszy mojej żony.

Zupa na kościach

albo list do przyjaciela

Drogi Franciszku,

Twój list zastał mnie w stanie kompletnej frustracji. Nie ma we mnie żadnej, całej myśli; wszystko jest wątpliwe, rozbite, pokawałkowane. Dryfuję w sferze nieokreśloności pomiędzy „tak” a „nie”, błądzę między „czuję” a „rozumiem”. Nie byłem chyba nigdy bardziej osaczony przez beznadziejność, obcość i zwątpienie. Jałowy bieg myśli i uczuć, pomiędzy próżnym podnieceniem i nieuchronną depresją, czynią czczym dzień powszedni i święto. Wydaje mi się — ale jest to zapewne złudzenie podsycane przez stres i zdesperowaną wyobraźnię — że ów ostatni okres w Polsce, po wyjściu z obozu, był najszczęśliwszym w moim życiu. Anna oczekiwała dziecka, ja zwolniony z pracy „w drodze weryfikacji ideologicznej”, mogłem się wreszcie zająć dziesiątkami pomysłów, które od dawna chodziły mi po głowie. To prawda, że atmosfera w kraju, upadek naszej Sprawy i dno ekonomiczne przytłaczały. Zginały nasze karki i mąciły jasność myśli. Ale pomimo to otwierał się nowy, interesujący rozdział w naszym życiu. Dziecko, na które czekaliśmy tak długo, wraz z wyzwaniem rzuconym nam przez stan wojenny, otwierały nas na zupełnie nowe doświadczenie życiowe. Zapytasz zatem, jak to się stało, że w niespełna rok po naszym wyjeździe z kraju, wszystkie te nadzieje szczytły, spopieliły się i pozostał z nich jedynie trywialny żużel tamtych nadziei.

Sam sobie zadaję to pytanie. Mam w tej chwili dużo czasu, żeby to przemyśleć. Jestem uwięziony. Nie w tym dosłownym znaczeniu, ale moja sytuacja zaiste niewiele różni się od losu pensjonariusza zakładu karnego. Przebywam co prawda w normalnym mieszkaniu, ale nie mogę go opuszczać.

Dwa miesiące temu, gdy ostatecznie postanowiliśmy się rozstać z Anną, wiedzieliśmy, że wkrótce przyjechać ma w odwiedziny jej mama. Za wszelką cenę chcieliśmy ukryć przed nią i przed resztą rodziny, prawdziwy stan stosunków między nami. (To jest chyba ogólny syndrom emigracji — dla naszych rodzin w kraju wszystko ma być cacy. Na ich użytek, z listów, widokówek i kolorowych rodzinnych zdjęć, preparujemy kolorowy film reklamowy o zachodnim raju, naszym tu szczęściu, prosperity i błogiej wolności.) Starłem się wyjechać z obozu, znaleźć tymczasowe mieszkanie, i robotę „na czarno” na okres wizyty babci. Wszystko było na dobrej drodze. Babci mieliśmy zafundować bajeczkę, że tymczasem wyjechałem do innego miasta zwabiony atrakcyjną pracą. Niestety w ostatniej chwili plan spalił na panewce; nie było ani pracy ani mieszkania. Ponieważ miejscowość, w której miesi się obóz jest małym miasteczkiem i wszystkich widać jak na dłoni, nie było wyjścia. Musiałem zastosować wobec siebie areszt domowy.

Moja „cela” znajduje się tylko kilkadziesiąt metrów od mieszkania Anny. Babcia przechadza się często z Piotrusiem pod moimi oknami. Okna są panoramiczne i schodzą aż do ziemi. W związku z tym nie mogę przebywać w ogóle w pokoju. Niemal cały dzień przesiaduję w sypialni, w której mogę zaciągnąć żaluzje. Kiedy chcę coś zjeść, pełzam na czworakach (by nie zostać odkrytym) do kuchni.

Dzięki Bogu wieczorami mogę wychodzić na „spacernik”, przepraszam; na spacer. Babcia chodzi dość wcześnie spać i już koło wpół do dziesiątej mogę opuścić moją celę. Idę zazwyczaj nad morze, nad małą, malowniczą zatoczkę, obramowaną lasem i skałami.

Mniej więcej o tej porze słońce zanurza się w wodzie zachodząc za horyzont. Jest cicho, powierzchnia wody wygładza się i wszystko tchnie spokojem. Zmierzch zmywa ze mnie codzienny stres i przygnębienie. Nie trwa to jednak długo. Kiedy harmider gorączkowych myśli zaczyna zagłuszać głosy nocnych ptaków, wiem, że trzeba wracać.

W nocy śni mi się przerażająco pusty warszawski MDM. Ciemne ulice, zamierające gołe żarówki w kamiennych sklepach. Na hakach zamiast mięsa olbrzymie, wole oczy. Na ulicach kolejki po mięso i wódkę. „Panie czy już dowiedzieli?“, pyta mnie starzec wsparty na lasce.

Budzę się zlaný potem.

* * *

Próbuję znaleźć jakąś znamiennej sytuację, od której „to“ się zaczęło. Być może od mojej ostrej reakcji na nocną histerię Anny, gdy pierwszej nocy w Szwecji Piotrus nie chciał zasnąć?... Nie, chyba jednak od mojego wyjazdu na demonstrację. W kilka dni po naszym przybyciu do obozu, koledzy postanowili zorganizować wyjazd na demonstrację przed ambasadą polską w Sztokholmie. Wiązało się to z wydatkiem ok. 20 koron na kosztą podróży. Nie było to zbyt poważne uszczuplenie naszego budżetu rodzinnego: otrzymywaliśmy wówczas 620 koron tygodniowo. Nie mniej jednak nie czuliśmy jeszcze wartości pieniędzy. Annie suma ta mogła się wydawać znaczna. Starąłem się jej perswadować. Upierała się. Momentami traciłem cierpliwość i podnosiłem głos. W ostatniej chwili, gdy autobus już czekał, doszło do kolejnego spięcia. „Jak zwiąłeś z Polski, to teraz nie udawaj bohatera“, wykrzyknęła w złości.

Demonstracja była kompletnym niewypałem. Organizowana przez wojewódzki zarząd związków zawodowych ściągnęła nie więcej niż kilkunastu Szwedów, ale co jeszcze dziwniejsze niewielu Polaków z kilkutyśięcnej kolonii sztokholmskiej. Ci zaś, którzy przyszli nie zrobili tego bezinteresownie. Sprzedawali polskie książki, kasety i patriotyczne suweniry. Dwaj szwedzcy związkowcy wygłosili okolicznościowe mowy, później odśpiewali pieśń do słów Jo Hilla. na zakończenie było „Boże coś Polskę“. Wszystko trwało nie więcej niż 45 minut i było tak żenujące, że rozchodziliśmy się z ulgą.

Po powrocie swoje wrażenia opowiedziałem Annie. To był błąd. To ją utwierdziło w przekonaniu, że miała rację. Że nie powinienem być jechać. Że tu nie warto się w nic angażować, niczego robić. „Zamiast politykować trzeba się troszczyć o rodzinę“, stało się odtąd magicznym kluczem do szczęścia.

Jeśli owa sprzeczka, bo przecież jeszcze nie konflikt, wyda ci się błaża, to muszę dodać, że wszystko co stało się później, było naznaczone tym, incydentalnym wydawałoby się, rozdwojeniem spojrzeń na sytuację.

Kolejne doświadczenia potwierdzały raczej diagnozę Anny niż moje oczekiwania.

W obozie odbywały się co tydzień zebrania tzw. „grupy polskiej“ (wraz z nami przebywali tu uchodźcy z Ameryki Łacińskiej). W założeniu miały mieć one charakter samorządowy i rozstrzygać liczne drobne kwestie związane z naszym pobytom oraz stosunkami z administracją obozu. Podczas pierwszego zebrania, w którym wzięłem udział, wylano kubeł pomój na organizatora wyjazdu na demonstrację. Nie miało to żadnego związku z niepowodzeniem demonstracji. W czasie licznych masówek poprzedzających wyjazd nie można było doprowadzić do najprostszých ustaleń — kiedy, jak i czym jechać. Kostek w ostatniej chwili wynajął autobusy na własną rękę. Teraz okazało się, że jest jednostką aspołeczną, ma rozbujane ambicje, bo nie uzgodnił, nie skonsultował... Gdy piana opadła, zaczęła się część artystyczna, z żelaznym jak się później przekonałem repertuarem. Zastanawiano się co zrobić, żeby zlikwidować utrudnienia w dostępie do dentysty, zakupach mebli i odzieży, itp. Wiele z tych kwestii rzeczywiście irytowało nas wszystkich i nabrzmiewały one w związku z asekuranctwem i brakiem wyobraźni administracji obozowej. Nie mniej jednak...

- Koledzy, jak wiadomo nasze tygodniówki nie przewidują takich wydatków, jak fryzjer dla naszych żon. Jest to niedopuszczalne. Nasze żony mają prawo...

- Może żony ciupciaków (tak nazywano Latynosów) nie chodzą do fryzjera, ale ostatecznie my jesteśmy z Europy i trzeba to Szwedom uświadomić...

- Najlepiej postawić ich przed faktem dokonanym. Niech nasze żony idą do fryzjera, przyniosą rachunki do AMS-u i powiedzą, że nie mamy co jeść...

- Oni na to nie pójdą. Najwyżej potrąca nam fryzjera z pożyczki na zagospodarowanie. Trzeba się odwołać...

- Gdzie?

- Do zarządu AMS-u w Sztokholmie.

- Albo do Komisji d/s Uchodźców przy ONZ.

- Ostatecznie Szwedzi nie robią nam żadnej łaski. Dostają za darmo tylu ludzi z wyższym i średnim wykształceniem, że jeszcze na nas zarabiają.

I tak mniej więcej wyglądało co tydzień. Musisz przy tym wiedzieć, że warunki w obozie są właściwie luksusowe. Nie jest to zresztą w rzeczywistości żaden obóz, lecz normalne, szwedzkie osiedle mieszkaniowe. Mieszkamy tu w wielopokojowych mieszkaniach wyposażonych od podłogi po sufit we wszystko, co niezbędne do życia, łącznie z telewizorem.

Podczas zebrania grupy polskiej, najdrobniejsza sprawa, zajęcie stanowiska wobec której wymagałoby normalnie kilkunastu minut, ciągnęła się godzinami, wyzwalała popisy oratorskie z odwoływaniem się do klasyków i międzynarodowych konwencji. Niemal każdy czuł się zobowiązany do zabrania głosu, chociażby nie miał nic do powiedzenia, lub też to, co chciał powiedzieć, zostało już powtórzone kilka razy. Godzinami trwały na przykład dyskusje na temat: „kto-miał-dyżur-w-klubie-we-czwartek-i-dlaczego-nie-wyrzucić-śmiec-i-z-popielniczek-chociaż-powinien”.

Z czasem zauważyłem, że na zebrania przychodzi tylko garstka mieszkańców obozu, nie więcej niż trzydzieści procent. Byli to z reguły działacze, którzy w czasie legalnego istnienia „Solidarności” zdążyli się nabawić choroby zawodowej — zebraniomani. Życie ich bez zebrania wydawało się nie mieć sensu. W momencie, gdy zmarły one śmiercią naturalną, cierpieli nie tylko za siebie, ale i za „aspołeczną” większość.

Żeby ci uświadomić jacy to ludzie, scharakteryzuję kilku z nich.

Piotr, prawnik z północnej Polski, doradca Zarządu Regionu, przewodniczący „Solidarności” w małym miasteczku. W Szwecji zaczął robić „kolosalne interesy”. Był specjalistą od przecen i najbardziej wyszukanej taniocy w sklepach. Oszczędności, które robił dzięki temu nie wynagradzały mu bynajmniej upokorzenia i przykrości przy pożeraniu owych nieziemsko tanich delikatesów, których nie chciała tknąć rodzina. O Latynosach mówił wyłącznie: „Czarne mapły”, „Dzicy”, „Papuasi”, „Ciupciaki”. Mitygowany przeze mnie powiadał: „Ja tam nic przeciwko nim nie mam. To nie ich wina, że niedawno zeszli z drzewa”.

Antoni, członek zarządu jednej z sekcji branżowych w „Solidarności”. Najlepiej charakteryzuje go nie to, co mówił sam, lecz to, co mówił o nim nastoletni syn: „Mój tata był w Komisji Krajowej... Spawalnictwa — dodawał po chwili. Jest tu najwyższy rangą i wszyscy powinni go słuchać, no nie?”

Jurek, kierowca, współpracownik jednej z podziemnych oficyn wydawniczych. Z administracją obozu załatwiał wszystko. Brutalnie i po chamsku. Gdy wchodził do biura personel krył się po kątach. Żona Jurka, gdy zabrakło jej pieluch przed upływem regulaminowych 10 dni, przychodziła do biura i mokre pieluchy ciskała na biurko.

Wystarczy? Rzecz jasna nie wszyscy byli tacy.

Podjąłem się prowadzenia klubu filmowego w obozie. Było to zajęcie nadzwyczaj proste. Zobowiązywało mnie bowiem do wypożyczania 2-3 videokaset tygodniowo. Sądziłem, że znam wystarczająco dobrze produkcję światową, by pokazać innym serię dobrych, a nieznanych w kraju filmów.

Wybór jakiego dokonałem w pierwszym tygodniu był jednak fatalny. Trzygodzinny „Reds” Warena Beatty okazał się gniotem pełnym naiwnej sympatii dla Sowietów i komunistów w ogóle. Ale nie to, lecz fakt, że drugi film nie był utrzymany w konwencji „zabili go i uciekł”, rozwścieczyło dwóch stałych bywalców. Usiłowali oni przerwać projekcję filmu. Spokali się jednak z oporem pozostałych.

Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że wśród peniaczy narasta opozycja przeciwko dotychczasowemu kierownikowi grupy polskiej. Nie wiedziałem również, że ja sam uważany jestem za człowieka tamtego. Na kolejnym zebraniu rozpuszczono atak na owego kierownika, nie szczędząc mu złościwości ani zmyślonych zarzutów. Przegłosowano usunięcie go z tej funkcji, a wraz z nim i mnie uznano za osobę niekompetentną.

Anna była w pełni usatysfakcjonowana takim obrotem sprawy. To była kropka nad „i” jej stanowiska, że nie warto robić nic dla nikogo w tym gronie, jako że i tak nie potrafią tego docenić, a zamiast tego poniżą i oszkalują. Była przekonana, że to doświadczenie otrzeźwi mnie i „zawróci na łono rodziny”. Ja byłem przekonany, że niewielka stosunkowo grupa osób usurpuje sobie prawo do wyrażania opinii wszystkich.

Decyzji grupy polskiej nie przyjąłem do wiadomości. Podczas następnej projekcji poprosiłem o przegłosowanie wotum zaufania dla mnie. Nikt nie głosował przeciw.

W domu natychmiast obróciło się to przeciwko mnie. Gdy usiłowałem wyjść do miasteczka po filmy lub do klubu by włączyć video, Anna wynajdywała dziesiątki zajęć, które należało wykonać niezwłocznie. Nawet gdy nie udawało się jej znaleźć żadnego pretekstu, przymuszała mnie do zostania w domu, bo „nerwowo śpi, gdy mnie nie ma”.

Napisawszy to, sam sobie wydaję się niesprawiedliwy i egocentryczny. Nie chodziło właściwie o moje wyjścia do klubu. Za całą tą sprawą kryło się coś bardziej zasadniczego — lęk o przyszłość, tę najbardziej konkretną, chleb i pracę.

Trwały targi z pośrednikiem pracy o ułożenie naszych spraw po opuszczeniu obozu. Jako polonista na pracę w swoim zawodzie nie miałem tutaj żadnych szans. Jako pierwszy cel postawiłem sobie w związku z tym naukę szwedzkiego. Anna była innego zdania, że za wszelką cenę trzeba wystarać się o pracę; jakkolwiek — sprzątaczką, śmieciarza, pomywacza, a naukę języka odłożyć na później. Zależało nam na tym, żeby Anna sama wychowała Piotrusia do trzeciego roku życia, żebyśmy nie musieli oddawać go do przedszkola. I jej i mój wariant w zasadzie to umożliwiał.

Czekaliśmy również na mieszkanie. Szwedzi, jakkolwiek mają najlepsze chyba ustawy równościowe i antyrasistowskie, w głębi ducha, w znacznej części są rasistami. W Sztokholmie przy ogólnej zgodzie na nienazywanie rzeczy po imieniu, stworzyli w dwóch dzielnicach emigranckie getto. Upychali tam wszystkich tych cudzoziemców, którzy nie dość kategorycznie zaprotestowali. My powiedzieliśmy „nie”. Nie dlatego, że wzbranialiśmy się przed współżyciem z Turkami czy Chillijczykami, lecz dlatego, że nie pozostawiono nam żadnego wyboru. Postanowiliśmy zatem wziąć biuro pośrednictwa mieszkaniowego cierpliwością.

Zdaniem Anny moja działalność klubowa odciągała moją uwagę od starań o pracę i przyspieszenie przydziału mieszkania. W rzeczywistości robiłem co było w mojej mocy by popchnąć sprawy do przodu. Mimo że miało wielu znajomych zasiedziały w Szwecji, na krótką metę w sprawie mieszkania nikt nie był nam w stanie pomóc.

Nagle dostałem propozycję pracy w Sztokholmie. Napisał do mnie przewodniczący polonijnej organizacji, proponując objęcie posady redaktora w lokalnym programie radiowym. Wystarczyło zdaniem przewodniczącego przeskoczyć drobną formalność — uzyskać tzw. „Loenebidrag”, czyli etat dotowany przez organizację rynku pracy. Poprosiłem o załatwienie tego mojego pośrednika pracy. Po kilku dniach miałem odpowiedź: „Loenebidrag przyznaje się wyłącznie osobom, które przekroczyły 50 rok życia lub są inwalidami”. Zaskoczony tymi warunkami zapytałem pośrednika, co mam sobie obciąć rękę czy nogę, żeby dostać ten etat. „Nogę — odpowiedział po zastanowieniu — Ręka będzie ci potrzebna przy pisaniu na maszynie”.

W klubie im bardziej ubywało uczestników zebrań grupy polskiej, tym bardziej przybywało widzów na filmach. Pewnego dnia doszło do konfrontacji. Zebranie grupy wyznaczono na kilka godzin przed planowanym pokazem filmów. Gdy przyszła pora projekcji ostatni Mohikanie grupy polskiej kotłowali się jeszcze w polemiczno-zapaśniczych chwytach. Gdy udało się ich wreszcie nakłonić do opuszczenia sali, jeden z nich rzucił z przekąsem:

— To na zebrania się nie chodzi, a oglądać bzdury to wszyscy chętni. I to ma być „Solidarność”...

— „Solidarność” siedzi w Polsce — odparował któryś z widzów — W więzieniach!

Gwoździem do trumny grupy polskiej było spotkanie z przedstawicielem Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Przyjechał on do obozu wiedziony troską o tych, którzy mają kłopoty w połączeniu się z rodzinami. Nic to. Awangarda grupy polskiej ruszyła do ostatniej szarży: Fryzjer, dentysta, że można byłoby kupować naszym dzieciom dwie pary butów a kupuje się jedną. Padło nawet pytanie: „Jaki przepis prawny reguluje możliwość sfinansowania przez AMS w y c i e c k i do Polski uchodźcy politycznemu?”.

Żeby jednak nie być niesprawiedliwym muszę dodać, że działają tu na nas różne ciśnienia, mające swoje źródło w szoku aklimatyzacyjnym. Współmieszkańcy obozu to działacze Związku, którzy w kraju odgrywali w większości rolę przywódców opinii, motorów związkowych, orędowników reform i sprawiedliwości społecznej. Ten impet zanim zdążył pozostawić trwałe, materialne ślady, został brutalnie zahamowany. Po przeniesieniu się tutaj, do luksusowej szwedzkiej klatki, siłą rozpędu wyładowują owe nagromadzone, społecznikowskie pasje, którym nie dane było wyładować się w kraju. Nie uświadamiają sobie tylko, że znikome cele jakie sobie siłą rzeczy tu stawiają, skazują ich działalność na próżne szarpanie się. Treść tych działań nieproporcjonalnie znikoma w stosunku do formy, czyni z nich groteskę. Jeszcze przed naszym przyjazdem, powstały tu dwie konkurencyjne organizacje zrzeszające internowanych. Każda miała swój statut, przewodniczącego i skarbnika. Tyle że cała działalność sprowadzała się do wzajemnego zwalczania się.

Jak silny i nieświadomy jest automatyzm działań przeniesionych z kraju mogłem przekonać się sam. W kilka tygodni po przyjeździe do obozu zwracałem koledze bibułę przerzuconą właśnie z kraju. By przenieść ją kilkaset metrów, z jednego mieszkania do drugiego, chowałem ją odruchowo za koszulę.

Po kilku miesiącach utarczek z Anną wycofałem się z klubu. Sądziłem, że to przywróci równowagę między nami. Ale było już za późno. Anna zobaczyła mnie już w nowym świetle. I przekwalifikowała do drugiej ligi. W kraju mogłem jej imponować — pisywałem do gazet, wygrywałem konkursy poetyckie, w końcu znalazłem się wśród internowanych, patriotycznej elity Polski. Tu zaczęły się liczyć inne cechy i zdolności. Tu kobietom imponowali zaradni — ci, którzy potrafili uruchomić kupiony na złomie samochód, ci którzy dorabiali się kupując na aukcjach stare pralki i lodówki i później sprzedawali je polskim marynarzom, ci którzy własnoręcznie majstrowali meble w miejscowej stolarni, ci wreszcie, którzy mieli zawody na tyle konkretne, że dość szybko otrzymywali pracę. Ja nie kwalifikowałem się do żadnej z tych grup.

Znasz Annę. Ukrywając się, mieszkasz z nami sześć miesięcy, nie muszę cię więc przekonywać, że jej uczuciowość jest niezwykle zmienna, że Anna potrafi się przerzucać ze skrajności w skrajność. Załamania koniunktury rodzinnej były w związku z tym gwałtowne i nigdy do przewidzenia. Wracając na przykład do domu z kursu i nagle stwierdzałem, że pomiędzy moim wyjściem z domu a powrotem wyrosła między nami ściana. Najdosłowniej: Anna nie zauważała mnie. Nie słuchała, nie odpowiadała na pytania. W którymś momencie następował wybuch: — A Tadeusz dostał pracę...

Dalej wszystko szło normalnym trybem: że nic nie robię, że obojętny jest mi los rodziny, że jestem zapatrzony w siebie... Wszystkie te dyżurne zarzuty, które zawsze są pod ręką, niezależnie od tego, czego dotyczy konflikt. Ja rzecz jasna odcinałem się jak umia-

łem i tak to się toczyło, przenosiło na coraz dalsze obszary naszego życia, na każdy jego szczegół właściwie.

Dam ci przykład. Siadaliśmy do obiadu, Anna nalewała zupę. Mnie się dostawała wyjątkowo smaczna kość, obrosnięta kawałkami mięsa (nie wiem jak ty, ale ja lubię obgryzać kości).

— Ależ sobie dogodziłem... — mówiłem bezwiednie.

— Zanosi się na inteligentną rozmowę... — podchwytywała Anna.

— Bardzo dobra była ta kość...

— Chyba zupa a nie kość...

— Zupa też, ale kość była świetna...

— Może mięso przy kości?...

— Nie, jak mówię kość, to myślę kość...

— Jak się ktoś wychował obgryzając kości, to żeby nie wiem ile książek przeczytał nic go już nie zmienia.

— Lepiej obgryzać kości niż paznokcie...

— Ja obgryzam paznokcie? Jesteś bezczelny. Jesteś fałszywy. Wolisz udawać, że lubisz obgryzać kości niż zapracować na solidny befszytk. Powiedz po prostu, że ci się nie chce pracować...

— Nie chce mi się...

Jak głupio, jak beznadziejnie nisko, pomyślisz. Rzeczywiście. Wiesz, że nasze kłótnie zawsze były ostre, że zadawaliśmy sobie ostre ciosy. Ale była to przynajmniej walka o coś — o władzę, o dominację, o prerogatywy posiadania tej drugiej osoby.

Teraz schodzimy coraz niżej we wzajemnym poniżaniu się. Teraz szermierka nie wystarcza, sięgnęliśmy po maczugi.

Pamiętasz? Przed wyjazdem z kraju rozmawialiśmy o doświadczeniach poprzednich emigrantów. Każdy z nas mówił, że pierwsze dwa-trzy lata na emigracji są jak choroba, jak śmierć. Trzeba się narodzić na nowo, żeby móc tu żyć. Brzmiało to efektownie, ale żaden z nas nie rozumiał, o co właściwie chodzi. Teraz zrozumiałem.

W odniesieniu do kolegów nadzieję straciłem ostatecznie podczas spotkania z Mirkiem Chojeckim. Czy uwierzysz, że ci wspaniali, znani ci z Sierpnia i późniejszych miesięcy działające, pełni pomysłów i inicjatywy, przyjęli Chojeckiego, jak szeregowi towarzysze partyjnego lektora. Czekali żeby dał dyrektywy. Niektórzy jako rzecz oczywistą przyjęli, że istnieje jakiś Komitet Centralny rozdzielający fundusze. Jak to? Nie ma centrali? Nie ma funduszy? Nie ma modelu? Dziwili się szczerze. „My byśmy chcieli coś, co by skupiało, organizowało, nadawało kierunek (na marginesie: powstała tu skromna, nieliczna organizacja polsko-szwedzka, która bez rozgłosu robi małą, szarą robotę, ale to rzecz jasna nie zaspakaja ambicji „wielkich polityków“).

Istniejące już organizacje okazały się być nie na miarę naszych kolegów. „Kongres Polaków“, bo nie spełnia oczekiwań, a poza tym prowadzi to jakiś dentyista, to za bardzo lokalne, tamto za bardzo światowe, biuro „Solidarności“ nie forsuje polskich spraw, szwedzkie gazety o nas nie piszą, socjaldemokraci nas nie kochają. Jediną konstruktywną propozycją podczas tego spotkania był pomysł wykupienia Bornholmu od Duńczyków, zainstalowania tam radiostacji i nadawania audycji po polsku. Wzbudził ogólny aplauz.

Finał pomiędzy mną a Anną rozegrał się w kilka tygodni później, podczas świąt Wielkiej Nocy. Przyjechał do nas kolega, który poprosił o azyl w Norwegii. Korzystając z obecności świadka Anna postanowiła skazać mnie na śmierć cywilną. Przestała mnie zauważać. Patrzyła przeze mnie jakbym nie istniał. Przechodziła koło mnie jakbym był słupem powietrza. Wychodziła na spacer z naszym kolegą a ja zostawałem z Piotrusiem. Kiedy wracała pytała o zachowanie dziecka nie mnie, lecz naszego gościa. Wtedy coś we mnie pękło. Straciłem ostatecznie i bezpowrotnie nadzieję. Nie było po co zaciskać zębów, bo nie było żadnego brzegu, do którego można byłoby dobić. Poszedłem na dno. Pomogła mi w tym atmosfera tego obozu, smrodek polskiego grajdoła, gnuśnej a ciekaw-

skiej wioseczki, w której każde powiedziana przez ciebie słowo wraca do ciebie wyrodzone w kretyńską plotkę lub potwarz.

Nie awanturowałem się. Zabrałem koszule i spodnie i przeniosłem się do oddzielnego mieszkania. Nie było z tym żadnego problemu; administracja miała już zbyt wiele przypadków tego typu, żeby się dziwić. Teraz wegetuję jak skazaniec. Izolowany, wyzuty z woli i uczuć.

Niczego nie planuję, niczego nie chcę zmieniać, o nic nie zabiegam. Jestem wydrążony. Nie mam niczego, co miałem jeszcze wczoraj – ani rodziny, ani ojczyzny, ani zawodu, ani języka. Ja, który wczoraj wierzyłem, że prawda jest drogą do wolności, dziś zaplątałem się w sieć własnych kłamstw. Być może jestem nieudacznikiem, być może inni poradzą sobie lepiej. Tak im dopomóż Bóg. Być może jednak dopiero na kościach takich jak ja (jak my?) wyrośnie pokolenie nowej Solidarności. Czy Ty masz w sobie dość siły, żeby w to wierzyć?

Zegnam Cię i serdecznie pozdrawiam

Przemek

Zygmunt Jabłoński

Autem policyjnym przez Manhattan

(fragmenty książki „Gabinet figur radiowych”, która ukazuje się niebawem nakładem „Poglądu”).

Tak się złożyło, że w czasie *conclave*, na którym Papieżem wybrany został Karol Wojtyła, nie byłem w radiu ale na urlopie w mojej włoskiej pustelni nad jeziorem Garda. Nie mogę przeto opisać, co się działo w tym czasie w radiostacji, ale tylko to, co ja przeżyłem w tym dniu i w paru następnych.

Był to wieczór i nie chcąc sam pitrasić kolacji, zjechałem do wioski Pieve di Tremosine, gdzie często w małej oberży Casteletto jadałem kolacje. Miałem tam swój stolik i zawsze to samo miejsce. Za moimi plecami znajdowało się małe okienko, przez które zaglądać można było do sąsiedniego pokoju, gdzie stał telewizor. W pokoju tym, kilku gości przypatrywało się dziennikowi telewizyjnemu. Okienko było w tym dniu otwarte, bo przebywający za ladą oberżysta oglądał przez nie (a ponad moją głową) również ów program.

Usłyszałem nagle podniesiony głos speakera:

– Fume bianco, fume bianco! Biały dym, biały dym! Papież został wybrany!

Odwrociłem się w stronę okienka i zobaczyłem na ekranie telewizora plac Świętego Piotra zapchany rozkrzyczanym tłumem. Kamera przybliżyła komin, z którego rzeczywiście ulatniał się biały dymek. W chwilę potem kamera skierowała się na balkon, na którym stał już jakiś purpurat wymawiający tradycyjne słowa:

– *Habemus papam...*

Dalsze jego słowa utonęły we wrzasku tłumu tak, że nie usłyszałem nazwiska nowo wybranego Papieża. Zapytałem więc oberżystę, a ten powiedział:

– Jakiegoś Murzyna musieli wybrać. Olwatyła czy Rolwatyla...

Z okna znikł obraz balkonu i ukazała się z ponownie twarz speakera. I wtedy stało się dla wszystkich jasne, że po raz pierwszy w historii chrześcijaństwa, Papieżem został Polak – Karol Wojtyła.

Zdumienie gości w oberży było ogromne. Kiedy pierwszy szok minął, podeszli do mnie (wszyscy mnie tu znali) winszując, jakbym ja został Papieżem, a nie metropolita krakowski. Oberżysta nie przyjął zapłaty za kolację mówiąc, że jestem jego gościem. Zjawiła się nie wiadomo skąd butelka szampana, druga, trzecia.

Drugiego dnia rano obudziło mnie łomotanie do moich drzwi. Otwieram. Wszyscy sąsiedzi winszują i kładą mi na stole prezenty. Od jednego dostałem butelkę grappy (nalewka z winogron), od drugiego wianek oslej salami, trzeci przyniósł mi głowę sera własnego wyrobu, a jeszcze inny obdartego ze skóry królika.

Kiedy kupiłem ten dom dwanaście lat temu, sąsiedzi nazywali mnie „il Polacco”, nie bardzo

wiedząc, co to za nacja, a Polskę, „Polonia”, mieszały z włoskim miastem Bolonią. Dopiero parę lat później, kiedy polska drużyna piłkarska dała im łupnia podczas międzynarodowego spotkania, zaczęli na mnie patrzeć innym okiem. No, a kiedy Polak został Papieżem, to przedstawiali mnie swoim znajomym: „il Polacco come il papa”, to jest: Polak, tak samo jak Papież.

Ale prestiż mój osiągnął szczytu po historii, którą teraz opiszę.

Somepriazzo (tak się moja wioska nazywała) posiadała mały kościółek, który zaczął się rozpaść, bo miał dziury w dachu. Mieszkańcy wioski bezskutecznie stali petycje, najpierw do proboszcza powiatu, potem do biskupa diecezji, by znalazły się fundusze na odnowienie albo najmniej dachu. Wszystko na próżno. Wtedy mieszkańcy wioski postanowili zwrócić się do instancji najwyższej, do Papieża. Nauczyciel powiatowej szkoły wykaligrafował na czerpanym papierze prośbę mieszkańców. I proszę sobie wyobrazić, delegacja przysłała do mnie, abym się dołączył do tej petycji i napisał parę słów w rodzinnym języku Ojca Świętego. Cóż miałem robić? Odmówić nie było sposobu. Pod petycją dopisałem:

— Jako mieszkaniec wyżej wspomnianej wioski pozwalam sobie zwrócić się do Waszej Świątobliwości z prośbą, aby Wasza Świątobliwość uczyniła zadość petycji parafian Sompriazzo.

Nie wiem, czy ten list dotarł do Papieża, wiem tylko, że dowiedział się o nim przez proboszcza biskup w Brescii. Widocznie uznał za stosowne nie czekać na ewentualne indagacje Watykanu i polecił proboszczowi na wszelki wypadek odnowić dach kościółka. Po tygodniu dach lśnił nowymi dachówkami, a nieznanymi Włosi zaczęli mi się kłaniać na ulicy.

W radiu wybór Polaka na Papieża wywołał niebywały entuzjazm. Program nasz napęczniał audycjami o Papieżu. W audycjach tych wyspecjalizował się Tadeusz Nowakowski. Stał się pierwszym polskim dziennikarzem przydzielonym do dziennikarskiej ekipy papieskiej w czasie pielgrzymek Jana Pawła II. Nowakowski towarzyszył Papieżowi wszędzie z wyjątkiem (ze zrozumiałych względów) dwóch pielgrzymek do Polski. Wrażenia z tych podróży zawarł Nowakowski w czterech wydanych już książkach, do których odsyłam moich czytelników: „Reporter Papieża”, „W bagażniku Jego Świątobliwości”, „Volo Papale” i „Na skrzydłach nadziei”.

Z tego powodu ograniczę się w mojej książce tylko do tych wydarzeń z Papieżem, w których brałem bezpośredni udział.

Pielgrzymka Jana Pawła II do Stanów Zjednoczonych była mocno obsadzona przez naszych reporterów. W samolocie papieskim znajdował się,

jak zwykle, Tadeusz Nowakowski. W Nowym Jorku działał jako koordynator Władysław Wantuła wraz ze stałym personelem naszego nowojorskiego biura. Z Monachium dołączyli do ekipy sprawozdawczej Andrzej Krzeczunowicz i ja.

Moim pierwszym zadaniem miało być sprawozdanie z przybycia Papieża do Nowego Jorku. Wyjechałem z hotelu zbyt późno. Dopiero potem doświadczenie nas nauczyło, by zjawiać się na wyznaczonym miejscu na trzy, cztery godziny przed przybyciem tam dostojnego gościa i jego świty. Zanim przepchałem się przez cały Nowy Jork, lotnisko było już otoczone hermetycznym kordonem policyjnym. To jeszcze nie było najtragiczniejsze. Obwieszony jak choinka przepustkami i akredytacjami łatwo przedostałem się przez ten pierścień. Ale ten tłum! Tu żadne przepustki nie pomagały, a przepychanie się nie miało najmniejszego sensu. Słowem nie mogłem dotrzeć do trybuny prasowej, gdzie znajdowały się zainstalowane już mikrofony i zarezerwowany dla mnie aparat telefoniczny z bezpośrednim połączeniem z naszym studiem na Manhattanie. Na szczęście wziąłem z sobą magnetofon. I tu muszę już zacząć pisać peany na cześć nowojorskiej policji.

W lewym rogu lotniska na czas wizyty Papieża zbudowano specjalny komisariat policji. Mieścił się on w wyglądającym jak wędrowny cyrk namiocie. Stały tam biurka, telefony, dalekopisy. Przy namiocie wzniesiono drewnianą wieżę z platformą na szczycie, skąd policjanci przez lornetki mogli obserwować całe lotnisko. Podszedł do mnie barczysty, obsyty srebrem wyższy oficer policji. Od razu zrozumiał, o co chodzi i wskazując palcem na wieżę powiedział krótko:

— Właż.

Wlażłem. Jeden z dyżurnych policjantów dał mi lornetkę, która łańcuszkiem przytwierdzona była do balustrady. Z platformy tej miałem lepszy widok niż moi koledzy z trybuny prasowej.

Wylądował papieski samolot. Słyszałem każde słowo i każdy dźwięk, bo na wieży oprócz lornetek zainstalowane były również głośniki. Nagrałem na taśmie piętnastominutowe sprawozdanie i po drabinie zszedłem na dół.

— No? — zapytał mnie ten sam oficer.

— Mam to przekazać do mego studia — powiedziałem wskazując na taśmę.

— Chodź.

Weszliśmy do namiotu. Oficer kazał opuścić miejsce siedzącemu przy jednym z biurk sierżantowi, dołączył mój magnetofon do telefonu, zapytał o numer naszego biura, nakręcił go i puścił w ruch taśmę. W piętnaście minut sprawozdanie z przyjazdu Papieża do Nowego Jorku, via nasze studio, przekazane zostało do kraju.

Ale na tym nie skończyły się moje kłopoty. Musiałem za godzinę być w studio, by stamtąd udać się do katedry Św. Patryka. Ale jak? Ruch w całym Nowym Jorku, łącznie z Manhattanem, był zamknięty, bo za dziesięć minut miała ruszyć orszak papieski. Powiedziałem, co mnie przysię memu małomównemu, osrebrzonemu przyjacielowi. Wysłuchał, kiwnął brodą i powiedział:

— Yeah... — a potem dodał — ... chodź.

Przed namiotem, jak na paradzie, stała co najmniej setka wozów policyjnych z wybliskowymi lampami na dachach. Oficer otworzył drzwiczki jednego z aut i powiedział:

— Właż — poczem zatrzasnął drzwiczki i zasalutował. Ścisnąłem własne dłonie i potrząsnąłem nimi gestem podziękowania.

Lampa na dachu zaczęła się kręcić wokół swej osi, migając czerwono-niebieskim światłem, syrena zaczęła wycić i Zygmunt Jabłoński jechał przez Nowy Jork trasą, którą za kilkanaście minut miał jechać Ojciec Święty. Nigdy Nowego Jorku z tej perspektywy nie widziałem. Po obu stronach trasy stał ściśnięty tłum, po dziesięć i więcej osób w głąb. Jezdnie były przerażająco puste, nie minął nas ani jeden samochód. Kierowca był tak samo małomówny, jak jego szef i przypominał szympansa. Przerwał na chwilę żucie gumy i kątem ust zapytał:

— Dokąd?

Powiedziałem adres, skinął głową, przerzucił gumę spod jednego policzka pod drugi i dodał gazu. Na przyjazd na lotnisko straciłem półtora godziny, teraz tę samą odległość pokonałem w minut piętnaście! Zdumiony Wantuła powitał mnie okrzykiem:

— Jak pan tego wyczynu dokonał?!

Gdy mu opowiedziałem, pokiwał głową i rzekł tylko:

— No, no...

Wszystkie moje przygody w czasie amerykańskiej pielgrzymki Ojca Świętego zawsze w jakiś sposób łączyły się z policją. Robiąc reportaż z Krzczunowiczem pod kościołem unickim w Filadelfii, gdzie Papież celebrował mszę świętą, stałem na krawężniku chodnika, a widok zaśniebiał mi barczysty policjant. Jak Papież wychodził z kościoła, policjant ów odwrócił się do mnie, wcisnął mi w rękę aparat fotograficzny i powiedział:

— Zrób zdjęcie Papieża, ale tak, żeby mój profil był na nim widoczny. Obiecałem synkowi.

Zrobiłem całą serię zdjęć dla synka policjanta. Nie wiem, czy wyszły, podejrzewam, że były na nich widoczne wyłącznie barczyste plecy właściciela aparatu fotograficznego.

Następny reportaż robiłem ze „Stadionu Yankesów”. Była już północ, kiedy uroczystości

dobiegły końca. Wychodzący tłum był tak potężny, że minęło sporo czasu zanim zdołałem wydstać się ze stadionu i znaleźć się na miejscu, gdzie był mój autobus prasowy. Mówię: „był”, bo już odjechał. Zaczęłem gorączkowo szukać taksówki. Marzenie ściętej głowy! Wkrótce parkingi opróżniły się, na stadionie wygasły światła, a wokół mnie ani żywego ducha. Stałem sam, jak kołek, obarczony magnetofonem i innymi aparatami, a między centrum Manhattanu a mną rozciągał się cały Harlem. Postanowiłem dojść do najbliższego postoju taksówek. Jezdnie były opustoszałe, tylko pod ścianami brudnych i odrapanych budynków stały grupki obdartych Murzynów. Kiedy przechodziłem obok nich, rozmowy urywały się nagle i wszyscy odpowiadali mi wzrokiem. Czułem się coraz bardziej nieswojo, przyszły mi na myśl historie, jakie wydarzały się w tej dzielnicy noc w noc, oczekiwałem, że lada chwila ktoś dźgnie mnie nożem w plecy. I tu znowu kochana policja nowojorska przyszła mi na ratunek. Patrolujące auto zatrzymało się przy mnie, wyskoczył z niego zdumiony policjant (Murzyn) i krzyknął:

— Are you crazy? Czy pan zwariował? Życie panu niemiłe?

Opowiedziałem mu moją historię. Zawiózł mnie co prawda nie do hotelu, ale na postój taksówek. W hotelu znalazłem się o drugiej nad ranem. O czwartej miałem odlecieć do Chicago.

I trzecia historia, wzruszająca tym razem, która zostanie mi na zawsze w pamięci.

Był to odlot Ojca Świętego do Europy. Przed samolotem ustawił się szereg stu policjantów, którzy przez cały czas pielgrzymki stanowili papieską eskortę. Chłop w chłop, jak dęby, w czarnych mundurach, w butach z cholewami, z dyndającymi przy udach olbrzymimi pistoletami. Ojciec Święty w bieli przechodził przed tym czarnym szeregiem i każdemu podawał rękę. Jeden po drugim przyklękali na jedno kolano i całowali pierścień. Wyglądało to wszystko, jak zainscenizowany balet.

Ale chcę jeszcze cofnąć się o parę dni do momentu, kiedy wraz z Krzczunowiczem znaleźliśmy się w Białym Domu, gdzie Ojca Świętego witał prezydent Carter.

Wiedziałem ich obu oddalonych zaledwie o parę metrów ode mnie. Nie zdawałem sobie do teraz sprawy, jak mały i wąty był Carter, a jak potężny był przy nim Papież. W czarnym garniturze i w białej kamizelce Carter wyglądał przy Janie Pawle II, jak pingwin przy polarnym niedźwiedziu.

Siedzieliśmy z Krzczunowiczem na dziennikarskiej platformie ustawionej w „róznanym ogrodzie”. Włażąc na nią zaczepiłem o wystający gwóźdź i rozdarłem spodnie na siedzeniu. Jak stałem wyprostowany, to dziury nie było widać, ale

pochylić się nie mogłem. Po uroczystości powitania (tłumaczyłem przemówienie Cartera, a Krzczunowicz Ojca Świętego) utworzył się ludzki szpaler, wśród którego szli, przystając i zamieniając po kilka słów, Papież i gospodarz Białego Domu. Nigdy nie modliłem się tak szczerze prosząc

niebo, aby Ojciec Święty nie podszedł do mnie i abym nie potrzebował przykleknąć. Cóż to byłoby za gratka dla ustawionych tuż za mną baterii kamer telewizyjnych! Na szczęście modlitwy zostały wysłuchane i świat nie zobaczył moich podartych portek. ■

Berlin podglądany

Jerzy Hoffmann

I.

Przed gwiazdką

Na Kudamm'ie było kiedyś zupełnie inaczej. Mieszkałem przeszło ćwierć wieku temu w Berlinie, nie było jeszcze Muru, z Friedrichstrasse do ZOO były naprawdę tylko dwa przystanki, a nie jak obecnie dla wielu emigrantów, nieskończenie daleko. „Tam” na pustych ponurawych ulicach panował smutny socjalizm i szybko ciemniało po zmierzchu skąpo oświetlani i pełni jeszcze wojennych ruin, nieodbudowany wschodni Berlin, „tu” pełno było świątef, Kudamm tętnił życiem i był elegancki, ciemne ubrania i damskie toalety były

czymś niemal obowiązującym na wieczornym spacerze. Zachodni Berlin przedstawiał wszystkie uroki „wystawowego okna” – tak nazywano wtedy tę najdalej na wschód wysuniętą wysepkę wolnego Świata.

Było coś z wytwornego salonu na tym przeszło czterokilometrowym deptaku, spacer po nim nobilitował i dawał poczucie przynależności, uczestniczenia w czymś, co było ważne i urokliwe zarazem. Z biegiem lat Kudamm demokratyzniał, pospoliciał, pojawiły się tandetne budy ze świecidełkami, zaczęły się występy ulicznych artystów, na smoking zaczęto patrzeć, jak na teatralny kostium.

„Fason” trzymali głównie wyglądający ze znudzeniem przez duże okna bywalcy *Kranzlera*, teraz zresztą i tę kawiarnię zamknięto, zmieniła właściciela, zmienić ma całkowicie wystrój i styl.

Kiedy rok temu przyjechałem do Berlina, zapragnąłem jak najszybciej znaleźć się na Kudamm'ie – udało mi się to dopiero po północy



— czynnych było kilka imbisowych bud i *pari*, poza tym pusto i sennie, zrobiło mi się smutno.

Kudamm się zmienił, jego urok jednak pozostał i dzisiaj, jak przed laty, do największych przyjemności Berlińczyka należy podobno wieczorny spacer Kudamm'em, wiosną, kiedy kwitną na klombach kwiaty, latem w zapachu lip, który przedziera się z trudem, ale zwycięsko przez spaliny, jesienią wśród spadających z licznych drzew liści i teraz zimą, pełną gwiazdkowego zgiełku i gorączki zakupów.

* * *

Kudamm rozblił się świątecznie dokładnie 1 grudnia, na wszystkich drzewach pozawieszano tysiące żarówkowych girland i teraz to wszystko pali się, migoce, przypomina że gwiazdka, tuż, tuż. Miasto wydało na to oświetlenie 300 tysięcy marek, wszyscy mają nadzieję, że koszty zwrócą się w postaci zakupów oraz tego, co wydają Berlińczycy i przyjeźdźni na zainstalowanym gwiazdkowym kiermaszu, otwartym także 1 grudnia i przyjętym przez mieszkańców, jeśli można uogólnić pierwsze wrażenia — entuzjastycznie, bo pierwszy raz zdecydowano się na przeniesienie kiermaszu z terenu hal wystawowych na otwartą przestrzeń i to wokół jednej z najbardziej znaczących i reprezentacyjnych budowli zachodniego Berlina, kościoła-pomnika pod nazwą Gedächtniskirche. 90

bud ze słodyczami, upominkami, flipperami i loteriami fantowymi — nastrój, jak z popularnej niegdyś w Polsce piosenki *Kolorowe Jarmarki* — atmosfera pełna kiczu, tandety, taniej uciechy, ale bardzo swoista dla tej niemieckiej, setki lat liczącej tradycji gwiazdkowej. Nic też dziwnego, że już w dniu otwarcia, w pierwszą niedzielę adwentu, setki ludzi tłoczyły się wokół tych bud, deptając sobie po piętach, kupując serca z piernika z napisach w rodzaju „Tylko Ciebie Kocham”, tandetne słodycze i rzucając piłkami do piramid z puszek po piwie w nadziei wygrania któregoś z ogromnych, pluszowych potworków stanowiących nagrody dla zręcznych. Zapach grzanego wina z korzeniami, palonych migdałów i wonnych świec, na dużej estradzie występy chórów z kołędami — *Weihnachtsmarkt* w całej jego okazałości.

Oglądałem ich sporo w różnych miastach Republiki przez ostatnie lata, berliński jest wyjątkowo kiczowaty i wyjątkowo sympatyczny, fakt, że umieszczono go tutaj na Kudamm'ie dowodzi nie tylko odwagi ojców miasta, ale i zmysłu praktycznego — ktoś tam zawsze coś kupi, sam nabyłem dla zasady rumowe bomby, były bardzo niesmaczne!

* * *

Zakupy świąteczne — wielkie nadzieje handlu, w tym roku zmniejszone o 4 mld marek



w skali Republiki Federalnej, co natychmiast wylczyli na komputerach specjaliści, zmniejszone o sumy, które z gratyfikacji gwiazdkowych odliczyć muszą pracownicy, państwo nałożyło na nie bowiem dodatkowe podatki w postaci świadczeń socjalnych i pierwsze spostrzeżenia czujnych handlowych bossów mówią, że wielu jest zwiedzających, mniej kupujących w przystrojonych handlowych centrach zachodnioniemieckich miast. Mimo to handlowcy mają nadzieję, że wyjdą na swoje — ja też w to nie wątpię.

* * *

Wędruję po kudamm'skim szlaku towarzysząc Pani N., która niedawno przyjechała z Polski w odwiedziny do swej, mieszkającej w Berlinie, córki. Pani N. ma 65 lat, z tego 40 była pielęgniarką i siostrą miłosierdzia. Jest pierwszy raz na Zachodzie i na wszystko patrzy bardzo szeroko



otwartymi oczami uradowanego dziecka — jest pięknie; w Muzeum Egipskim przy Nofretete, w Europa-Center, po którym chodzi uważnie i ostrożnie, aby nie zepsuć sobie oglądanej bajki, we włoskiej restauracyjce, gdzie jemy obiad i na Kudamm'ie — *wie pan, jak tu tak chodzę, to jakbym znowu była przed wojną w Warszawie, jest trochę tak, jak wtedy na Alejach Jerozolimskich i Nowym Świecie, tak samo dużo światła, piękne wystawy, nawet te pierniki i słodczyce, jak tamte wtedy i jest jakoś tak ciepło...*

Burmistrz Nowego Jorku, Koch, który był niedawno z wizytą w zachodnim Berlinie, powiedział, że Kudamm dla niego, to jakby skrzyżowanie Broadway'u i Piątej Avenue, pewnie to lekka przesada, ale ten berliński trakt rzeczywiście budzi skojarzenia, i to jest ważne, skojarzenia dla starszych Polaków jak widać, liryczne i smutne raczej.

* * *

Pani N. przyjechała z Polski nie dawno i tu już przeżyła śmierć księdza Popiełuszki, tu zapaliła mu świeczkę na ułożonym przy Gedächtniskirche krzyżu w czasie manifestacji polskiej zorganizowanej wspólnie przez IGFM i niemiecką organizację młodzieżową Junge Union oraz Towarzystwo Solidarność i redakcję „Poglądu” w dniu pogrzebu zamęczonego kapłana. *Widziałam go jeszcze 1 sierpnia na Powązkach — mówiła Pani N. patrząc gdzieś w przestrzeń swymi zmęczonymi nieco oczami, był otoczony harcerzami i działaczami „Solidarności”, uśmiechał się do wszystkich, a teraz nie żyje, zamordowali go... to jakże to, proszę pana, jakże to...*

Szliśmy w milczeniu przez rozświetlony, gwarny Kudamm.

* * *

Pierwszego w tym roku gwiazdora zobaczyłem na dworcu ZOO. Szedł przez ogromny hol, ubrany był w przepiśowy, bardzo piękny gwiazdorski strój, miał białą brodę i duży worek, szedł i dzwonił dużym dzwonkiem. Nikt nie zwracał na niego specjalne uwagi, ja jednak stanąłem i patrzyłem przez chwilę na oddalającą się postać — coś mi się przypominało.

Dworzec ZOO jest brudny, bardzo zaniedbany i jakiś niesympatyczny, choć tam rzadko i niechętnie. Swoją wątpliwą sławę zawdzięcza on „urzędującym” tu młodszym i starszym włóczęgom i „dzieciom z dworca ZOO” rozsławionym powieścią i filmem, młodym alkoholikom, narkomanom i prostytutkom. Długo nie wiedziałem, czemu ten dworzec jest w tak nietypowy dla Zachodnich Niemiec sposób zapuszczony i wstrętny. Przypadkowo dowiedziałem się, że teren dworca jeszcze do niedawna w całości — a dziś już tylko w części — należy administracyjnie do Berlina Wschodniego, na mocy jakichś dziwnych, dawnych układów dzielących kolejową sieć obu Berlinów. Wszystko stało się jasne, opadający z sufitów tynk, brudne posadzki i ściany, obrazy zapamiętane z obszaru „realnie egzystującego socjalizmu” i dość dokładne w międzyczasie zapomnianie — stanowią pozostałość dawnych właścicieli i stwarzają na razie mimo woli coś w rodzaju „ta-

godnego lądowania" dla tych, co przechodzą z „tamtej” strony i dla tych, którzy się w nią z powrotem udają, przedsmak tego, co ich znowu czeka z kwaśnym zapachem złego piwa i mozołnym czekaniem na wiecznie spóźniające się, przepętlone pociągi włącznie...

Poszedłem z ciekawości pożegnać odjeżdżający w „tamtą” stronę pociąg relacji Paryż-Moskwa. Godzina 21 – peron pełen niepokojącego się o miejsca tłumu, mówiący po rosyjsku Murzyni, siedzący na ogromnych paczkach ludzie, polski język. Jakaś młoda Polka, jak wynika z rozmowy, odprowadza wraz z mężem – Niemcem wracającą do Warszawy matkę. Góra paczek i pełna panika; *Niech się mamusia nie denerwuje, Wolfgang się dowiadywał, we wschodnim coś doczepią.* Kiedy nadjeżdża pociąg, w dwóch ostatnich przeznaczonych do Polski wagonach zaczyna się rozpaczliwa walka o miejsca z krzykami, wypychaniem się wzajemnie przez okna, kłótniami. Młody mąż polskiej dziewczyny „co chciała Niemca” patrzy na to przerażony i pomaga teściowej wtfacać do środka paczki. Jakaś kobieta opiekująca się większą grupą Polaków krzyczy na cały peron: *Co wy k...a myślicie, że na spacerze na Kudamm 'ie jesteście?!*

W rozsuniętych drzwiach towarowego wagonu stoi szeroko rozparty człowiek i z obojętnie pogardliwym uśmiechem patrzy na biegający tłum: rozpięta koszula, kufajka i buty, po butach poznać można wiele. Te są brudne, rozdeptane i jakieś takie, mówią wszystko. Napis *MOCKBA* jest całkowicie zbyteczny. Sowiecki człowiek jest z siebie wyraźnie zadowolony, był na Zachodzie, jedzie na Wschód, tłoczyć się nie musi...

Nie czekam na odjazd pociągu. Robi mi się smutno i szybko odchodzę z dworca ZOO.

* * *

Pierwsze pięćset z zapowiedzianych dla Zachodniego Berlina pięćdziesięciu tysięcy ton choinek nadeszło w początkach grudnia na dworzec towarowy Wedding. Fakt ten odnotowano zgoła uroczysto, a hurtownik pan Werner Wunder osobiście kierował transportem i po przyjeździe oświadczył przedstawicielom prasy z powagą: *Moje ceny pozostają niezmiennione, takie same jak w zeszłym roku.* W obliczu licznych przedświątecznych podwyżek cen ma to swoje znaczenie, a po-

nieważ *Wunder* to po niemiecku *cuđ*, także swoją dodatkową świąteczną wymowę.

Adwent obchodzony jest w Niemczech bardzo uroczysto, specjalne wieńce z bogatymi ozdobami i grubymi świecami, które winny znaleźć się



w każdym mieszkaniu, zapełniają kwaciarnie i uliczne stragany. Są tańsze i droższe, do wyboru. W dekorowanych kolorowymi żarówkami oknach zapala się coraz więcej choinek. Berlin przygotowuje się na swoje kolejne gwiazdkowe święta i kolejną wigilię, która po niemiecku nazywa się *Der Heiligabend* – święty wieczór i także tutaj w protestanckiej głównie części Niemiec jest obchodzona uroczysto.

Berlin przygotowuje się także na radości zimowej pory roku. Po różnych atrakcjach lata, które przebiegały pod szekspirowskim hasłem „Sen nocy letniej” przyszła teraz kolej na „Wintermaerchen” – baśń zimową, której to nazwy dostarczył jak wiadomo swym poematem Heinrich Heine. Berlińska „Baśń zimowa” przewiduje dla miasta szereg atrakcji, które zresztą bardzo poważnie myśli już o obchodach 750-lecia swego istnienia, za dwa lata. „Baśń zimowa” to szereg imprez, zabaw, karnawałowych uciech. Należać będą do nich stylizowane na wzór tradycyjnych zimowych igraszek, ślizgawki z różnymi atrakcjami i budami, jak za dawnych dobrych lat, kiedy nie znano jeszcze wielu okrutnych doświadczeń dwóch światowych wojen, a ludzie ślizgali się po zamarzniętych taflach wielu berlińskich jezior beztrudno i pełni wyłącznie radości życia – tak przynajmniej nam się dzisiaj wydaje.

Wesołych Świąt

Fot. „P”



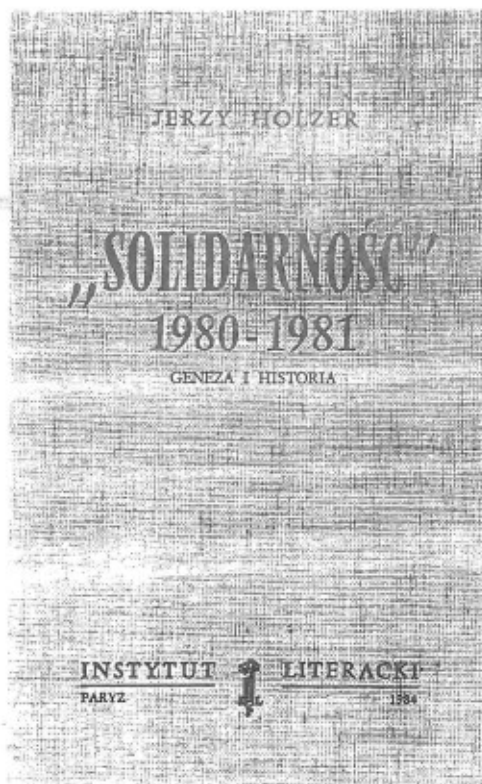
RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

Ewa Szczerkowska

Tworzenie precedensów

Jerzy Holzer podjął próbę niezmiernie trudną* – stworzenie monografii polskiej rewolucji lat 1980-81. Biorąc pod uwagę wszystkie zastrzeżenia wyrażone w odautorskim wstępie, oddać pracy Holzera należy jej ogromną wagę – pionierskiego w zasadzie, porządkującego ujęcia historii „Solidarności”. Wątpliwości autora wyrażają się w trzech zagadnieniach – obawy co do własnego obiektywizmu (deklaruje on swe emocjonalne poparcie dla ruchu), brak dostępu do wszystkich materiałów źródłowych i wreszcie nakaz solidarności z prześladowanymi działaczami wyrażający się w zdaniu: *Nie chciałbym, by jakkolwiek fragment tej książki służył jako tendencyjny i wyrwany z kontekstu cytat w prokuratorskim przemówieniu przeciw ludziom „Solidarności”*. Zastrzeżenia owe są zrozumiałe, dobrze jednak, iż nie zaważyły one na samej decyzji podjęcia tematu. Bo przecież zdać sobie trzeba sprawę, iż jeśli w pewnym stopniu nieuchronny brak obiektywizmu w postrzeganiu współczesnych wydarzeń uznamy za niedostatek całości, to niewątpliwą zaletą pracy obserwatora współczesności jest żywa pamięć rejestrująca drobne elementy całości, wymykające się rozmaitym materiałom źródłowym. Jak sądzę, świadomość owej pamięci, pamięci własnej i potencjalnych czytelników musiała zaciążyć na charakterze książki Holzera.

Można by zastanawiać się, czy klasyczne ujęcie przedstawionych wydarzeń jest właściwą formułą opisu tak niedalekiej przeszłości, czy podporządkuje się ona klasycznemu podziałowi na „genezę, rozwój i zakończenie”. A jednak – jak się zdaje – to tradycyjne ujęcie badawcze ma jedną



wielką zaletę – porządkuje szczątkowy obraz wydarzeń funkcjonujących wśród uczestników i twórców takiej niedalekiej historii – bo z takiej przecież pozycji przychodzi i mnie ją odbierać. I być może owa porządkująca tendencja przyczyni się do pełniejszej refleksji nad latami polskiej rewolucji.

Bo oto pierwsza refleksja, od której nie mógł powstrzymać się sam autor, refleksja jedna bodaj z najważniejszych nasuwających się po przeczytaniu książki. Mieści się ona w kręgu zagadnień, które nazwać można „szansami polskiego Sierpnia”. Wszelkie związane z nią rozważania stanowiąc muszą podstawę ewentualnych programów na przyszłość, określenia granic ewolucji systemu czy też kosztów rewolucji. Każde pytanie zaś dotyczące nieuchronności bądź możliwości uniknięcia Grudnia '81 wyznaczać musi kierunki dalszego działania. Warto może na marginesie przytoczyć zdanie profesora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Leszka Nowaka, nazwanego w książce Holzera „fundamentalistą”. Otóż profesor Nowak twierdzi, iż z *socjalizmu wyzwalamy się normalnie*.

* Jerzy Holzer, „Solidarność 1980-1981”, Instytut Literacki, Paryż – 1984.

Wracając jednak do pracy Holzera podkreślić można opisaną przez autora historyczną ciągłość etosu polskiej świadomości. Świadomości ukształtowanej na przestrzeni wieków. Składają się nań zarówno niechęć do Rosji, jako wielowiekowego wroga i później zaborcy, brak szacunku dla aparatu narzuconej władzy państwowej, datujący się od czasu zaborów, a pogłębiany podczas okupacji, jak i utożsamienie w historii polskości z katolicyzmem. Wszystkie te elementy funkcjonują w zbiorowej świadomości, a tym samym nie pozostają bez wpływu na przebieg współczesnych wydarzeń.

Problematyka genezy „Solidarności” rozbita została przez Holzera na dwa rozdziały („Fragmentsy”). W pierwszym – obok wspomnianych powyżej uwarunkowań na płaszczyźnie świadomości – znalazło się miejsce na analizę gospodarczych przyczyn kryzysu końca lat siedemdziesiątych oraz analizę wizyty Papieża Jana Pawła II w Polsce. Drugi zaś obejmuje opis i analizę rozmaitych inicjatyw opozycji, od protestów dotyczących zmian w Konstytucji PRL począwszy. Właśnie owe protesty stanowiły pewnego rodzaju punkt przełomowy, ponieważ skupiły wszystkie nurty krytyki systemu. Protestowali wówczas księża, socjaliści, chrześcijańscy demokraci, byli żołnierze AK, intelektualni katolicy, byli członkowie partii i działacze rewizjonistyczni z lat sześćdziesiątych. Niezmiernie cenna w tej części „Genezy” jest prezentacja rozmaitych inicjatyw i organizacji skupiających krytyków systemu – od Grupy Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, po KOR czy Komitet Samoobrony Chłopskiej. Podobnie cenne omówienie przynosi rozdział *Topografia polskiego życia społeczno-politycznego* dotyczący wielkości płaszczyzn społecznej aktywności między Sierpniem a Grudniem. Ów pluralizm poglądów i działań uzmysławia jasno obszary panującej wówczas wolności, wolności, która nie zdążyła czy też nie mogła, z racji sztywnych ram systemu, wybrnąć poza wielkie zachyśnięcia się sobą. Brakuje w tej panoramie sierpniowego pluralizmu, omówienia kilku inicjatyw dopełniających całość obrazu – jak na przykład działalność Wszechnic Robotniczych, powstawania organizacji uczniowskich w wielu szkołach średnich czy próby tworzenia partii politycznych, poza omówioną Polską Partią Pracy.

Opisany w pozostałych rozdziałach przebieg wydarzeń mieści się w paradoksalnym schemacie – następujących po sobie posunięć „Solidarności” i reakcji władzy coraz bardziej tracącej kontrolę nad sytuacją, posunięć znaczących od czasu do czasu słanymi ze Wschodu niepokojącymi pogroźkami. Tymczasem obudzony w społeczeństwie ogromny potencjał poczucia sprawiedliwości i dą-

żenia do decydowania o własnym losie owocował radykalizującą się w miarę niespełniania najbardziej podstawowych żądań protestacyjną aktywnością. W swym refleksyjnym *Zakończeniu* powiada Holzer: *Paradoksem było to, iż radykalizacja celów była skutkiem, a nie przyczyną niemożności osiągnięcia minimum przemian systemowych. Sprawa rejestracji „Solidarności” postawiła np. na porządku dziennym objęcie przemianami sądownictwa. Sprawa przygotowań represyjnych ujawnionych w piśmie prokuratora generalnego Czubińskiego – prokuratury. Sprawa pobicia działaczy bydgoskich – milicji. Agresywne ataki na „Solidarność” – telewizji. [...] Droga do sukcesu rewolucji przez konsekwentne umiarkowanie była zablokowana, proces rewolucyjny miał otwartą jedyną drogę – radykalizacji.*

Rysujące się w tej sytuacji wyraźne błędy „Solidarności” tracą niejako znaczenie; ujawnia się natomiast swego rodzaju fatalizm ciężący nad całością polskich dążeń wolnościowych, fatalizm wyznaczony przez chętnie używany przez władzę argument położenia geopolitycznego. Jednym z takich charakterystycznych błędów, tej programowo samoograniczającej się, a w praktyce zmuszonej do radykalizacji polskiej rewolucji, było przeświadczenie o możliwości ukształtowania z czasem partnerskich stosunków z Sowietami. Przeświadczenie, iż sowieccy komuniści będą tolerować autentyczne przedstawicielstwo narodu rozumiejącego swe konieczne ograniczenia, w miejsce doskonale podporządkowanego, choć nie mającego społecznego poparcia rządu. Wpływała z powyższego również jeszcze jeden wniosek – niereformowalność systemu komunistycznego.

W pracy Holzera rysują się również portrety poszczególnych działaczy związkowych, portrety z konieczności skrócone i uproszczone. Nie mniej interesująco przedstawia się obficie cytowana druga strona – przedstawiciele władz, którzy w większości do dzisiejszego dnia kształtują politykę wewnętrzną PRL. Oto partyjni „liberałowie” – Jaruzelski i Rakowski atakujący działalność „Solidarności”, a jednocześnie przynajmniej jej trwałe miejsce w życiu wewnętrznym Polski. Oto ci sami „liberałowie” atakowani przez partyjny „beton” i coraz ostrzej karceni przez mocodawców z Moskwy.

Charakterystyczne jest w tym wszystkim niemal już zapomniane przez społeczeństwo pewnego rodzaju poparcie czy zaufanie dla rządu generała Jaruzelskiego. Z niejakim zdumieniem czytamy dziś oświadczenie Krajowej Komisji Porozumiewawczej o następującej treści: *Akcja, jaka miała miejsce [...] jest oczywistą prowokacją wymierzoną w rząd premiera Jaruzelskiego. Chodzi o pobicie działaczy „Solidarności” w Bydgoszczy, co*

niegdy nie zostało do końca wyjaśnione, jak zapewne nie zostanie wyjaśnione morderstwo księdza Popiełuszki. Choć tym razem już nie przedstawiciele społeczeństwa używają argumentu o prowokacji wobec rządu. Ten przykład otwiera szeroki problem – wiarygodność władzy. Od 1956 roku, kiedy poparcie dla Gomułki było stosunkowo duże, poprzez rok 1970 z umiarkowanym zaufaniem do Gierka i wreszcie po dzień dzisiejszy, kiedy to władza definitywnie straciła swą wiarygodność, o ile jeszcze jej szczątki posiadała w latach 1980-81.

Wspomniane problemy, to tylko niektóre z zarysowanych przez książkę Holzera. Jest w niej przecież zebrany ogromny materiał, materiał na tyle świeży, iż bez zapisania, wymykający się z rąk. Można by opracowaniu temu stawiać zarzuty i nadmierną szczegółowość w jednych miej-

scach, a uproszczenia w innych, ale owe zarzuty nie dotyczą jednakże całościowej jego linii, która wydaje się jasna i czytelna. Jest to w każdym bądź razie lektura pasjonująca; coś niezwykłego odkrywa się w tych odtworzonych wydarzeniach, których jeszcze nie tak dawno było się uczestnikiem.

Dziś „Solidarność” z całym nieprawdopodobnym rozmachem, ogromem otwartych wówczas możliwości, z całą niepowtarzalną atmosferą tamtych dni wydaje się odrobinę nieralna. Może jednak mniej nieralna niż podczas sierpniowych strajków, kiedy prawie nikt nie wierzył, iż będzie funkcjonować coś, co nazwie się niezależnym związkiem zawodowym. I wtedy, i potem okazywała się nieprawdopodobnym precedensem w historii komunistycznego państwa. Dziś, trzy lata po jej oficjalnym rozbiciu można zastanowić się, czy historia nie jest właśnie tworzeniem precedensów. ■

Cezary Stolarczyk

Jak Paweł i Gaweł

Trudno by zapewne znaleźć w Polsce człowieka, który na pytanie, z kim sąsiaduje na wschodzie jego kraj, odpowie inaczej niż: z Rosją, z ZSRR. W ostatnich latach niezależni historycy i publicyści zapisali wiele białych plam, jakimi ziały podręczniki historii powstałe w powojennej Polsce. Dzięki tym ludziom społeczeństwo zna prawdziwy obraz i tło wydarzeń z 17 września 1939, wie, czym był Katyń, pojmuje rozmiar zbrodni pretorian Bieruta. Te i inne plamy były na tyle jaskrawe, że nie dostrzeżono jeszcze jednego zastanawiającego wypłowieńca wielu stron historycznych książek: po niespokojnych latach dwudziestych i trzydziestych w zawierusze drugiej wojny światowej zaginęły i już się z niej nie wyłoniły o własnych siłach, trzy narody: Ukraina, Litwa i Białoruś.

Przeoczenie to zostało jednak naprawione. Praca Kazimierza Podlaskiego* przedstawia losy trojga naszych wschodnich sąsiadów w najbardziej interesującym aspekcie stosunków z Polską i Rosją. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat, do chwili obecnej. Autor stara się wyświetlić źródła antagonizmów między Białorusinami, Litwinami,

Ukraińcami a Polakami – czterema narodami doświadczonymi eksperymentem praktycznego zastosowania ideologii marksistowskiej.

Z zawartych w książce faktów i logicznych interpretacji wyłania się obraz niewesoły: te trzy duże narody (na Ukrainie żyje 50 mln ludzi, na Litwie 3 mln, na Białorusi – 10 mln) nie odnotowały w swej międzywojennej historii nawet jednego dnia przyjaznej, dobrosąsiedzkiej koegzystencji z Polską. Jak stale, aż przesadnie, podkreśla Podlaski, wina leży po obu stronach i świadomość wspólnego zagrożenia ze strony Sowieckiej Rosji tych złożonych urazów i niesnasek nie zdołały przełamać. I dlatego żądna z tych grup etnicznych nie ma dziś własnego, niezależnego państwa, a i Polacy w kościołach śpiewają „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”.

Najmniejsze chyba potencjalne szanse wybić się na niepodległość mieli Białorusini. Byli i są, jak stwierdza Podlaski, społeczeństwem jednoklasowym, jednolicie chłopskim. Białoruska inteligencja nie zdołała – bo była zbyt nikła – wypracować jakiegoś realnego programu działań i zainteresować nim resztę społeczeństwa. Stosunek Białorusinów do Polaków był taki, jak sługi do pana: niechętny, nieufny, podejrzliwy, czasem wrogi. Bo Polacy oczywiście bywali na tych terenach panami, a ich stosunek do chłopów trudno by określić partnerskim. Polacy z kolei nie mogą zapomnieć bram tryumfalnych, jakimi białoruskie wioski witały wkraczającą 17 września Armię Czerwoną. Zresztą w niektórych z tych wiosek takie same radosne manifestacje robiono niedługo potem wkraczającym Niemcom.

Litwini pamiętają ciągle o latach niepodległości swej ziemi (1918-1940), mają silną świadomość swej narodowej spójności i odrębności od

* Kazimierz Podlaski, „Białorusini, Litwini, Ukraińcy nasi wrogowie – czy bracia?”, s. 90, Wydawnictwo Przedświt – 1984, wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.

znieawidzonych Rosjan. Ale i nastawienie do Polaków jest dalekie od życzliwego. Litwini nie mogą darować nam swej stolicy, miasta-symbolu – Wilna. W pierwszych latach po I wojnie światowej kilkakrotnie przechodziło ono z rąk do rąk: było polskie, rosyjskie, litewskie. Wreszcie po marszu gen. Żeligowskiego na kilkanaście lat przypadło w udziale Polakom. Mimo, że w końcu w Wilnie załapały czerwone sztandary komunistów, Litwini trwają w swej wrogości do Łachów.

Najbardziej dramatycznie układały się jednak stosunki polsko-ukraińskie. Wzajemna nienawiść tliła się całymi wiekami, w pełni wybuchła na początku lat dwudziestych, gdy dążenia niepodległościowe obu narodów objawiły się dramatycznym konfliktem interesów. Obiektem roszczeń terytorialnych był nie tylko Lwów; Ukraińcy zgłaszali pretensje także do Przemyśla, Bieszczad, południowego Polesia. Kiedy w międzywojennym dwudziestolecu część Ukrainy znalazła się w granicach Polski, ukraińscy posłowie w polskim Sejmie (byli takowi, podobnie jak litewscy i białoruscy) w dążeniu do własnej autonomii i samostanowienia wysuwali program żądań, który był w ówczesnych politycznych realiach dla polskich władz nie do przyjęcia. Ale i stanowisko Warszawy, traktującej mniejszość ukraińską w granicach II Rzeczypospolitej (ok. 4-5 mln) jako swych podopiecznych, o losach których może decydować bez pytania ich o zdanie, także doleżało oliwy do ognia. Później, po rozpoczęciu II wojny światowej, Ukraińcy błędnie odczytali intencje Hitlera i sądząc, że pomoże im to w odzyskaniu wreszcie własnego państwa – stanęli po jego stronie. Finał miał miejsce w pogranicznych Bieszczadach. Okrutne czyny banderowców i późniejsza ich eksterminacja przez oddziały milicji i KBW zakończyły ten etap czynnych starań o własną państwowość.

O mniejszości narodowej białoruskiej (250-400 tys.), litewskiej (10-20 tys.) i ukraińskiej (150-300 tys) żyjącej w Polsce jesteśmy z oficjalnych źródeł informowani podobnie skwapliwie jak o losach Polonii w ZSRR. I tu kolejna zaśluga Podlaskiego. Jak wynika z jego książki i tu wzajemne stosunki nie są najlepsze. Wprawdzie zachowano we wschodnich województwach Polski mniejszościowe towarzystwa społeczno-kulturalne, szkoły nauczające w obcym języku, domy kultury – ale to wszystko nie ma specjalnego znaczenia. Towarzystwa są finansowane i kontrolowane przez MSW, a każdy kto chce wyjść z zaścianka swojej wsi, uczyć się, pracować zawodowo – musi się spolonizować.

Najcenniejszą zaletą książki Podlaskiego jest chyba całościowy obraz wzajemnych stosunków Polaków i ich wschodnich sąsiadów: z jednej stro-

ny niechęć, wrogość i nienawiść, z drugiej, z naszej najczęściej bazująca na niewiedzy i obfitych własnych kłopotów, głęboka obojętność. Wielokrotnie Podlaski ubolewa nad tym sugerując, że wybaczenie wzajemnych win i zgoda po wiekach waśni mogłaby w przyszłości doprowadzić do jakiejś nowej Wiosny Ludów, wystąpienia przeciw wspólnemu ciemieniu... Za chwilę jednak górę bierze duch racjonalny, który każe Podlaskiemu ze smutkiem przyznać: *Póki co marzycielstwem jest mówienie o czynnej współpracy na szerszą skalę.* Są jednak przesłanki do tego pesymizmu. W latach 1980-81 ani „Solidarność”, ani Kościół nie uczyniły właściwie żadnego (poza niezbyt dojrzałą i porzuconą w próżnię deklaracji podczas Zjazdu „Solidarności) wyraźnie zaadresowanego gestu pojednawczego; gestu, bo o czym innym trudno w ogóle myśleć. Naprawdę niełatwo sobie wyobrazić, aby teraz, w tragicznej sytuacji, w jakiej się Polska znajduje, ktoś liczył na jakiś społeczny oddźwięk działalności stawiającej sobie za cel zacieśnienie stosunków między Polakami a trzema wschodnimi narodami i do tego poza plecami władz komunistycznych.

Cóż więc można realnie osiągnąć? *Autor byłby rad, gdyby Szanowny Czytelnik z obszernych tu historycznych rozważań wyciągnął jakąś naukę. Docenił wspólny dorobek i nazwał po imieniu błędy i zaniedbania dziejowe. Prośba tylko: bicie w piersi w ramach zbiorowej, odpowiedzialności narodowej należy zaczynać od piersi... własnych. Satysfakcja autorska byłaby jeszcze większa, gdybym tym szkicem zainteresował Czytelnika trudną i nie raz tragiczną, lecz także przeciw barwną i obiecującą problematyką współżycia Polaków z wymienionymi trzema, autentycznie bratnimi narodami, z których każdy na swój sposób – jak i my – wziął się za bary z losem o swe narodowe istnienie.*

Na taką recepcję swej pracy z pewnością może Podlaski liczyć. ■

**OGŁASZAJ
SIĘ
W „POGLĄDZIE”**

*Cennik reklam
wysyłamy na życzenie*

W. M. Alexander

Skrzydłaci najemnicy

Nakładem wydawnictwa *Icarus Enterprises* w Stanach Zjednoczonych ukazała się książka Stefana Bej-Kresowicza pod wymownym tytułem „Skrzydłaci najemnicy”*. Jest to jeszcze jedna spośród tych cennych publikacji, z jaką zapoznać powinien się obowiązkowo każdy, komu stosunki PRL-u znane są tylko powierzchownie, jak również każdy, komu wydaje się, że zna je już wystarczająco.

Osnuta na kanwie życiorysu, książka S. Bej-Kresowicza jest jednak czymś więcej niż tylko jego *curriculum vitae*. Wyraźnie wyróżniają się w niej trzy rozdziały: okres pobytu w oficerskiej szkole lotniczej; służba w lotnictwie wojskowym i wreszcie praca w lotnictwie cywilnym na eksponowanym stanowisku pilota-instruktora.

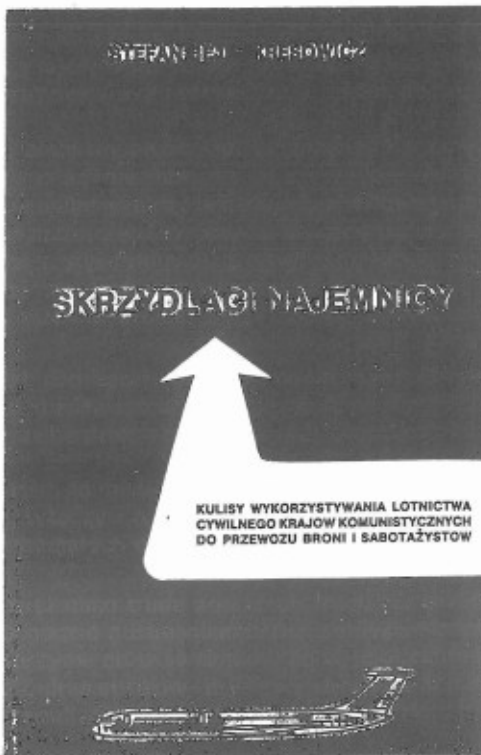
Autor należy do tej generacji, która w powojennym okresie stalinowskim szukała za wszelką cenę szans wybicia się, zdobycia kwalifikacji zawodowych, a z braku innych możliwości idąc na kompromis (czasami pozorny) poddała się panującej wówczas indoktrynacji.

Część drugą swej książki poświęca autor sowietyzacji lotnictwa tak poprzez odpowiednio „dobraną” kadrę, jak i całkowicie podporządkowanie tegoż lotnictwa sowieckiej strategii – a więc odpowiednie dostawy czy unifikację sprzętu. Dziesiątkami przykładów ilustruje działania sowieckiego wywiadu, koncentrującego się między innymi na zdobywaniu zachodnich rozwiązań technologicznych i wdrażaniu ich do własnego przemysłu lotniczego.

Książka ilustrowana jest bogato tabelami i danymi technicznymi sowieckiego sprzętu lotniczego – tak cywilnego jak i wojskowego. Szkoda tylko, że właśnie tych pozycji nie uzupełnił autor o dane porównawcze sprzętu zachodniego, które jak wiadomo nie stanowią na Zachodzie tajemnicy i odnaleźć je można w setkach różnych fachowych czasopism.

Trzeci rozdział „Skrzydlatych najemników” wydaje się być najbardziej politycznie aktualny. W zasadzie jest to opis ścisłego podporządkowania lotnictwa cywilnego strategii wojskowej i wyko-

* Stefan Bej-Kresowicz
Skrzydłaci Najemnicy
Icarus Enterprises, Atlantic City 1984.



rzystanie go do celów politycznych. Czy to na Bliskim Wschodzie, w Etiopii, Angolii, na Kubie, czy też w Ameryce Łacińskiej LOT zdobywa dewizy przewożąc broń i amunicję.

Czy tylko?

Chwała autorowi za podjęcie tego tematu. ■

W czwartek, dn. 27 grudnia br., w rocznicę wkroczenia wojsk sowieckich do Afganistanu, odbędzie się o godz. 14.30 demonstracja przy Kudam'Eck w Berlinie Zachodnim. Akcja protestacyjna organizowana jest przez Afgańczyków (głównie studentów) z Berlina. Ze strony polskiej demonstrację popiera Grupa Samopomocy przy SEKIS-ie. Chętnych zapraszamy...

Rozmowa z katem

...to tytuł wywiadu opublikowanego w numerze 63 KOS-a z 5 listopada br. W rozmowie – której fragmenty przytaczamy poniżej – brali udział: oficer jednostki ZOMO, stacjonującej w Warszawie oraz przedstawiciel wojska – redakcja.

Czy w związku z uprowadzeniem Popiełuszki macie stan gotowości bojowej?

Stan ostrego pogotowia ma cała Stołeczna Komenda. Liczymy na wystąpienia solidarnościowców.

Po co wam to było? (mowa o porwaniu księdza Popiełuszki)

Nam, a dlaczego nie wam? Przecież od was wyszło, że „trzeba go wysciszyć”. Naszym resor-tem kierują zieloni.

Zieloni, to znaczy głupi?

Zieloni, to znaczy wojskowi. Obsadziliście nimi większość wyższych stanowisk, gdyż nam nie ufacie.

To dlatego, że prowadzicie samodzielną politykę nie zawsze zgodną z ustaleniami premiera.

My polityką się nie zajmujemy. Natomiast niejednego polityka wyratowaliśmy z opresji. Kiedy jest dobrze, to nikomu nie jesteśmy potrzebni. Natomiast, gdy komuś grunt zaczyna się zapadać pod nogami, to wówczas wołają: ZOMO ratuj! No i słusznie, od tego przecież jesteśmy. Ale ostatnio to zrobili z nas cieciów: Zamiast pilnować porządku, ochramiamy różnych guďtajów.

Guďtajów - to znaczy Żydów?

A jak – peño ich w rządzie, administracji, kumają się ze swoimi braćmi z podziemia. Puściliśmy ich z amnestii, to teraz bruźdzą. A generał (mowa o Jaruzelskim) to też nie w porządku. Moczar miał o wszystkich kartoteki, to mu je zabrał. Sam teraz je czyta i swoich kumpli ochrania. Ja uważam, że trzeba było dołożyć i jednym i drugim. Byłby wtedy spokój. A teraz proszę, zapowiada się rozróbka i wszyscy liczą na ZOMO. W ogóle to zieloni znają się na pijanym żołnierzu, widzą, że jest nieostrzyżony, brudny. O reszcie to pojęcia nie mają. Taki Oliwa zaczął urzędowanie od przyjęcia ślubowania różnych urzędasów. I co? Jak chleli w pracy, to chleją, jak brali łapówki, to biorą.

U was też chleją.

Chleją, ale kogo my właściwie mamy. Połowa to z poboru – dopiero musimy z nich robić

„Judzi”. Pozostali to twardziochy, ale bez zadań nudzą się. Z wojskiem też macie kłopoty – no nie?

A co wy robicie, jak nie ma większych akcji?

Zabawiamy się w wojsko, wasze regulaminy, wasz sposób szkolenia... a ja się pytam – po co to wszystko? Cinkciarze jak handlowali walutą, tak handlują, dziwki jak śpiewali po kościołach prowokacyjne piosenki, tak śpiewają, ekstrema wyszła z kicia i podnosi głowę, a my przechodzimy szkolenie militarne: musztrę, regulaminy, wf... szkoda mówić.

Porwanie księdza Popiełuszki to poważna sprawa.

To wygłup esbowców, im też się chyba nudziło, a wszystko skupi się teraz na nas. Wałęsa i Bujak ze swymi robotami to tylko na to czekają. Będą chcieli pograć nam trochę na nosie.

Może dojść do starć i niepokojów społecznych.

Na pewno, już pod kościołami szumią, a teraz jeszcze zaczną się na cmentarzach.

Czy nie boicie się tych akcji?

Każdy ma cykorię, oni też. My jesteśmy na prawie. Najważniejsze, aby nie dopuścić do większych skupisk. SB teraz ma pietra i nie będzie wyłapywać wodzirejów. Być może przyjdzie łać jak popadnie.

Łać wodę?

Wodą to można sobie ogródek podlać – cha, cha, cha.

(KOS, nr 63, 5.11.84)

POLKI
mieszkające na terenie
PÓŁNOCNEJ WESTFALII
mogą korzystać
z porad lekarskich
w nowo powstałej
polskiej praktyce!

Andreas Karski
Ginekolog
Ostenhellweg 58
4600 DORTMUND 1
Tel. 0231 / 52 32 74

Portrety: Ks. STANISŁAW MAŁKOWSKI

1 grudnia 1983 roku, minister A. Łopatka przekazał Kardynałowi J. Glempowi listę 69 księży wraz z „prosbą” o „przekonanie” ich, aby „zaprzestali prowadzenia antysocjalistycznej działalności”. Do „prośby” dołączona była groźba, iż w przeciwnym wypadku podejmie się przeciwko nim kroki prawne w oparciu o artykuł 194, 270 i 271 kk (nadużywanie wolności religijnej, rzucanie oszczerstw przeciwko PRL, rozpowszechnianie fałszywych informacji).

Agencje prasowe informując o tym fackie wymieniały nazwiska kilku księży, w stosunku do których zarzuty były najcięższe: ks. ks. H. Jankowski, St. Małkowski, J. Popiełuszko, L. Kantorowski, Cz. Sadłowski, B. Sroka oraz dominikanów O.O. T. Aleksiejewicz, Cz. Bartnik, A. Jarosz, J. A. Kłoczowski i J. Salij.

W październiku 1984 groźba zawarta w liście „ministra” Łopatki zmaterializowała się w postaci zabójstwa ks. Popiełuszki.

Fakt ten wstrząsnął całą Polską i mimo swego zastraszającego charakteru nie spowodował zamknięcia pozostałych księży. Przeciwnie: określili w sposób jednoznaczny ten mord, napiętnowali jego sprawców wzywając władze do ukarania winnych.





msza dla chorych dzieci







msza w domu opieki nad bezdomnymi



Księża Stanisława Małkowskiego, duszpasterza akademickiego z Warszawy, poznałem w roku 1979. Choć znajomość nasza realizowała się w płaszczyznach pozareligijnych, byłem pełen podziwu dla jego pracy duszpasterskiej z ludźmi marginesu społecznego, przestępcami, bezdomnymi, chorymi psychicznie...

Tekst czydion „P”



W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

4 grudnia 1984

W REWOLUCYJNEJ LIBII

Jak podała *Die Welt* – w Libii znajduje się ponad cztery tysiące domadów wojskowych z których połowa pochodzi ze Związku Sowieckiego. W armii libijskiej stosunek czołgów do ilości żołnierzy jest największy na całym świecie. 2 600 czołgów przypada bowiem na 58 tys. żołnierzy. Libijska armia posiada najnowocześniejsze wyposażenie sowieckie.

Premier rządu krajowego Badenii Wirttembergii, Spaeth, zdecydował się na tymczasowe odwołanie przewidzianej na grudzień wizyty w PRL.

5 grudnia

LUMMER PRZECIWKO AZYLANTOM

Ministerstwo spraw wewnętrznych w Bonn doniosło, że do końca listopada br. 28 700 obcokrajowców złożyło w Niemczech Zachodnich wnioski o azyl polityczny. Przypuszcza się, że do końca roku liczba ta wzrośnie do 30 tys. Największą grupę wnioskodawców w listopadzie br. stanowili Tamilie z Cejlonu (994 osoby) oraz Polacy (518 osób).

Jak wiadomo w związku z zamieszkami na Cejlonie ostatnio prawie codziennie przybywa do Berlina Zachodniego (poprzez lotnisko Schoenefeld w Berlinie Wschodnim) ok. 130 Tamilów. Wg senatu Berlina Zach. miasto to pęka w szwach od azylantów. Sytuacja ta stała się głównym tematem trzydniowej debaty tutejszego parlamentu.

Berliński lewicowy dziennik *Tagesszeitung* zarzuca senatorowi d/s wewnętrznych, Lummerowi, podjęcie bezsensownej inicjatywy w celu zmiany odpowiedniego paragrafu niemieckiej Ustawy Zasadniczej (konstytucji), gwarantującego uchodźcom politycznym prawo azylu w RFN. Senator Lummer wystąpił z inicjatywą przyznawania uchodźcom prawa azylu tylko na czas ograniczony. Tymczasem senat Berlina Zachodniego zobowiązał Lummera do przedłożenia Izbie Wyższej niemieckiego sy-

stemu parlamentarnego (Bundesrat), projektu uchwały o przyspieszeniu postępowania azylowego. Przyczyną tych decyzji jest wzrastająca liczba uchodźców starających się o azyl w Berlinie oraz w Republice Federalnej. TAZ podaje dalej, że władze zachodniemieckie usiłowały nakłonić Tamilów do opuszczenia RFN i udania się do Holandii, gdzie mogliby „otrzymać lepsze warunki”. Proponowano im rzekomo bezpłatne bilety kolejowe.

Rzecznik policji, Schultz, potwierdził, że w ciągu następnego miesiąca z Berlina Zachodniego zostanie wydalonych ok. 2000 uchodźców z Libanu, których wnioski azylowe zostały oddalone – informuje inny berliński dziennik *Tagesspiegel*.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD

Wg ministerstwa spraw wewnętrznych RFN liczba obywateli wschodniemieckich przybyłych w tym roku do Republiki Federalnej Niemiec wynosi 38 tys. i do końca roku zwiększy się do 40 tys., co jest absolutnym rekordem od ponad dwudziestu lat.

10 grudnia

NAJWYŻSZE ODZNACZENIE PRL DLA WEHNERA

Mimo odwołania wizyty ministra spraw zagranicznych RFN w Polsce zaobserwować można duże ożywienie w stosunkach RFN z PRL. W dniu zamknięcia niniejszego numeru, do Bonn przybył sekretarz KC PZPR, Barcikowski, w celu spotkania się z przewodniczącym frakcji parlamentarnej niemieckich socjaldemokratów SPD, Voglem. Barcikowski przywiózł najwyższe odznaczenie PRL, Order Zasługi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, którym udekorowany ma być były przewodniczący tej frakcji w Bundestagu, Wehner (z wiadomości dzienników niemieckich nie wynika, że najprawdopodobniej chodzi tu o order II Klasy, tzw. Komandorię z Gwiazdą Orderu Zasługi PRL), za jego „wspaniałe zasługi w rozwoju współpracy między Polską Ludową i Republiką Federalną). Niemieckie dzienniki powtarzają za agencjami prasowymi, że Wehner (78 l.) położył szczególne zasługi

w pojednaniu między narodami niemieckim i polskim dzięki swoim osobistym kontaktom. Ponadto rząd warszawski nie zapominał, że Wehner wkrótce po ogłoszeniu stanu wojennego (w lutym 1982), jako pierwszy polityk zachodni przybył do Warszawy. Również zastugą Wehnera było nawiązanie kontaktów między Bonn i Warszawą na początku lat 70-tych. Prezydium SPD nie poinformowało z kim jeszcze Barcikowski spotka się w Bonn.

Warto dodać, że Order Zasługi PRL wprowadzono w 1974 r. i odznaczani są nim tylko obcokrajowcy.

W Londynie ogłoszono oficjalnie, że Wielka Brytania wystąpiła z UNESCO, jednej z podorganizacji ONZ do spraw wychowania, nauki i kultury. Przyczyną wystąpienia jest, podobnie jak w wypadku USA, lewicowe upolitycznienie się tej organizacji.



LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île
75004 PARIS
Metro: Pont Marie Tel.: 326 51 09

KSIAŻKI POLSKIE

KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI
I EUROPY WSCHODNIEJ

PRZEKŁADY Z JĘZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Książki wysyłamy na cały świat
Katalogi bezpłatnie wysyłamy
na każde żądanie

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W



Adam Lengyel

Stan wojenny na folwarku zwierzęcym

©1984, Adam Lengyel

[...] Przed Główną Zagrodą zahamowała w obłokach pary mechaniczna trojka. Czerwony dywan, gorączkowo ale starannie namalowany na świeżo ubitym śniegu, zamienił się w brudnokrwistą kałużę. Jęk rozpacz zamarł w piersiach komitetu powitalnego, tym bardziej, że z pojazdu nie wytoczył się nikt inny tylko Towarzysz Biały, komendant Wielkiego Folwarku. Chór zaspanych kaczek zagażał, zarówno rozpacziwie jak i fałszywie, hymn niespodziewanych gości. Bek owiec, wykrzykujących co sił w płucach powitalne hała, zmieszał się ze śpiewem powodując trudną do pojęcia kakofonię. Mistrz ceremonii już od dobrej chwili leżał zemdłony w zaspie a hetman Czarnoślepy, z wyciągniętą sztywno łapą, zastygł w postawie na baczność.

Jednakże towarzysz Biały zdawał się nie zważać na panujący dookoła rozgardiasz. Przebrodził w otoczeniu uzbrojonych po zęby wilków-mołojców krwiste bajoro, chwycił za łapę Czarnoślepego i rzuciwszy krótkie – Czasu żałko – pociągnął go za sobą do wnętrza zagrody.

Tymczasem, wypełniali powoli izbę ostatni, wyrwani w środku nocy ze snu, członkowie Politzagrody. Krążyły, podawane szeptem, najbardziej niesamowite plotki i domysły. A to, że Czarnoślepego szlag trafił, że mają rozdzielać walonki, albo też, że odbędzie się nadzwyczajna orgietka z udziałem ludowego zespołu tańca, składającego się z młodzieżowych klaczy wykonujących przepysznie kankana.

Wszystkie te rozważania przerwało pojawienie się w drzwiach obryzanych posoką (tak się

przynajmniej zebranych zdawało) przybyszów. Wilcy-mołojcy w mgnieniu oka zajęli strategiczne pozycje przy oknach i stole. Z samopałami wymierzonymi w tłum, szczerząc kły, warczeli głucho przestępując z łapy na łapę.

Czarnoślepy stanął za stołem i ukloniwszy się niedźwiedziowi, który zasiadł w olbrzymim, wniesionym właśnie przez goryle fotelu, zawołał:

– Towarzysze! Przedstawiam wam, przybyłego do nas nagle przywódcę Wielkiego Folwarku, Towarzysza Białego Niedźwiedzia. Pozwólcie Drogi Gościu udzielić Wam głosu – wyprężył się hetman Czarnoślepy.

– Zezwalam sobie – burknął Tow. Biały i odgoniwszy ruchem łapy nadworne szczygły, wydziobujące mu z kudłów insekty, podniósł się powoli i majestatycznie.

W ciszy, która zaległa, słychać było jedynie lekkie pochrapywanie Kozła, starszuszka pamiętająca jeszcze czasy ludzkiej niewoli.

– Hańba – ryknął niedźwiedź.

Knur wałnął łokciem pod żebro podrzemującego Kozła, ale okazało się to całkowicie zbędne.

– Hańba Małemu Folwarkowi – kontynuował podniesionym głosem przybysz zza rzeki – hańba animalizmowi! To, co się u was ostatnio wyprawia, przekroczyło już wszelkie dopuszczalne granice. Siły antyanimalistyczne hulają jak im się żywnie podoba. Anarchia i rozprzężenie! Nawet tu – powiódł wzrokiem po zebranych – znajdują się jednostki, których postawa może wskazywać, iż znajdują się pod wpływem wrażeń i – nie bójmy się użyć tego słowa – ludzkich elementów...

W izbę jakby grom uderzył, zamarły nerwowo poruszające się grydki. Kopyta, racice i pazury zastęły jakby wbite w polepę.

- Tak, tak - zawiesił głos Tow. Biały Niedźwiedź i ryknął ponownie - LUDZIE!!!

Rozpętała się burza. W okrzykach „Niech żyje Wielki Folwark”, „Precz z człowiekiem”, „Czterdzieści jaj na czterdziestolecie”, „No pasaran”, świnię, kozły, wilczury waliły się w pierś, ze łzami w oczach wyznawały samokrytykę, śpiewały „Sambę-sikoreczkę” i „Hej szable w dłoń”, a jeden z psów podczołgał się do łap niedźwiedzia i lizał je namiętnie a żarliwie.

Ten, pokrzepiwszy się kumyssem z podsuniętego mu przez goryla złotego pucharu, dał znak Czarnosłepemu, by uciszył całe towarzystwo.

Po chwili tumult ustał na tyle, że Tow. Biały mógł zabrać głos ponownie.

- Raduję moje serce, towarzysze, wasza zdecydowana postawa. W tych ciężkich dla Małego

Folwarku chwilach, chcę wam zakomunikować, iż możecie liczyć na naszą bratnią i interanimalistyczną pomoc - tu wymownym ruchem pazura

wskazał na otaczające salę wilki - Żadna ofiara, żadna przeszkoda nie powstrzyma nas od obowiązku obrony świętej sprawy animalizmu. Nie pozostawimy was, towarzysze, osamotnionych w biedzie. Howgh! - rzucił na zakończenie Tow. Biały.

Wiwatom i śpiewom nie było końca. Owce, zajmujące ostatnie rzędy, rozwinęły wielki transparent z napisem „NIECH ŻYJE I UMACNIA SIĘ SOJUSZ I PRZYJAŹŃ POMIĘDZY MAŁYM I WIELKIM FOLWARKIEM!” a młode kacząta w ludowych stroikach, wdrapawszy się na poręcz fotela, zawiesiły na szyi niedźwiedzia wieniec spleciony z niewiadomo skąd wytrzaśniętego o tej porze roku, polnego kwiecia. Jutrzejša prasa przynieść miała na pierwszych stronach zdjęcie Tow. Białego otaczającego opiekuńczo swoim ramieniem gromadkę rozszczebiotanych piskląt. Fotograf

uwiecznił łzę wzruszenia kręcącą się w śle-



piu przywódcy zaprzyjaźnionego folwarku i do brotliwie wyszczerzone kły, lśniące swą nieskazitelną bielą.

Czarnoślepy i niedźwiedz opuścili główną salę Politzagrody i udali się do osobnego pomieszczenia. Pod ścisłą strażą, nie dopuszczającą pod groźbą broni żywej duszy, toczyli jeszcze długie i poufne rozmowy.

Hetmana, co było tajemnicą Poliszynela, jako wilczura z rodowodem, nie darzono na Wielkim Folwarku, specjalnym zaufaniem. Jednakże przy pożegnaniu obaj przywódcy padli sobie z czułością w ramiona. Długi, miłosny pocałunek morda-morda przypieczętował pakt, którego skutki w nienajdalszej przyszłości miały wyżyć na jaw. Ciągnięta przez mechaniczne ogiery trojka ruszyła w powrotną drogę. Do kraju za rzeką. Kolebki animalizmu.

Dzień następny, tak jak i inne dni Małego Folwarku, był wypełniony tysiącem drobnych zdarzeń i kłopotów. „Realny animalizm” albo też „animalizm ze świńskim ryjem” jak mawiali niektórzy, odciskał swoje piętno na codziennym życiu mieszkańców. Jednak, od czasu powstania związku „Wielonożność”, żyło się jakoś inaczej. Krowa Łaciata, która odzywała się niezwykle rzadko i nie należała z pewnością do grona czło-wych myślicieli, powiedziała pewnego ranka do współtowarzyszek dyskutowających na pastwisku:

— Trawa jest trawą. Woda jest wodą. Sól jest solą. Można całe życie jeść trawę, pić wodę i nie zakosztować soli. Ale gdy się ją skosztuje, to trawa i woda nabierają innego, lepszego smaku. Teraz powietrze ma lepszy smak. Nie wiem jak to się dzieje. Może „Wielonożność” sypie coś do powietrza... Przedtem tak nie było.

Rzeczywiście. Coś było w powietrzu. Nawet koty, chadzające własnymi drogami i potrafiące przystosować się do wszelkich warunków, o czym świadczyć może fakt, iż przetrwały okres „kultu golonki”, gdy tępiono je szczególnie zaciekle, poruszały ze zdziwienia wąsami. Koty, waluciarze i przemytnicy, ferajna z dachów i zaułków. Szemrane towarzystwo, o niespisanym, swoistym kodeksie honorowym i rozbójniczych namietnościach. Koty; kręciły głowami i zastanawiały się — cieszyć się tu, czy martwić? Ale sakramentalne „pożyjemy-zobaczymy” zwyciężało i znów brzmiały ciche, natarczywe pytania — Potrzebujesz? — a niejedna koza czy kokoszka z okrzykiem przerażenia stwierdzała brak portmonetki.

Na aktywność kotów wpłynęło z pewnością niemal całkowite zniknięcie z ulic, zagród i łąk — psów. Siedziały one w swoich budach, rzadko kiedy wysuwając nos na zewnątrz i, jak twierdzili pesymiści, czekały lepszych czasów. Plotki nosiły

o psich zebraniach pod lasem na których ćwiczone aportowanie i nagonki.

O tym, jak bardzo trudności dnia codziennego wpływały na mieszkańców folwarku, może świadczyć głośny przypadek Karego, stojącego w kolejce pod sklepikiem. Trzy dni i trzy noce czekał on na dostawę podków, ledwo trzymając się na obolałych, startych kopytach. Gdy wreszcie przywieziono pożądanym towar, okazało się, że będące pierwsze na liście oczekujących gęsi i indyczki, wykupiły prawie wszystkie komplety. Na oczach zrozpaczonego konia ostatnie cztery podkowy zgarnął z lady, legitymujący się kartą inwalidzką opasy szczur. Tego już było dla Karego za wiele. Awantura, która wybuchła, zgromadziła pokaźną grupę zwierząt i omal nie przerodziła się w powszechną bójkę.

Zaalarmowani, miejscowi działacze „Wielonożności” w ostatniej chwili wydostali spod kopyt rozjuszonego konia, na wpół umarłego ze strachu szczurą i z niemałym trudem uspokoili wzburzony tłum.

W tym miejscu trzeba wspomnieć, że szczurzy nie cieszyły się (delikatnie mówiąc) specjalną sympatią mieszkańców Małego Folwarku. Było powszechnie wiadomo o ich usługach świadczonych Politzagrodzie. Szczurzy tworzyły „Służbę Miłosierdzia” zwaną popularnie „esmecją”. Mnóstwo zwierząt padło ofiarami ich prześladowań w ciągu całej historii folwarku. „Wielonożność”, od momentu powstania żądała ujawnienia zbrodni i gwałtów popełnionych przez SM i ukarania szczurów winnych okrucieństw. To zaniepokoiło „esmecję” i chociaż szczurzy, tak jak i psy, starały się w ostatnim czasie zniknąć z oczu mieszkańców, wiadano, że w kanałach i lochach ich ponuro wstawionej siedziby, wre nieustannie praca, której owoce nie mogą przynieść nic dobrego. /.../

* * *

/.../ I gdy dzwon wybił pierwszą w nocy, ze swoich siedzib, legowisk, zakamarków; wylazły, wpełzły, wyruszyły watahy szczurów, hordy psów. Wdzierały się do stajni, obór, nor, gniazd i stodół. Zaskoczenie było kompletne. Wybite ze snu zwierzęta patrzyły z niemym przerażeniem jak porywają ich współtowarzyszy, jak tłuste szczurzy odfajkują kolejne nazwiska na uprzednio przygotowanych listach.

Ktoś krzyczał przeraźliwie, kogoś wleczono na wpół nagięto po śniegu, ktoś próbował rozpaczliwej ucieczki, lecz prześladowcy długo układali swój plan...

Na skrzyżowaniach ulic stanęły katapulty i tarany. Ich potężne koła rozrywały bruk i miażdżyły drzewa. Machiny miotające zaostrzone pale

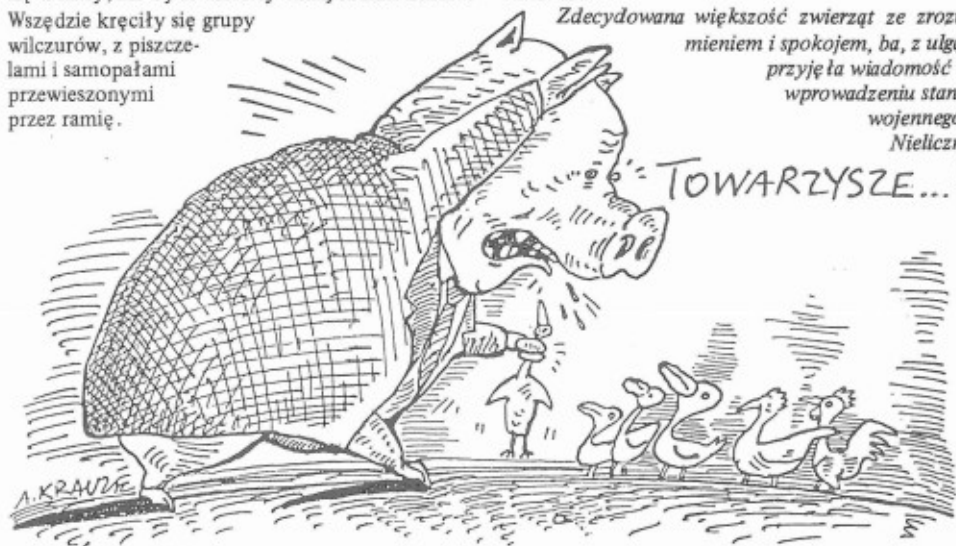
i ogromne głazy usadowiły się przy wodopojach i kórnikach. Ruchome wieże zdolne płuć płynnym ogniem, wtoczyły się na pokryte śniegiem pastwiska i łąki.

Pod blednącymi gwiazdami, pędzono ze wszystkich stron Małego Folwarku, dziesiątki zwierząt zakutych w łańcuchy. Dziesiątki istot, od bociana do perszerona. Istot, które zostały uznane za szczególnie niebezpiecznych przeciwników animalizmu.

I tak, za kolczastymi drutami w naprędcie zbitej z sosnowych desek szopie, znaleźli się prawie wszyscy przywódcy związku „Wielonożność” z bobrem Wąsaczem na czele. Byli internowani.

Gdy o świcie, zwierzęta wyjrzały ostrożnie ze swoich pomieszczeń, zobaczyły gigantyczne maszyny wojenne górujące nad krajobrazem całego folwarku i przekonali się, że to co zdarzyło się w nocy, nie było niestety sennym koszmarem.

Wszędzie kręciły się grupy wilczurów, z piszczałkami i samopałami przewieszonymi przez ramię.



W ręce ofiarnych pracowników „Służby Miłosierdzia” wpadł przepis na kiełbasę „Husarską”, nóżki w galarecie i boeuff Strogonow. Pomieszczenia spiskowców wypełnione były błaszanymi opakowaniami z wyłoczonymi na denkach, wielce mówiącymi monogramami – C.I.A. Nalepione na puszkach banderole ze straszliwymi napisami „Polish Ham” i „Lunchon Meat” nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do celu morderczego sprzysiężenia sił antyanimalistycznych. Zabezpieczono prawdziwy arsenał, batów, kagańców, uprzęży, oraz (o zgrozo!!) narzędzia do kastracji buhajów.

Uniknęliśmy straszliwego losu. Tylko zdecydowana akcja naszych dzielnych hufców pod przewodnictwem pierwszego sekretarza Politzagrody, hetmana Czarnoślepego uratowała nas przed morderczym spiskiem ekstremistów spod znaku „Wielonożności”.

Zdecydowana większość zwierząt ze zrozumieniem i spokojem, ba, z ulgą, przyjęła wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego. Nieliczni

TOWARZYSZE...!

Grzały się przy rozpalonych nieopodal katapult ogniskach i mierzyły czujnym wzrokiem na wpół ospałych ze zdumienia i grozy mieszkańców.

Z głośników umieszczonych na placach całego folwarku płynęły przemówienia hetmana Czarnoślepego zawiadamiające społeczeństwo o wprowadzeniu stanu wojennego; dekrety wojenne, grożące śmiercią lub zsyłką do kamieniołomów nad jeziorem, za najmniejszą próbę oporu.

Metaliczny głos „szczekaczki” wyjaśniał, groził, piał, demaskował, ostrzegał:

...w ostatniej chwili zduszono w zarodku straszliwy spisek. W siedzibie „Wielonożności” znaleziono plany od których jeży się sierść na pysku.

awanturnicy otrzymają należną im odprawę, a zbłąkane owieczki i inne stworzenia, które dały się uwieść demagogicznym i wrogim hasłom sił antyanimalistycznych, wrócą na tony naszej wspólnoty, gdzie spotka je wyrozumiałość...

Albowiem naszym celem jest ŁAD SPOKÓJ PRACA ANIMALIZM PRACA SPOKÓJ ŁAD!!!...

Niech żyje animalizm! Niech żyje hetman Czarnoślepy!!!...

To wszystko, co usłyszały i zobaczyły zwierzęta, było tak niesamowite i absurdalne, że dosłownie odejmowało mowę i władzę w członkach.

Szron na maszynach bojowych, pochmurny grudniowy dzień, pełne tupetu, obwieszone bronią

psy i złowroga cisza, przerywana jedynie skrzykiem kół przesuwanych na nowe pozycje taranów i kolejnymi komuniakami z głośników – to wszystko, jak cios tępym narzędziem w czaszkę, poraziło mieszkańców folwarku...

I nagle! Posypały się z nieba w zmartwiały tłum białe płatki, lecz nie śniegu, a papieru. To

wróble śmigały w powietrzu i rozrzucały ulotki.

Przyczajone na parapetach i rynnach funkcyjne jastrzębie rzuciły się na odważne ptaszki, a szczury skoczyły z piskiem w tłum, zbierać rozrzucone kartki i aresztować, wzbraniające się oddać schwymane ulotki, zwierzęta.

(...)

Ottomar Ebert

Niedzielną opowiadanką

© wydania polskiego – O. Ebert.

Jako kapitan Jack Kent, alias dr Dieter Merkel, alias Willem van Tonge, alias Johannes Krebs, alias Berry Brown, alias Genosse Hauptman Bernhard Lemke... etc opowiada Autor w trzech kolejnych fragmentach swych wspomnień o dziesięcioletniej działalności na „niewidzialnym froncie”. Pracował we wszystkich niemal krajach bloku wschodniego; przede wszystkim w Niemczech Wschodnich, Czechosłowacji, Rosji Sowieckiej.

Od roku 1956 pełnił funkcję korespondenta jednego z amerykańskich dzienników. Aresztowany podczas prywatnej wizyty w Berlinie Wschodnim (1968), skazany na dożywotnie więzienie, spędził 11 lat w zakładzie karnym w Bautzen. W roku 1981 zwolniony w zamian za wypuszczenie na wolność Guentera Guillaume – agenta wywiadu wschodnioniemieckiego, bliskiego współpracownika kanclerza Brandta.

„Niedzielną opowiadanką” to pierwsza z trzech części wspomnień, które przedstawiamy w kolejnych wydaniach Poglądu.

Była sobota, 15 czerwca 1961 roku. Jack dokonał właśnie ostatnich zakupów na wieczorne przyjęcie, które miało się rozpocząć ok. dwudziestej. Teraz dochodziła piąta, pogoda była wymarzona, gdy nagle na drodze wiodącej do willi usłyszał pisk opon. Chwilę później weszła Claudia.

– Hej, baby – pozdrowił ją serdecznie – trochę za wcześnie przychodzisz, ale zanim pojawi się reszta gości może zdążymy jeszcze się wykapać lub opróżnić butelczynę burbona.

– Nic z tego – zaprzeczyła Claudia – musisz być trzeźwy jak nigdy, za dwie godziny wyruszamy. O dziesiątej masz być w Halle nad Saalą. To chyba sprawa niezwyklej wagi, bo z nakazu szefa od południa już kilka osób pracuje nad specjalnym zleceniem.

W dziesięć minut później opuścili bungalow i pognali w kierunku Hanoweru. W Ohlendorf niewielkiej wiosce skręcili w bok i wjechali na podwórze samotnej zagrody chłopskiej. Samochód zostawili w szopie, która służyła za garaż, w drzwiach domu pojawił się szef, skinął na przybyłych.

– Niezależnie od siebie pracujący informatory, nadsyłają już od kilku dni ważne informacje.

Dopiero dziś jednak dostaniemy od Alexandra * konkretne dane. Chodzi mianowicie o to, że podobno w przeciągu czterech następnych tygodni granica państwowa z Berlinem Zachodnim oraz Republiką Federalną ma zostać zabezpieczona „specjalnymi środkami” – tak postanowił miała tzw. Narodowa Rada Obrony NRD. Winą obarcza się wzrastającą z dnia na dzień liczbę uciekinierów: tylko w tym miesiącu trzydzieści tysięcy osób. Dokładniejsze dane otrzymasz od Alexandra w Halle. Nie znamy wprawdzie dokładnej daty, ale i nie chcemy być zaskoczeni. Zarządzeniem więc, by wszyscy nasi współpracownicy na t a m t y m obszarze zostali uprzedzeni. W wypadku zamknięcia granicy nie może dojść do paniki, a w konsekwencji nawet porzucenia tak ważnych dla nas stanowisk. Jeżeli ci ludzie dostaną wcześniej informacje, to będą ostrzeżeni i świadomi grożącego im niebezpieczeństwa. Nie możemy dać się zaskoczyć.

Co do samego przebiegu akcji – kontynuował szef – to Claudia podrzucił cię autem do zjazdu na Magdeburg-Burg i pojedzie dalej w kierunku

* – Pseudonim oficera sztabowego sowieckiej armii okupacyjnej w Niemczech Wschodnich, pracującego w latach 60-tych dla jednego z wywiadów zachodnich.

Berlina Zachodniego. Wystannik Alexandra odbierze cię ze skrzyżowania wozem armii sowieckiej. Musicie pojawić się dokładnie o dwudziestej drugiej. Jeżeli wóz sowiecki nie nadjedzie, musicie zjechać prosto na autostradę berlińską i dalej aż do miejscowości Lehnin. Tam przejmie cię inny samochód i dojedziesz do Halle. Będziesz pracował ze trzy, cztery godziny z Alexandrem. W tym czasie musicie omówić wszystkie szczegóły. Następnie Alex da sygnał nadajnikiem i Claudia odbierze cię razem z materiałami w umówionym miejscu. Jutro przed południem, gdzieś koło jedenastej oczekuję was we Frankfurcie przy ocenie dostarczonych materiałów. W wypadku jakiegokolwiek konfrontacji musisz spróbować przebiec się do Wernigerode, by tam przeczekać w kwatery zastępczej. W żadnym wypadku nie wolno ci przekraczać linii demarkacyjnej! Materiał musi pozostać nietknięty!

Dla Jacka wszystko było jasne. Otrzymał aktówkę ze specjalnie zabezpieczoną wewnętrzną częścią, dwa specjalne aparaty fotograficzne, wystarczająco dużo taśmy, pieniądze w obcych walutach, witaminy i środki pobudzające (na wszelki wypadek!), pistolet z tłumikiem oraz dodatkowo trzydzieści sztuk amunicji rezerwowej. W chwilę później wyruszyli z Ohlendorf autostradą w kierunku na Helmstadt. Ponieważ samochód posiadał holenderskie znaki rejestracyjne, a jego pasażerowie legitymowali się holenderskimi paszportami, w Marienborn – wschodnio-niemieckiej stacji granicznej – przeprowadzono tylko rutynową kontrolę dokumentów i obydwójce bez przeszkód mogli podróżować dalej. Było w pół do dziesiątej, gdy osiągnęli parking nieopodal Magdeburga, gdzie na krótko się zatrzymali. Do zjazdu na Burg pozostało im z pięć, siedem minut jazdy, a zgodnie z uprzednimi ustaleniami w umówionym miejscu mogli być za wcześniej.

Jack przejrzał wszystko raz jeszcze, pistolet tkwił nadal w prawej kieszeni kurtki, która specjalnie do tego celu wyposażona była w skórzaną futrówkę. Claudia raz jeszcze życzyła mu „połamania nóg” i w kwadrans później ruszyli dalej. Dwie minuty przed dziesiątą, skręcili na zjazd w kierunku na Burg i wjechali pod wiadukt. Na przyciemnionych światłach oczekiwał ich już sowiecki gazik. Kiedy Claudia zatrzymała się obok, drzwi otworzono, żołnierz pozdrowił ich krótkim „dobry wieczór”, wymieniono hasło, Jack wsiał do jeepa, a Claudia zawróciła i wjechała ponownie na autostradę.

Nim Jack usadowił się wygodnie w aucie, założył kombinezon armii sowieckiej, który skrył teraz jego cywilne ubranie. Rosjanin otworzył paczkę papierosów, Jack spłaszczył ustnik, jak robią to Rosjanie i zaciągnął się z przyjemnością

śłodkim dymem machorki. W Halle wjechali na podwórze warsztatu samochodowego, a potem do garażu. Kiedy zdjęli mundury, Jack zauważył, że i Rosjanin ma pod spodem cywilne ubranie. Opuścili warsztat tylnym wyjściem na ulicę, która biegła równoległe do tej, którą przybyli. Dwie przecznice dalej wsiadli do starego Wartburga i pojechali w kierunku ogrodu zoologicznego. Przed samym zwierzyńcem, skręcili w boczną uliczkę, gdzie stały tylko domki jednorodzinne. Zaparkowali przed jednym z nich.

– Alexander zaraz nadejdzie – powiedział Rosjanin.

Jack miał teraz zobaczyć, co przygotował dla niego Alexander. W całkowicie zaciemnionym pokoju obok znajdowały się dwa reflektory fotograficzne („Jak u zawodowych fotografów” – pomyślał), statywy do reprodukcji i szereg innych rzeczy. Siedzieli właśnie za stołem (Rosjanin przyniósł miskę pomidorów, myśliwską, butelkę wódki i trzy szklanki), gdy nadszedł Alexander. Dźwigał ciężką aktówkę. Przywitani się serdecznie jak para przyjaciół, która nie widziała się od lat.

Alexander otworzył teczkę i powiedział:

– Wystarczająco dużo pracy dla ciebie na ten niedzielny poranek. Naturalnie pomogę ci, a Michał załatwi resztę.

Alex krótko wyjaśnił, że czternastego mieli dziesięciogodzinne posiedzenie w Poczdamie, na którym omawiano „szczególne przedsięwzięcia rządu w sprawie zabezpieczenia granicy przed ucieczkami, sabotażem i szpiegostwem”, a mianowicie całego odcinka „Zachód” – od wybrzeża Bałtyku, przez granicę z RFN do Berlina Zachodniego.

Przygotowania do całej operacji, zbieranie materiałów, prowadzone są na wysokich obrotach. 75 % wszystkich zaplanowanych obiektów w budownictwie trzeba odsunąć na dalszy plan, przede wszystkim w budownictwie mieszkaniowym. Nie ustalono jeszcze dnia, wszystko zależy od tego, kiedy zakończone będzie przygotowanie i rozdział materiałów. Wszystko może zdarzyć się najwcześniej w pierwszych dniach sierpnia, najpóźniej natomiast – w drugim tygodniu miesiąca. Budowa zabezpieczeń zaplanowana jest na noc z soboty na niedzielę, ponieważ właśnie wtedy wszyscy, kursujący zazwyczaj między miejscem pracy a mieszkaniem, znajdują się w domach i komunikacja prawie całkowicie zamiera. Zanim ludzie się opamiętają, będzie po wszystkim. Zabezpieczenie prac budowlanych zlecono armii, milicji oraz Zakładowym Grupom Bojowym.

Alex otworzył skoroszyty, wyjmując z nich dwujęzyczne plany, rysunki oraz listy materiałowe. Były to trzy grube paczki i Jack miał przed sobą dwie i pół godziny pracy, by wszystko to

sfotografować. Alexander pomagał mu naturalnie. Żar bijący z dwóch lamp powodował, że pracowali rozebrani do połowy, ocierając od czasu do czasu spływający po ciele pot. Kiedy wszystkie kopie były zrobione, Jack zapakował dokładnie naświetlony materiał i przejechał raz jeszcze pojedyncze części każdej z teczek. Co wpadało natychmiast w oko, przy przeglądaniu planów budowlanych zabezpieczających: wszystkie te zapory z betonu dla pojazdów czy czołgów skierowane były do wewnątrz, to znaczy w stronę Niemiec Wschodnich. Jasnym było, że za wszelką cenę próbować się będzie niedopuszczyć do dalszych ucieczek ludności. Przed zaporami i murem zaplanowano nawet przeszkody uniemożliwiające swobodne spoglądanie na drugą stronę.

Kiedy Jack brał kąpiel i ubierał się, Alexander przy pomocy krótkofalówki nadał umówiony sygnał. Po trzech minutach na innej frekwencji otrzymał potwierdzenie i wiedział już, że wszystko poszło zgodnie z planem. Zjadł jeszcze po kawałku kiełbasy, wypili wódkę. Alexander pożegnał się, życząc szczęśliwego powrotu. Po kwadransie byli już na bocznej uliczce przy garażu. Przebrali się ponownie w mundury sowieckie i ruszyli w kierunku miasta Burg. Jedyнным komentarzem Michała do całej akcji było stwierdzenie:

— Biedni Niemcy, teraz jesteście już załatwieni na dobre.

Stali około pół godziny pod mostem, aż nadjechała Claudia. Jack zdjął mundur, pożegnał się z Michałem, przesiadł się do samochodu Claudii, materiały i broń ukrył w specjalnej skrytce auta i ruszyli w kierunku granicy. Także i powrót odbył się bez przeszkód. Zmieniali się za kierownicą i we Frankfurcie znaleźli się o umówionej godzinie.

*

Kiedy materiały zostały uporządkowane, a ich zawartość przejrzana, poinformowano natychmiast współpracowników na Wschodzie o wydarzeniach mających się rozegrać w najbliższym czasie.

Czarna niedziela 13 sierpnia 1961 roku nie stanowiła dla nich już zaskoczenia. Ulbricht postawił swój mur, mimo iż jeszcze niedawno na pytanie amerykańskiej dziennikarki odpowiedział: *Nie mieliśmy i nie mamy zamiaru wznosić MURU, ani dziś, ani w przyszłości.*

Była to szczerą, socjalistyczna prawda. ■

Z ZIMNĄ KRWIĄ

Wszysli wszyscy trzej jak przyszli. Trzaskając butami, przepychając się w drzwiach z wybitym wizjerem. Zapach tanich papierosów wsiąkał powoli w ubrania, wiszące w przedpokoju, w słoje pełne mąki i kasz, wypełniał przestrzenie pomiędzy okładkami porozrzucanych książek. Śnieg, który nanieśli, rozlewał się mokrymi plamami po dawno woskowanej podłodze.

— Otwórz szeroko okno — powiedziała.

Ostre, pełne styczniowego mrozu powietrze wtargnęło do pokoju. Niebieska mgła przeredzała się z wolna, dygotanie rąk ustępowało.

— Idę wziąć kąpiel, zrób coś — powiedziała.

Posklejane kawałki pustego, nie licząc pieczętek i podpisu majora, protokołu, spodki pełne petów, obok zapalniczka z rozbiegającą się Japonką — „pewno dodatek do plexiglasowych tarcz kolegów z operacyjnego” — zauważył. Wziął szcztokę, wiadro na śmieci i stojąc na krześle mechanicznie zamiótł stół. Z dna stołka po ćwikle z chrząnięm wyskrobał resztkę zrzutowej kawy i wyspał do szklanki. Przez uchylone drzwi łazien-

ki dobiegał go ciepły szum wody. Zamknął starannie okna i omijając kałuże byłego śniegu zaczął zbierać z podłogi książki. Pod palcami czuł brud tamtych rąk; „darowana własność” — pomyślał.

Szybko powracało uspokojenie. Nic nie znaleźli; nie mogli zresztą. W miarę poszukiwań zdenerwowanie stróżów prawa rosło, by na pożegnanie zamienić się w uprzedzającą grzeczność. Bo nic nie znaleźli, nawet w drzwiczkach zamrażalnika był tylko biały styropian.

Teraz on leżał w gorącej wodzie. Przez oczy przesypywał się piasek nieprzespanej nocy, w nozdrza bił zapach igliwia z szyszki kąpielowej znalezionej cudem przez tamtych. Wychodząc z wanny, usłyszał dzwonek. „Już siódma?” — chłopcy wstawali zwykle o tej porze, chyba, że szli do szkoły na drugą zmianę. Narzucił szlafrok i w półmroku skierował się do dziecinnego. Pierwsze uderzenie przyszło w podbrzusze, następnym nie liczył.

— Zdaje się, że czegoś zapomnieliśmy, prawda panie majorze? — dobiegło go jeszcze i w chwili przedostatniej zdążył zobaczyć, jak wyprowadzają jego żonę.

M.K.

Krzysztof Sztablewski

Doktryna Rakowskiego

Na spotkaniu w ścisłym i godnym zaufania gronie, przywdziewający szaty pierwszego liberała PRL, wicepremier Mieczysław F. Rakowski wyznał ongiś otwarcie: *W partii nigdy więcej posierpniowych eksperymentów! Za drogę one nas kosztowały. I aby więcej się nie powtórzyły, musimy towarzysze pracować sprawdzonymi metodami, ale jeszcze lepiej niż dotąd i bardziej po męsku.*

Próbując na zagadnienie spojrzeć oczyma rządzących Polską komunistów, trudno nie przyznać Rakowskiemu i jego doktrynie racji. Partia musi pracować „lepiej”, bowiem na jej pełnej dominacji opiera się byt systemu, który mimo patronatu Moskwy w egzystencji swojej czuje się nadal zagrożony. Tylko jednopartyjny system, brak jakiegokolwiek opozycji, a szczególnie parlamentarnej – ta najbardziej niedemokratyczna spośród wszystkich antydemokratycznych zasad, jakimi kieruje się komunizm – zapewnił PZPR czterdziestoletnie sprawowanie władzy. I jak wykazały doświadczenia ostatnich czterech lat jedynie totalitaryzm może tę władzę sprolongować.

Wszystkie minione lata w mniejszym lub większym stopniu podważały sens istnienia socjalizmu w radzieckim wydaniu, „budowanego” uparcie przez zmieniające się ekipy rządowe czy partyjne gremia. Sierpień '80 obnażył wprawdzie sztuczność tego tworu, lecz rozmiarami swego gniewu po raz pierwszy tak dotkliwie poraził partię i skutecznie naruszył mechanizmy zabezpieczające ciągłość komunistycznego władztwa w Polsce. Wtedy to bowiem, konstruowany latami, misterny, choć kruchy, bo wsparty na fałszu i kłamstwie „partyjny monolit” runął niczym przysłowiowy domek z kart. Toteż Rakowski, mówiąc o lepszym i bardziej męskim działaniu partii, miał na myśli utrwalenie i udoskonalenie komunistycznego totalitaryzmu. Jego doktrynę można więc sprowadzić do bardzo wymownego poglądu: nigdy więcej „Październików”, „Grudniów” czy „Sierpniów”, a więc tego wszystkiego, co rozbija monolit i pozbawia partię brutalnej siły, niezbędnej dla sprawowania władzy. Lepsza praca partii polegać ma zatem nie na wyciąganiu rzetelnych wniosków

z popełnionych błędów, ale na tłumieniu już w stadium embrionalnym wszelkich oznak niezadowolenia społecznego i niepokojów, które mogą się w owe „Październiki”, „Grudnie” czy „Sierpnie” przerodzić.

Aby pojąć, jak się realizuje doktrynę Rakowskiego w praktyce i co się dziś w PZPR dzieje, trzeba wrócić do stanu i struktury tej organizacji z lata 1980 roku. Mimo, że na ten temat wylano już morze atramentu, po czterech dramatycznych, pełnych napięć, a i nierzadko tragicznych doświadczeń latach, inaczej się ów problem rysuje niż wówczas, gdy emocje brały górę nad rozważną i dogłębną analizą faktów. To, co komunistyczna propaganda w Warszawie i Moskwie przypisywała „Solidarności”, a więc demontaż partii, dokonywało się nie tyle pod presją sił opozycyjnych, ile było skutkiem podziałów i antagonizmów wewnątrz ciężko schorowanego organizmu partyjnego, który jednak ani przez moment nie utracił kontroli w państwie, mając do dyspozycji aparat przemoocy, propagandy i armię. Tylko naiwni mogli sądzić, że sporadyczne próby tworzenia samorządnych związków zawodowych w milicji, czy pozorna, bo w gruncie rzeczy ściśle kontrolowana i sterowana „wolność słowa” w środowiskach masowego przekazu, są oznakami utraty kontroli władzy. Ci zaś, którzy w niczym nieuzasadnionej euforii głosili pogląd, że wojsko, jeśli przyjdzie czas wyboru, stanie z narodem przeciwko komunizmowi, zapewne nie czytali *Żołnierza Wolności*, który jednoznacznie ilustrował nastroje wiernej PZPR, a co ważniejsze – wpływowej części korpusu oficerskiego polskiej armii. A zatem nie „Solidarność” zagrażała partii lecz to, że nie udało się jej utrzymać tzw. konsolidacji szeregów, to znaczy ślepego i bezwarunkowego podporządkowania rzesz członkowskich aparatowi i kierownictwu politycznemu. Gdy spontaniczny ruch protestu społecznego w 1980 roku poluzował wszelkie cugle nałożone przez system komunistyczny, nie ominęło to także żelaznej dyscypliny partyjnej. „Scementowana” dotąd PZPR z miejsca rozsypana się na kilkanaście frakcji czy odłamów, które różniły się wszystkim, lecz łączyły w jednym: w nieposłuszeństwie wobec instancji partyjnych.

Podziały te nie obejmowały całej partii. Przeważająca większość jej członków, rozczarowana rzuciła czerwonymi legitymacjami, lub przynajmniej zniechęcona usunęła się poza zasięg oka partyjnego cyklonu. Uczyniło tak cztery piąte stanu partii, czyli ok. 2.5 mln osób. Nie liczyły się też drobniejsze, zabarwione od nieskazitelnej bieli po szkarłatną czerwień odłamy, z wyjątkiem ha-

łaśliwych narodników, których przywódca, Mieczysław Moczar, choć bez cienia szans, raz jeszcze wyciągał rękę po władzę. Trochę do powiedzenia mieli też zwolennicy socjalizmu „gomułkowskiego”, sierniężnego, opartego na biedowaniu i przeciętności: ich szef, Stanisław Kociołek, zdobył pewne wpływy i grono sprzymierzeńców nawet w najwyższym kierownictwie partyjnym. W istocie jednak, do walki o pogierkowską sukcesję przystąpiły tylko dwie najpopularniejsze i najliczniejsze frakcje: wściekłych i reformistów. Obie, wedle bardzo mało precyzyjnych szacunków, skupiające po sto tysięcy osób.

Celem pierwszych było wyłączenie przechwycenie władzy. Atakowali więc, nie przebijając w środkach tych z prawa i tych z lewa, nie ogłaszając przy tym własnego, konkretnego programu polityczno-społecznego. Walkę oparli na demagogii, taniej frazeologii i modnej wówczas negacji wszystkiego, zresztą akceptowanej przez ogół rozsierzonego społeczeństwa. Do frakcji tej, jak się rychło okazało, należeli przeważnie ludzie o niepohamowanych ambicjach i wręcz patologicznych aspiracjach, cwaniacy i hochsztaplerzy polityczni oraz zwyciężni karierowicze. Druga frakcja – reformistów, ludzi ogarniętych ideą naprawy (sic!), opowiadała się, przynajmniej w teorii, za stworzeniem w miarę rzetelnych organizmów zabezpieczających kraj przed dalszymi wynaturzeniami. Zabiegali oni zatem o demokrację wewnątrzpartyjną, dopuszczającą i legalizującą pluralizm oraz o rotację na kierowniczych stanowiskach partyjnych. Dziś trudno dociec, ilu w tej frakcji było idealistów-utopistów a ilu graczy politycznych, którzy po prostu wsiadli do niewłaściwego pociągu.

Przeciwno „wściekłym” i „reformistom” występował bierutowo-gomułkowsko-gierkowski aparat partyjny. Stary aparat nawykły do pełnowładztwa i bezdyskusyjnego ferowania decyzji, który mimo poważnego szoku, jaki wywołał w nim Sierpień nie oddał pola. Wbrew pozorom nigdy nie został ostatecznie pokonany, a nawet rozbity. Pozbył się jedynie jednostek psychicznie najmniej odpornych a inne, by odwracać od siebie uwagę opinii publicznej, świadomie poświęcił na ołtarzu tak zwanej sprawiedliwości społecznej. Część aparatu nadal mocno dzierżyła partyjne i państwowe stery, a zwarta i czujna reszta gotowa była w każdej chwili przyjąć obowiązki, jakie im partia wyznaczy. Obojętne przy tym było, jakie ta partia miała będzie oblicze.

„Reformiści”, niebezpieczni tak dla „wściekłych”, jak i dla starego aparatu, a zatem atakowani ze wszystkich stron, pierwsi padli na placu partyjnej bijatyki. Jerzy Iwanow, przez parę miesięcy jedyny urzędujący, choć w istocie już bezpartyjny sekretarz przestał pełnić tę funkcję przed IX

zjazdem, by internowany w grudniu 1981 roku ostatecznie podzielić los czołowych działaczy toruńskiej „Solidarności”. Był on inicjatorem tak zwanych struktur poziomych, czyli idei nieformalnego powiązania wszystkich organizacji partyjnych szczebla podstawowego w celu swobodnego przepływu informacji i skutecznego kontrolowania poczynań partyjnej góry. Statut PZPR przewidywał wyłącznie organizacyjne podleganie w pionie, a więc izolowanie organizacji między sobą, co zapewniało możliwość manipulowania rzęsami partyjnymi. Koncepcja struktur poziomych, która poważnie ograniczała te możliwości, była dla partii leninowskiego typu nie do przyjęcia. Stąd też gwałtowna reakcja kierownictwa partyjnego i srogi odwet na Iwanowie. Bez wątpienia jeden z najtęższych umysłów w kraju, Stefan Bratkowski, który w minionych czasach nieraz przemieniał się to w Rejtana, to znów w Pytię ostrzegając PZPR – do której zresztą należał od trzydziestu lat – przed powielaniem błędów, został z partii wykluczony oraz pozbawiony prawa wykonywania zawodu dziennikarskiego. Wreszcie Wojciech Lementowicz, pracownik naukowy średniego pokolenia, usunięty został z partii i WSNS² za odwagę i nadmiar wyobraźni. Jeśli partia nie dokona gruntownej zmiany swej orientacji politycznej – twierdził – to czeka ją niechybna samozagłada. Mimo ostrych ataków wielu „reformistom” udało się jednak przetrwać najtrudniejsze chwile. Liderzy tej frakcji, Hieronim Kubiak czy Jan Łabędzki, redaktor naczelny *Gazety Krakowskiej*, Maciej Szumowski czy szef partii w Poznaniu Edward Skrzypczak zaczęli przegrywać, lub ostatecznie przegrali dopiero później, już po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy PZPR, zgodnie z doktryną Rakowskiego, rozpoczęła proces „konsolidacji”.

„Wściekli” i „reformiści” zabiegali o zwołanie IX nadzwyczajnego zjazdu partii. Pierwsi upatrywali w nim drogę do osiągnięcia władzy, drudzy – możliwość przeformowania własnych reform. Zjazdowi sprzeciwiał się jednak stary aparat obawiający się, że w wyniku rozszalałej demokracji przeradającej się w anarchię, wielu, zwłaszcza mocniej skompromitowanych aparatczyków, „przepadnie” w wyborach, tak na konferencjach

1 Najpierw wojewódzka, a potem Centralna Komisja Kontroli Partyjnej wykluczyła go z PZPR, lecz nadal pełnił funkcję sekretarza w toruńskim Towimorze i był członkiem plenum Komitetu Miejskiego, gdyż organizacja zakładowa nie przyjęła decyzji o usunięciu z partii do wiadomości. Był to wypadek bez precedensu w bez mała 70-letniej historii komunizmu.

2 Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC. Kuźnia czołowych kadr partyjnych. Dyplomy zdobyło w niej przynajmniej 90% prominentów partyjnych, tak obecnych, jak i tych z przeszłości.

niższego szczebla, jak i na samym zjeździe. Gdy jednak połączonym wysiłkiem „wściekłych” i „reformistów” doszło do zwołania zjazdu, aparat obrat taktykę obronną polegającą na tym, by jak najmniej utracić ze swego stanu posiadania. Najgłośniejszą rzeczą ujmując: zjazd zakończył się remisem; „wściekli” uchwycili częściowo władzę, „reformiści” przeforsowali połowiczne zmiany statutowe, a stary aparat, choć wyszedł z Sali Kongresowej jeszcze bardziej osłabiony, to jednak nie do tego stopnia, aby to mogło zagrozić jego przetrwaniu. Zjazd oznaczał też koniec odwrotu, bo kogo „zjazdowa maszynka wyborcza” nie przezmiliła, ten już mógł być spokojny o swoją przyszłość, stanowisko i fotel.

W wyniku „demokratycznych” – co w tym przypadku oznaczało żywiołowych i przypadkowych – wyborów³ do najwyższego gremium partyjnego politbiura weszło aż sześciu starych aparatczyków. Ich czołowy przedstawiciel, Stanisław Kania, został szefem PZPR-u, a drugi as – Wojciech Jaruzelski, już od półrocza piastował urząd premiera. Stefana Olszowskiego mianowano sekretarzem propagandy, Kazimierzowi Barcikowskiemu oddano sprawy organizacyjne i kadrowe, a Józefowi Czyrkowi politykę zagraniczną. Wreszcie Mirosław Milewski, dotychczasowy minister bezpieczeństwa został sekretarzem odpowiedzialnym za ten właśnie resort. Mimo, że w wyborach „przepadły” takie filary bloku, jak Henryk Jabłoński, Tadeusz Grabski, Andrzej Żabiński, Zdzisław Kurowski, Mieczysław Jagielski czy Tadeusz Fiszbach, stary aparat zachował przewagę, jeśli nie liczbą, to przynajmniej kompetencyjną. Ale i spore sukcesy zapisali w swym koncie „wściekli”. Do politbiura weszli bowiem ich marcowi liderzy: profesorowie⁴ Tadeusz Porębski i Zbigniew Mesner, a także szefowie partii z Olsztyna oraz Łodzi Tadeusz Mokrzyński i Józef Czechowicz, a szef partyjny z Siedlec Marian Woźniak został sekretarzem kierującym ekonomiką i przemysłem. Dużo skromniej natomiast wypadli reformiści. Do politbiura awansowało tylko profesor socjologii z Krakowa, Hieronim Kubiak, twórca najsłynniejszej koncepcji partii dobrotliwej, łagodnej i tolerancyjnej, któremu powierzono sekretariat odpowiedzialny za ideologię i kulturę. Wszedł też z klucza zaproponowanego przez „reformistów” stoczniowiec z Gdańska, Jan Łabędzki. Proponowali oni również do politbiura dziesięciu robotników, ostatecznie wy-

brano ich tylko czterech. Obok Łabędzkiego także robotnicę z Radomia, Zofię Grzyb, górnika ze Śląska, Jerzego Romanika i mistrza budowlanego z Warszawy, Albina Siwaka. Tradycyjny skład politbiura uzupełnił emeryt z Tarnowa, Stanisław Opałko i stołeczny dziennikarz Jan Główny, a sekretarzem rolnym został dyrektor PGR-u Głubczyce, Zbigniew Michałek. Łabędzki, Grzyb, Romanik, Siwak, Opałko, Główny i Michałek byli jedynie figurantami, z którymi na dobrą sprawę żaden z aparatczyków poważnie się nie liczył. Z rolą figuranta nie pogodził się Łabędzki płacąc za to wysoką cenę: upadkiem z partyjnego Olimpu. Z kręgu partyjnych manekinów udało się wy dostać tylko Główny. Dzięki powiązaniu ze „szarą eminencją bez partyjnego stanowiska” – Rakowskim, zdobył względy generała i po przeniesieniu Olszowskiego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych został sekretarzem propagandy. Złośliwi mówią, że awans zawdzięcza temu, iż jest „twardogłowy”, ale powody są zgoła inne. O nich jednak nieco dalej.

Ponieważ przynajmniej połowa członków najwyższego kierownictwa partyjnego posiadała zerowe doświadczenia polityczne, punkt ciężkości sprawowania władzy przesunął się siłą rzeczy na ludzi, którzy formalnie pełnili podrzędniejsze funkcje. Szczególną więc wagę starzy aparatczycy przykładali do kierowniczych stanowisk w poszczególnych wydziałach KC, które to potajemnie obsadzali sprawdzonymi ludźmi. Podobnie rzecz się miała, z niewielkimi wyjątkami, w instancjach wojewódzkich, miejskich, gminnych, a nawet w przedsiębiorstwach, fabrykach czy wyższych uczelniach. Tym sposobem pozycja starego aparatu po zjeździe uległa ponownemu wzmocnieniu. W wielu dziedzinach partyjnej działalności była ona wręcz niezachwiana.

IX zjazd okazał się typową walką o stołki i nie załatwił żadnego, istotnego dla kraju społeczeństwa, problemu. Od tej strony nie różnił się zatem od wszystkich poprzednich zjazdów. Jednak samej partii przyniósł on więcej szkód niż korzyści. Nie położył bowiem kresu sporom wewnętrznym pogłębiając jeszcze antagonizmy i rozdziewięki. Zjazd unaooczniał też „wyrobioną” część kierownictwa PZPR-u i jej moskiewskiemu promotorowi jeszcze jedną, bardzo istotną prawdę, a mianowicie to, że ta i taka partia nie jest w stanie zrealizować programu szykowanej już wówczas rozprawy z narodem. Rozprawy wynikającej z doktryny Rakowskiego: ubezwłasnowolnienia narodu po to, by partia mogła odzyskać pełną i niekwestionowaną władzę. Dlatego do tej rozprawy w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku wyznaczono inną siłę. Siłę, która nie tylko ujarzmiła własny naród, ale także pomogła „scalić” nieporadną partię. Ta siła była armia.

³ Najwięcej głosów w wyborach do KC, bo prawie 96% otrzymał pewien lekarz z Rabki, gdyż (wedle jego własnych słów) „... nikt mnie nie znał, a trudno skreślić lekarza leczącego dzieci, gdy w dodatku zatajono fakt, że jestem też sekretarzem komitetu miejsko-gminnego...”

⁴ Naukowcy, którzy w nagrodę za zasługi polityczne położone w marcu 1968 roku otrzymali tytuły docentów i profesorów.

Wspomnienia niebieskiego mundurka

KŁOPOTY Z PRZYNALEŻNOŚCIĄ

Rano trzeciego września (pamiętam dokładnie, bo to było w piątek), jechałem tramwajem i widziałem w gazecie, co ją wyrzucił jeden obywatel i śmiał się przy tym głośno: przywódca nasz, generał armii, nazwisko i imię znane redakcji (tak czytał), złożył nie zapowiedzianą wizytę w warszawskiej szkole. W trakcie wizyty udał się do jednej z klas, gdzie wziął udział w lekcji języka polskiego. Lepiej późno niż wcale – powiedział ten obywatel i wysiadł z tramwaju mówiąc to w moim towarzystwie. Tłumaczył się potem, że jemu chodziło o to, że gdyby generał odwiedzał z wojskiem uczniów już w ubiegłym roku szkolnym, to uczniowie by nie mieli powodów odwiedzać wojsko i nasze służby na ulicach. Ale z naszym sierżantem rozmowa jest krótka: mordę w kubeł! – mówi – opróżnić kieszenie. No i znaleźli u niego bon na dziesięć centów, to było już wiadomo, przez kogo jest finansowany. To sierżant powiedział, że jest chwat i kazał mi pisać raport, że my z sierżantem złapali agenta na gorącym uczynku. Potem sierżant obiecał, że za to czeka mnie nagroda. Mianowicie udzielił mi rekomendacji na podaniu o przyjęcie do partii. To się poweselał, bo dotąd mi z przynależnością nie szło. Bo jak raz się dowiedziałem, że u nas socjalizm, to napisałem, że chcę do partii socjalistycznej, albo jak mówili, że partia ma bronić robotników, to chciałem do tej partii, co ma komitet obrony robotników, no i zawsze miałem z tego tylko kłopoty, włącznie z przejściowym samoaresztowaniem. Tak, po mojemu, to w tych partiach mają pewnie komplet i nowych już nie chcą. No to zapytałem sierżanta, jakie mam możliwości wyboru spośród tych, co przyjmują i co on mi radzi. Sierżant polecił mi partię robotniczą, ale że ja z robotnikami już miałem do czynienia i więcej nie chcę, to mówię – wolnego, wolnego – i głupio mi się zrobiło, bo przecież sierżant nazywa się Wolny. Na szczęście nasz sierżant jest koleżeński i nigdy nie myśli o sobie, to nie zauważył aluzji, tylko trzasnął mnie pałką w długopis i zapytał, czy ja muszę zwracać jemu dupę na służbie. To ja mówię, że słyszałem o Związku Walki Młodych, ja młody, to chcę do nich. To sierżant powiedział, że zasadniczo to boli go ręka i nic mi nie podpisze. A niech to licho, znów się nie, zapiszę: A trzeba było nie być głupim i zapisać się rok temu. Pamiętam akcję pod kryptonimem „Tektura”, co to przywozili z całego kraju pod KC legitymacje na ciężarów-

kach, no i można było brać, ile kto chciał. Nasz kapitan, jak raz przywieźli trumnę z legitymacjami, a legitymacje kazał porozdawać albo zniszczyć, bo – jak powiedzieli – są gówno warte.

Z tą wartością to chyba nie miał racji, bo za legitymację Gierka to mój kolega dostał na bazarze zegarek na baterię bez baterii i gumę donald. Pamiętam, jak wtedy u nas na magazynie leżała sterta tych legitymacji i chłopaki sobie wybierali. Sierżant mówił tak: ja wam dobrze radzę – nie bierzcie nowych, tylko te stare, bo jak w RFN-ie, za sanacji, Hitler przejął władzę, to ci, co byli w partii nazistowskiej i mieli na legitymacjach niskie numery, to też wszyscy przeszli na wysokie stanowiska. To ja wykapałem, że trzeba szukać niskie numery, bo jak u nas robotnicy dojdą do władzy, to mnie wezmą wtedy do rządu. No i znalazłem wreszcie legitymację z numerem 348. To się ucieszyłem, że mam taki niski numer, ale po miesiącu okazało się, że aktualnie jest to jeden z najwyższych numerów.

No i jestem bezpartyjny.

NA KOMISARIACIE

Motto:
„Nikt nie zna dnia
ani godziny”
(Czesław Kiszczałak).

Zacząłem tym razem od motta autorstwa naszego ministra, bo wczoraj mieli my zwiedzanie komisariatu. Trzeba przyznać, że było nudno. Najpierw dali nam takie sukienne kapcie na buty, potem zaprowadzili nas do izby tradycji, a potem pokazywali różne eksponaty. Była tam prehistoryczna pałka, wykopana pod Goleźdinowem, Szkielet Nieznanego Milicjanta w akcji, pod którym stała warta, a w ostatniej chwili oglądali my pośmiertną maskę radiowozu. Potem mi przez godzinę wpisywali nazwiska do książki pamiątkowej (dość długo, ale trzeba pamiętać, że było nas sześciu) i potem zrobili nam pamiątkowe zdjęcie na tle bitwy pod Grunwaldem, niby że i tam nas nie zabrakło.

Potem dali nam pić, ale tylko wodę sodową, tak że każdy musiał dosładzać własnym cukrem. Jakoś smętnie się zrobiło, to major dla rozrywki włączył telewizor, nawet fajnie było, bo akurat leciały napisy z programem dnia, to major ogłosił konkurs, kto zdąży odczytać choć jeden. Prawdę mówiąc zadanie było trudne, ale my w końcu nie

jestemy od łatwych. Mnie przypadała do odczytania audycja (jak się potem okazało) pod nazwą „dziennik telewizyjny”, nawet odgadłem trafnie dwie pierwsze litery, znaczy „dz”, to major zaczął się śmiać, że jestem budzik, no i potem przyszła kolej na sierżanta. No i zapadła cisza, a sierżant się zaczerwienił. No to, żeby ożywić towarzystwo, niepostrzeżenie zmieniłem temat, a że znów zapadła cisza, to zmieniłem program w telewizji, a na drugim programie szedł właśnie festiwal „Koło Brzeg-82” w wersji dla niesłyszących. To było śmiechu, jak stuosobowy chór huzarów machał rękami, a ci z orkiestry Debicha to rozłożyli ręce i tylko głowami kręcili. Major powiedział, żeby wyłączyć to rozkładanie rąk, bo bynajmniej sytuacja ogólna nie jest zła. Za granicą – mówi – jest na pewno gorzej. To ja mówię – kto może wiedzieć, jak u nich jest, skoro nikt tam nie wyjeżdża, bo paszportów nie dają, znaczy: nie dajemy.

– Owszem, dajemy, było takie zarządzenie – powiedział major – dajemy dla odwiedzenia najbliższej rodziny. Konkretnie chodzi w tym zarządzeniu o rodzinę wicepremiera Rakowskiego, żeby Rakowski mógł wyjechać na Zachód i odwiedzić swych synów, którzy tam śpie... znaczy przebywają na pobyt stały. To ja mówię, że dziwne, że ten wicepremier chce wychować całe społeczeństwo, a synów tak wychował, że ci teraz... – Lepiej byś nie chrzanił! – przerwał major (major lubi mocne słowa, każdy wie) – dziś sobota, a ja w sobotę lubię się zabawiać. Zmień program. No to przetęczyłem na pierwszy program. Major ucieszył się: był dziennik. Pokazywali jak w Mongolii witają Przymanowskiego. Czyżby – pomyślałem – udało mi się zbiec przez tzw. zieloną granicę? E, chyba nie, pewnie po prostu pojechał odwiedzić najbliższą rodzinę.

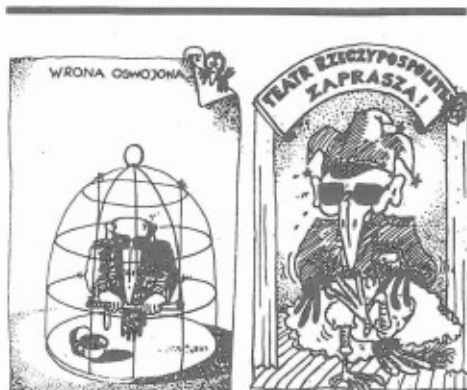
PODSUMOWANIE ROKU

No i skończył się rok. Trzeba przyznać, że był udany, choć nie udało mi się dostać awansu na plutonowego. Oczywiście były także pewne straty, przykładowo porzuciła mnie żona, no ale major powiedział, że za to udało się w minionym roku uzyskać, po raz pierwszy w dziejach, współczynnik wykwalifikacji zabójstw około 120%. Jeżeli nawet nie dostaniemy za to Leninowskiej Nagrody Pokoju, to jego już, znaczy majora, jest głowa w tym, żeby każdy z nas dostał nowy długopis i to z wkładem. Potem major mówił, że w tym roku osiągnięto aresztowalność ponad 50 obywatelogodzin na głowę mieszkańca. Zresztą przygotowuje się już plan pobicia tego rekordu w przyszłym roku i liczy się na pomoc społeczeństwa, zwłaszcza, że odmowa pomocy, w ramach § 997, powoduje natychmiastowe aresztowanie. Tak

więc, kto tylko zechce, może siedzieć, a kto nie zechce, musi siedzieć. W ten sposób MO trafi do Księgi Guinnessa.

Potem rozeszli my się do pracy w zespołach, znaczy jedni na piwo, inni spać, a ja siadłem, żeby zanotować ostatnie swe osiągnięcie w tym roku, a może i nawet w życiu, z racji zawieszenia stanu wojennego. Otóż wyreżyserowałem w telewizji program rozrywkowy pt. „Szopka noworoczna”. Ponieważ był to program bardzo wesoły i satyryczny, więc nie mogłem firmować go swoim prawdziwym nazwiskiem Kowalski, a użyłem pseudonimu (jest to obce słowo, związane z partyzantką). Początkowo wybrałem sobie pseudonim *Dolar*, no ale ze względu na zapowiedziane przez naszego premiera restrykcje antyamerykańskie, musiałem go zmienić. Poradzono mi, bym sobie wybrał coś z kręgu RWPg, no to wybrałem sobie *Forint*. Potem dopiero, przy kolaudacji programu, z powodu wartości artystycznych, zmieniono mi *Forint* na *Filler* i tak już zostało. Szkoda tylko, że nie pokazano całej szopki w telewizji, bo na koniec, jak śpiewał nasz generalissimus, co liczył, że za udział w obecnej wojnie dostanie marszałka, to ci, którzy dają te wysokie stopnie, to się nie zgodzili. No i ustanowiono specjalnie stopień generała obrony pokoju, to będzie zygzak i pięć gwiazdek. Za parę miesięcy, jak się coś ruszy, to dadzą mu stopień generała rozbrojenia, sześć gwiazdek, a potem następne. Wreszcie, jak gwiazdki przestaną się mieścić na pagonach, to będą schodzić na piersi, na plecy i niżej. Wreszcie po kilku latach nasz generał będzie wyglądał jak flaga amerykańska i stanie się to powodem tragedii, gdyż omyłkowo zostanie zastrzelony w Bułgarii przez baterię przeciwlotniczą im. Ali Agcy. Niestety, ta historyjka została wycięta, żeby nie zapeszyć.

Szyja



NOTATKI: KULTURA I POLITYKA

Spotkanie z A. Ratusińskim

Przypominam sobie pierwszy występ Andrzeja Ratusińskiego na estradzie Berlińskiej Filharmonii – 12 października 1982 roku. W setną rocznicę istnienia tej najwspanialszej w Europie orkiestry artysta wykonał III Koncert G-Dur op. 45 na fortepian i orkiestrę Antoniego Rubinsteina i „Fantazję Węgierską” na fortepian i orkiestrę – Franciszka Liszta. Było to dokładne powtórzenie programu pierwszego koncertu Berlińskiej Orkiestry Filharmonicznej z 23 października 1882 roku. W sto lat później zmienili się tylko wykonawcy. Za pulpitem dyrygenckim filharmoników berlińskich z którymi grał Andrzej Ratusiński stanął wówczas znakomity dyrygent Wolfgang Sawalisch.

Ogromny sukces, jaki odniósł tym występem Andrzej Ratusiński zaowocował ponownym zaproszeniem do Berlina.

I te koncerty (27-28 listopada br.) spotkały się z niezwykle gorącym przyjęciem berlińskich melomanów i tutejszej krytyki. Artysta wykonał niezwykle trudny technicznie, usiany pułapkami wykonawczymi II Koncert d-moll op. 30 na fortepian i orkiestrę – Sergieja Rachmaninowa. Jego palce z łatwością pokonywały karkołomne pasáže, wprowadzając w zachwyt publiczność, która na obu koncertach wypełniła salę filharmonii do ostatniego miejsca. Przy całej perfekcji wykonawczej Andrzeja Ratusiński nie zapomniał o wnętrzu i niezwyklej barwności muzyki Rachmaninowa – co zgodnie podkreślili berlińscy krytycy w recenzjach z koncertu. Nieporozumieniem natomiast – mówiąc najdelikatniej – był występ dyrygenta. Giuseppe Patane – włoski kapelmistrz operowy, dla którego ten występ był pierwszym na tej estradzie, nie uczynił nic, aby swą obecnością utworzyć most łączący pianistę i zespół orkiestrowy. Nie uczynił nic, a momentami zrywał wręcz niewidzialną nić bezpośredniego porozumienia, tworząc się między solistą i orkiestrą.

Gratulując Andrzejowi Ratusińskiemu wspaniałego występu, poprosiłem pianistę o krótki wywiad dla „Poglądu”.

K. Z. K. – Koncert ten był Pana drugim występem na estradzie Berlińskiej Filharmonii. Jak

czuje się artysta występując z tą orkiestrą i na tej estradzie?

A. Ratusiński – Najkrócej mówiąc – wspaniale! Myślę, że występ z tą orkiestrą, która należy do absolutnej czołówki światowej i według mnie jest orkiestrą numer jeden w Europie, jest dla każdego artysty wielkim zaszczytem i daje ogromną satysfakcję artystyczną. Odczuwam ogromną odpowiedzialność. Czy nazwiemy to tremą? Ja staram się unikać tego określenia, choć jest to oczywiście uczucie, które towarzyszy każdemu człowiekowi występującemu publicznie. Osobiście określam to mianem poczucia artystycznej odpowiedzialności. Ciśnienie psychiczne odpowiedzialności, która spoczywa na soliście grającym z tą orkiestrą jest ogromne nie tylko ze względu na fakt, że jest to orkiestra wirtuozów i każdy jej orkiestry może prowadzić zupełnie swobodnie swoją własną karierę solistyczną, ale również z uwagi na niezwykle wysoki poziom profesjonalizmu, który reprezentuje ten zespół. Jest to grupa wspaniałych muzyków, którzy słuchają się nawzajem, cudownie ze sobą współpracują, co również i mnie, jako solistę ogromnie mobilizuje.

– **Utwór który Pan grał – Koncert Rachmaninowa – najeżony jest trudnościami technicznymi...**

– Tak, są miejsca o ekstremalnym stopniu trudności technicznej. Na pewno.

– **Jest Pan znany z tego, że stawia przed sobą zadania wykonywania tak niezwykle skomplikowanych utworów. Dlaczego?**

– Chociaż to wszystko, co pan powiedział jest prawdą, ja jednak nie rozpatrywałbym sprawy wyboru tego koncertu w kategoriach techniki wykonawczej. Powiedziałbym to skromniej. Jest to koncert należący do tak zwanego „żelaznego repertuaru” pianistycznego i dlatego również ja postanowiłem włączyć ten utwór do swojego repertuaru. Natomiast, gdybym chciał dokładnie odpowiedzieć na pańskie pytanie – to chyba tylko w ten sposób, że mnie łatwe zadania nie interesują.

Koncert ten stwarza pole do ogromnego sprawdzianu dla pianisty i to nie tylko sprawdzianu technicznego. Oczywiście jest to utwór stawiający przed wykonawcą ogromne wymagania techniczne, ale ta technika nie jest nigdy celem samym w sobie. Służy ona, w moim przekonaniu, bardzo pięknej muzyce. Możliwość sprawdzenia się na wielu płaszczyznach daje tylko tego typu koncert. Zarówno zmierzenie się z trudnościami technicznymi, jak i podołanie wypowiedzeniu całej treści

muzycznej, która – jak mówią niektórzy – znajduje się pomiędzy nutami.

– Przed dwoma laty przyjechał Pan do Republiki Federalnej Niemiec i tu zdecydował się Pan zamieszkać. Skąd ta decyzja?

– Sądzę, że dostatecznie długą część swojego życia spędziłem w Polsce. Spędziłem tam trzydzieści trzy lata i był to dostatecznie długi okres, aby wykorzystać moje zdolności i umiejętności. Są przecież specjalnie do tego powołane instytucje, jak na przykład Polska Agencja Artystyczna PAGART, z którą początkowo współpracowałem, czy też utworzony później Impresariat Radia i Telewizji. Nie chcę nazywać przyczyn, ale myślę, że się nie pomyliłem jeżeli stwierdzę, że te moje możliwości nie zostały należycie w kraju wykorzystane. Dlatego też podjąłem decyzję bardzo trudną i bardzo odpowiedzialną – zaczęcie życia w wieku 33 lat od nowa.

To nie jest bowiem tylko wyjazd i zamieszkanie za granicą. Taka decyzja oznacza kontakty z nowymi ludźmi i nowym otoczeniem, w którym obowiązują inne prawa. Znalezienie się w kraju, w którym są inne przepisy. Po prostu trzeba się nauczyć życia od nowa, w nowym środowisku. To nie jest najlepszy wiek na emigrację. Można to przeżyć o wiele łatwiej, kiedy możliwości adaptacyjne organizmu są większe, ale ja przekroczyłem trzydziestkę, a to jest już bardzo późny wiek na taką decyzję. Dlatego przyszła mi ona bardzo trudno, ale nie mogę powiedzieć, że była dziełem przypadku. Ja ją oczywiście przemyślałem i długo ją w sobie nosiłem, zanim zrealizowałem.

Dlaczego akurat wybrałem ten kraj? Tak się złożyło, że mieszkając w Polsce, najczęściej koncertowałem w Republice Federalnej Niemiec. Miałem już tutaj pewną pozycję, pewne nazwisko. Poza tym ten kraj stwarza ogromne możliwości jako wielki rynek zbytu sztuki. Jest to rynek niezwykle chłonny i jednocześnie rynek, na którym panuje olbrzymia konkurencja artystyczna. Mam możliwości konfrontacji z czołową pianistyczną całą świata. RFN jest krajem, który ma środki na to, aby zapraszać najwybitniejszych artystów i dlatego możliwości skonfrontowania moich umiejętności ze światową czołową pianistyczną – nie ukrywam – bardzo mnie pociąga.

– Podczas swych podróży koncertowych do Republiki Federalnej Niemiec, bądź innych krajów Europy i świata spotyka Pan kolegów – polskich muzyków na emigracji. Które z tych spotkań wspomina Pan najserdeczniej?

– Mogę powiedzieć, że wszystkie. Polaków jest tutaj bardzo wielu. Zawsze gdy gram koncert Polacy są na sali, wśród publiczności. Nie zdarzyło mi się jeszcze, abym grając koncert z orkiestrą, nie spotkał w jej zespole Polaka. Polscy muzycy

z czołowych polskich orkiestr grają dziś w różnych zespołach orkiestrowych na świecie. Spotkałem już sporą liczbę muzyków – kolegów, grających niegdyś w Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach.

Są to zawsze bardzo miłe, serdeczne i wzruszające spotkania. Wspominamy nasze wspólne koncerty na polskich estradach. Często bywam zapraszany do polskich domów na obczyźnie i wszystkie te kontakty staram się bardzo pielęgnować i kultywować.

– Wielu muzyków poza swoją działalnością koncertową prowadzi również pracę pedagogiczną z młodzieżą. Czy Pan również podjął pracę dydaktyczną w RFN?

– Jak do tej pory nie, chociaż mam na tym polu pewne doświadczenie. Natychmiast po otrzymaniu dyplomu w Akademii Muzycznej w Warszawie zostałem przez tę uczelnię zaangażowany w charakterze pracownika. Doszedłem w swej pracy dodatkowo naukowej nawet do stopnia adiunkta, po czym na własną prośbę i za obopólną zgodą odszedłem. Tutaj, ze względu na ogromną liczbę koncertów jeszcze tej pracy nie podjąłem. Z własnego doświadczenia wiem – a pracowałem pod kierunkiem wybitnego pedagoga, Pani Margerity Trombini-Kazuro – jak wiele czasu musi poświęcić nauczyciel adeptowi. To powinien być stały i regularny kontakt. Ze względu na czasowych nie jestem w stanie na razie podjąć pracy pedagogicznej, chociaż się nie zarzekam, że jej nigdy nie podejmę. Z pewnością przyjdzie znów taki czas w moim życiu, że praca pedagoga będzie mnie ponownie nęcić.

– A w związku z dużą liczbą koncertów – jakiego są Pana najbliższe plany koncertowe?

– Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Włoch. Będę grał w Weronie Koncert f-moll Chopina. Potem w styczniu i w lutym mam szereg koncertów i recitali w Niemczech Zachodnich, po czym w połowie marca odlatuję na siedmiotygodniowe i pierwsze w moim życiu wielkie tournée w Australii. Prawie 30 koncertów. Cała Australia wduż i wszecz. Potem wracam do Niemiec i tu kończę trwający obecnie sezon koncertowy.

– Gratulując zatem jeszcze raz wspaniałych występów w Berlinie i dziękując za rozmowę, życząc udanych występów na całym świecie i rychłego ponownego spotkania nad Szprewą.

– Dziękuję serdecznie.

Rozmawiał Krzysztof Z. Korewicz

Spotkanie w Monachium

15 listopada br. w ramach tradycyjnych już *Teatralnych Czwartków w Haus der Begegnung* w Monachium, zorganizowane zostało przez *Solidarność Wolnych Polaków w Bawarii* spotkanie z rosyjskim pisarzem-satyrykiem, Władimirem Wojnowiczem, przebywającym obecnie na emigracji w Republice Federalnej.

Wojnowicz – jeszcze podczas pobytu w Rosji Sowieckiej – stał się postacią popularną, a to poprzez napisanie „Piosenki o Kosmonautach”. Opowiadania i sztuki teatralne, które pisał w Rosji Sowieckiej były przedmiotem bezustannych zatargów z cenzurą. Po opublikowaniu dłuższego opowiadania *Życie i niezwykle przygody żołnierza Iwana Czonkina* nastąpiły pierwsze represje władz, zapoczątkowane wyrzuceniem Wojnowicza ze Związku Pisarzy Sowieckich. W tym samym czasie Bawarska Akademia Sztuk przyjmuje go zaocznie w poczet swych członków. Reakcją Moskwy jest propozycja przedłużona Wojnowiczowi, by ten wyjechał na Zachód. Propozycja – dodajmy – poparta mnożącymi się z dnia na dzień szykanami ze strony władz.

W roku 1980 Wojnowicz otrzymuje stypendium Bawarskiej Akademii Sztuk i przybywa do RFN. Swoją wyjazd traktuje jako tymczasowy. W kilka miesięcy po opuszczeniu Rosji Sowieckiej, Breżniew podpisuje oświadczenie akt pozbawiający pisarza obywatelstwa sowieckiego, zamykając mu tym samym możliwość powrotu do kraju.

Tłumaczem dzieł pisarza na język polski jest Stanisław Deja, który zaopiekował się Wojnowiczem zaraz po jego przyjeździe do Monachium i który prowadził wieczór autorski w *Haus der Begegnung*.

W ramach tego ciekawego spotkania zaprezentowana została widmom sztuka Wojnowicza „Fikcyjne małżeństwo”, zagrana brawurowo przez polskich aktorów: Barbarę Klimkiewicz i Wojciecha Stockingera. Było to powtórzenie spektaklu, którego premiera odbyła się już kilka miesięcy wcześniej, również w *Haus der Begegnung*.

A. Kobyliński

Wydawnictwa nadesłane

POLSKA PO 13 GRUDNIA
PEJZAŻ POETYCKI
Lund: IPA 1984, s. 181

Maczek (Stanisław)
OD PODWODY DO CZOŁGA
Londyn: Orbis 1984, s. 304

Erdman (Jan)
DROGA DO OSTREJ BRAMY
Londyn: Odnova 1984, s. 442

Barańczak (Stanisław)
UCIEKINIER Z UTOPII
(O poezji Z. Herberta)
Londyn: Polonia 1984, s. 146

Bej-Kresowicz (Stefan)
SKRZYDLACI NAJEMNICZY
Atlantic C.: Icarus 1984, s. 398

Majchrowski (Jacek M.)
GENEZA POLITYCZNYCH
UGRUPOWAŃ KATOLICKICH
Paryż: Libella 1984, s. 175

Jabłoński (Zygmunt)
KWARTET
Londyn: PFK 1984, s. 165

Bieniarz (Stanisław)
OSTRY DYŻUR
Londyn: PFK 1984, s. 157

Zamojski (Jan)
POWRÓT NA MAPE
Londyn: PFK 1984, s. 152

Ks. Popiełuszko (Jerzy)
KAZANIA PATRIOTYCZNE
Paryż: Libella 1984, s. 198

UWAGA CZYTELNICY

Świąteczne, o zwiększonej objętości wydanie „Poglądu” kosztuje (nie dotyczy prenumeratorków): w Australii – 3 \$A, Austrii – 40 ÖA, Belgii – 110 bfr, Danii – 20 dkr, Francji – 20 FF, Holandii – 6 hfl, Norwegii – 17 nkr, RPA 3 R, Szwecji – 16 skr, USA – 3 \$, Wielkiej Brytanii 1,5 £ oraz Niemczech Zachodnich – DM 5.

Podglądy

Świąteczny
dodatek
satyryczny



Krótkie streszczenie poprzednich dwóch odcinków:

Zenon Rypała (ps. „Cichy”, „Lotny”, „Żbik”, „Feliks”, „Buc”) urodził się przed wojną. Był synem komunistów z dziada pradziada. Skutkiem prześladowań sanacyjnego reżymu przyszedł na świat jako sierota. Mimo to nie zrezygnował z rewolucyjnych przekonań, które doprowadziły go w 1939 roku za mury więzienne. W wię-

zieniu poddany brutalnym represjom, umocnił się w nienawiści do kapitalistycznej i homoseksualnej eksploatacji człowieka przez człowieka. Po wybuchu drugiej wojny światowej znalazł się w ZSRR, gdzie w uznaniu dla jego komunistycznej przeszłości umożliwiono mu udział w budowie ustroju sprawiedliwości społecznej w jednym z obozów pracy na Syberii. Wiosną 1943 roku został wciągnięty na członka założyciela Związku Patriotów

Polskich i przewieziony samolotem NKWD do Moskwy.

Duża Ziemia

(WSPOMNIENA GEN. DYW. ZENONA RYPAŁY CZŁONKA WRON, PRON, KOK I KROK¹)

Odc. III – AUDIENCJA

W Moskwie od razu spotkałem się z gorącym przyjęciem ze strony Lampego i Wasilewskiej. Komunistycznym zwyczajem

¹ KROK – Krajowa Rada Ocalenia Komunistów.

długo się ściskaliśmy i całowaliśmy². Następnie odprowadzono mnie do hotelu „Ukraina”, gdzie po raz pierwszy od czterech lat mogłem wziąć kąpiel i umyć zęby. Hotel zamieszkały był przez samych patriotów: oprócz polskich byli jeszcze

² w usta

czescy, rumuńscy, węgierscy, bułgarscy, jugosłowiańscy³ i chińscy. Dnie i noce upływały nam na internacjonalistycznych biesiadach.

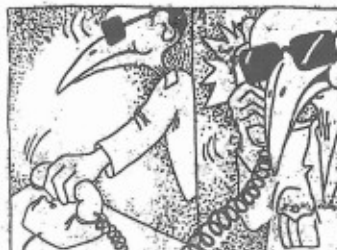
Pamiętam, jak raz prosto z przyjęcia niespodziewanie przewieziono mnie na Kreml. Była godzina 2. po północy. Opancerzonym samochodem strasznie rzucało; tak, że zrobiło mi się niedobrze, ale nie można było otworzyć szyby...

Prowadzono mnie następnie⁴ przez liczne korytarze, schody i pokoje. Na karku czułem przyjemny chłód metalu. W końcu zatrzymaliśmy się. Mo-

³ co prawda tylko jeden, ale i tak spał ze śliskich schodów

⁴ z zawiązanymi oczami

Dokończenie na ostatniej stronie dodatku.



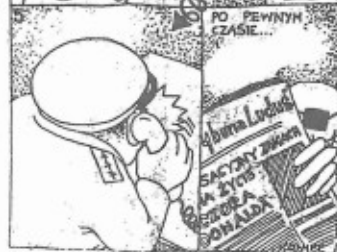
Czernienko telefonuje do Jaruzelskiego.

– Co się u was dzieje? Dochodzą mnie jakieś nieprawdopodobne wieści! Jak mogliście do tego dopuścić! Podobno jakiś Mickiewicz pisze wiersze przeciwko nam i woła: Litwo, Ojczyzno moja! Jaka Litwa, czy-

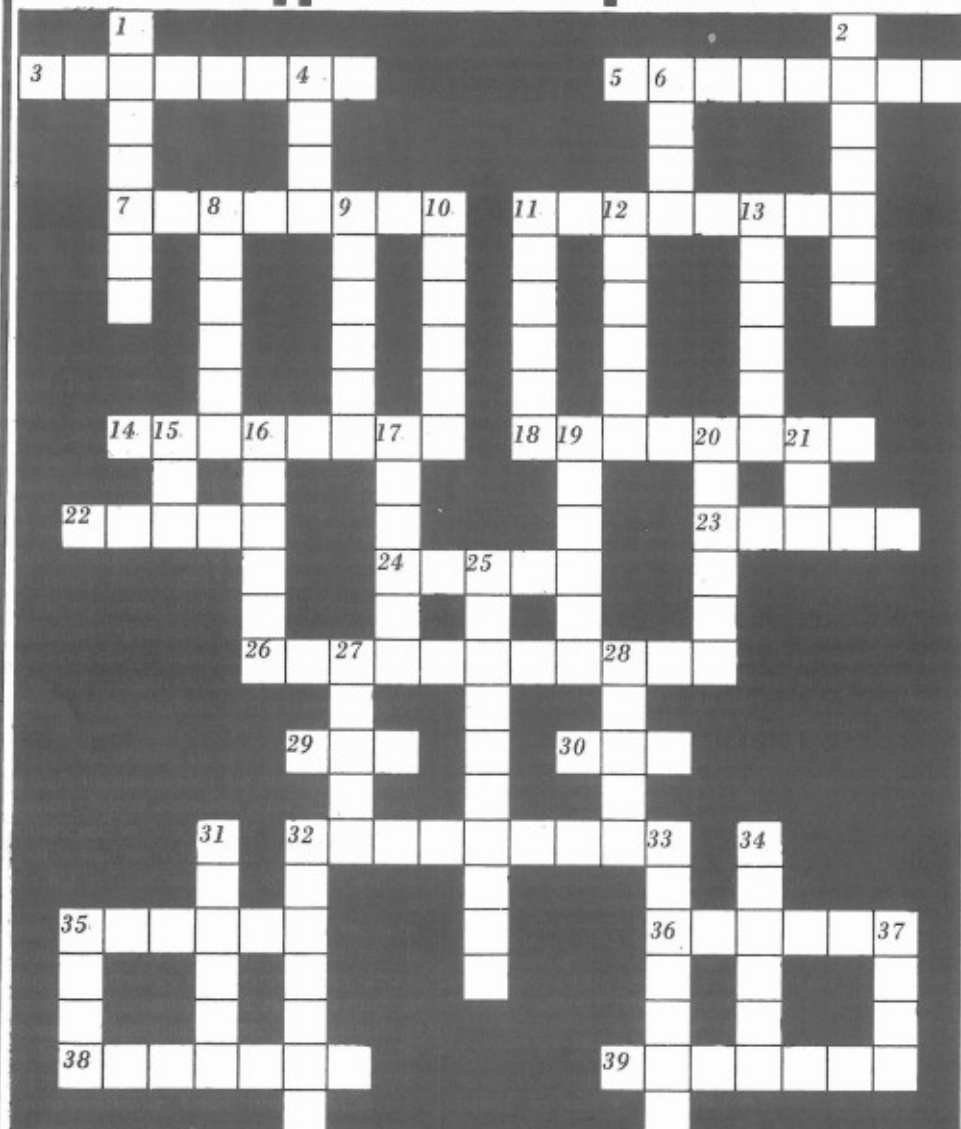
ja ojczyzna, co to znaczy?!

– Zupełnie się z wami zgadzam towarzyszu Pierwszy Sekretarzu, chciałbym tylko zaznaczyć, że Mickiewicz już nie żyje...

– Doskonale – powiedział Czernienko. – Widzę towarzyszu, żeście mnie zrozumieli... ■



Świąteczna antyreżymowa wyprawa krzyżowa



PIONOWO:

1. Siła-Nowicki, znakomity w procesach opozycji. 2. Trutututu..., generał robi inspekcję. 4. Niebezpieczna zmo-wa złych imperialistów. 6. Rodzynki, które wysłałeś do kraju, na pewno się w nim znajdą. 9. Tam, gdzie „Kępy i Moczary”. 10. 300 g wołowego

z kością, 250 g masła, itd., itp... 11. Znana siła antyniebiańska. 12. Ku blondynie, o „dużych niebieskich oczach”, tonącej w morzu, skacze dzielny chwata. 13. „Niebezpieczeństwa” (wyszło przez „on”). 15. Nad nią miasto ze słynnym więzieniem (Region Pom.Zach.). 16. Od starożyt-

ności nawet w tej krzyżówce się nie wymigasz – jedna ze stolic królów perskich. 17. Wałęsa. 19. Gdzie nie tylko rosyjski „miszka” nocuje. 20. W skrócie – wypowiedź Urbana. 21. Miotał prababcie SS-20 i Pershingów. 25. Jeżeli zostaniesz pierwszym sekretarzem i nie wiadomo co nawy-

prawisz, to i tak wiesz, że czeka cię najwyżej... 27. Filka albo Watergatte. 28. Fajnie po kilku głębszych. 31. Lśnią na mundurze jak, za przeproszeniem, psu jaja... 32. Na nią modna fryzura zomowców. 33. Zna-na si... si... siła antysocjalistyczna. 34. Pędzony z owoców smakuje najlepiej. 35. Jak twierdzą w Moskwie, do komunizmu pozostał już tylko jeden... 37. Też coś spokrewnionego z „Kępami i Moczarami”. (l.m.).

POZIOMO:

3. Szuru... szuru... pucuje generałowi trzewiki. 5. Pod pachą Głępa. 7. Gotują w nim polską zupę na Kremlu. 11. Kiszczak móżrzą południowych. 14. „Szable do boju lance w dłoń, bolszewika goń, goń, goń...” 18. Jego znajomość nie jest w milicji ściśle wymagana. 22. ...historii (czasami trzeba na niego trochę poczekać). 23. Rozrzutny Poznaniak, który dostał azyl w Wik. Brytanii. 24. Emigrancka zupa nostalgiczna. 26. Prawdziwa nazwa Katowic. 29. Może być żółty, w Polsce rzadki, pod ścisłą ochroną. 30. Czerwony, ale to było dawno, teraz kończy się na „oń” i jest siłą antysocjalistyczną. 32. Popularny rodzaj dialogu ze społeczeństwem. 35. Sos pomidorowy po „amerykańskiemu”. 36. Jan Rem pieścizotliwie. 38. „Suka” jest jej prawnuczką. 39. Ruskie oczywiście.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 30 stycznia 1985 roku. Decyduje data stempla pocztowego.

Osoby, które nadeślą prawidłowe rozwiązania brać będą udział w losowaniu 10 nagród książkowych (wyd. emigracyjne).

W konkursie nie mogą brać udziału członkowie redakcji „Poglądu” oraz ich rodzin.

Rechtsweg ausgeschlossen. ■

W Warszawie mówi się, że ustawę antyalkoholową opracowało podobno dwóch generałów: Oliwa i Żyto... ■

Do pociągu jadącego do Krakowa wchodzi dwaj mężczyźni i siadają w przedziale, gdzie znajduje się już jakiś podróżny. Patrz na niego i poznaj – to Urban!

– Cóż to za mała – mówi jeden.

– O kim panowie mówią? – pyta Urban.

– O Jezuu! – woła drugi – Popatrz tylko... Mówi!!! ■



PIĘĆ PRZYKAZAŃ SOCJALISTYCZNYCH:

1. Nie myśl.
2. Jeżeli myślisz, to nie mów.
3. Jeżeli myślisz i mówisz, to nie pisz.
4. Jeżeli myślisz, mówisz i piszesz, to nie podpisuj.
5. Jeżeli myślisz, mówisz, piszesz i podpisujesz – to się nie dziw. ■

ZUŚMIECHEM
PRACUJE SIĘ LEPIEJHoroskop
(NA WIOSNĘ)

BARAN 21. III - 20. IV
Nie obawiaj się sąsiada z góry. On tylko wygląda na ubeka.

BYK 21. IV - 20. V
Czeka Cię daleka podróż, ale na szczęście nie w tym kierunku, nie musisz kupować nauksniaków.

BLIŹNIĘTA 21. V - 22. VI
Łatwo uporasz się z trudnościami. Najwięcej kłopotu sprawi Ci kupno butów. Ale tuż po Bożym Narodzeniu i ten problem rozwiąże pomyślnie paczka z Ameryki.

RAK 23. VI - 23. VII
Padniesz ofiarą pomyłki. Zamiast po sąsiada przyjdą po Ciebie. Nie przejmuj się. Święta Wielkanocne spędzisz z rodziną. ■



WIELKA ZIEMIA

Wspomnienia generała Rypały
(dokończenie)

je nozdrza podrażnił zapach kawy i dobrych papierosów. Wróciło uczucie z samochodu. Zdjęto mi opaskę, więc rzuciłem się do okna. Niestety, też było zamknięte. Na szczęście szybko orzeźwiło mnie gwałtowne uderzenie w tył głowy. I wtedy dostrzegłem spokojną, skupioną twarz pochylonego nad biurkiem Stalina. Przeglądał jakieś papiery. Nie podnosząc wzroku rzucił: „Nu, szto?”. „Nu, nicziewo” – odpowiedziałem odruchowo. „Wsio charaszo?” – padło drugie pytanie. „Oczień charaszo!” – odparłem. I wtedy Stalin podniósł głowę. Przeszył mnie badawczym spojrzeniem i powiedział: „Zenonie Edmundowiczu, wasza godzina wybiła.” Zdrętwiałem⁵. Stalin uśmiechnął się dobrotliwie, kazał służbie posprzątać i mówił dalej: „Jutro zorganizujecie I Zjazd ZPP. Wszystkie uchwały i przemówienia dostaniecie przy wyjściu. Delegatów dowiezie wam NKWD i GPU. A cztery miesiąc polietitie na rodzinu” – dodał. „Ale ja nie mam rodziny” – powiedziałem nieśmiało. „Rodina, to po waszemu: otczizna” – wyjaśnił łagodnie Józef Wisarionowicz – „Macie jakiejś pytania?” „Nie – odrzekłem dziarsko. „No to paszoł won!” – ryknął znieścaka. Do dziś nie wiem, jak znalazłem się z powrotem w hotelu...

Nie minął tydzień od mojej rozmowy z Wielkim Przywódcą Narodu Radzieckiego, a byłem już gotowy do podróży. Mój ekwipunek stanowiły: radiostacja, księga szyfrów, spis adresów, nazwisk i kontaktów, pepesza, skrzynka amunicji, wiązka granatów, browning, bomba zegarowa, 1,5 t. trotylu, detonator,

szczyroryk, busola, sznurek szpagat, klucz do rozkręcania torów, peruka, sztuczne wąsy, sztuczna szczęka, sztuczne oko, otwieracz do konserw, korkociąg, 4 l. spirytusu, oficerki, sandały⁶, zegarek kieszonkowy⁷, ołówek kopiowy, zestaw niemieckich dokumentów na nazwisko Juergen Kischtschak, „Rozmówki polsko-niemieckie” (wyd. Gebethner i Wolf, Warszawa 1938 r.⁸, worek sucharów, lampa naftowa, świeca dymna, jodyna, krople żołądkowe, plaster na odciski, lusterko, zestaw do golenia, 2 rolki papieru toaletowego, szczoteczka do zębów, dzieło Lenina „Krok naprzód, dwa kroki wstecz”, przewodnik po ziemi łowickiej⁹, śpiewnik pieśni rewolucyjnych, odlane w brązie popiersie Karola Marksa, rulon fałszywych dolarów, parasol i spadochron.

Na lotnisku Wnukowo zęgnali mnie wylewnie członkowie ZPP i NKWD. Wystartowaliśmy punktualnie. Po trzech godzinach lotu I pilot wstał od sterów, otworzył klapę w podłodze i wypchnął mnie wraz z bagażem wołając: „Pociągnij za rączkę!” Pociągnąłem, ale okazało się, że spadochron został chyba w samolocie. Przerazony zacząłem gorączkowo przetrząsać bagaż. Niestety, odkryłem, że znikł także zegarek, fałszywe dolary i popiersie Karola Marksa¹⁰. Cóż było robić? Otworzyłem parasol i wylądowałem w zaspie. Zdziwiło mnie to, bo mieliśmy przecież koniec maja, a jak pamiętałem sprzed wojny, śniegu u nas o tej porze roku nie bywa. Krajobraz też nie przypominał Mazowsza, lecz opusz-

czony niedawno obóz pracy¹¹. Zarzuciwszy worek na plecy i brnąc po pas w śniegu ruszyłem przed siebie. Po drodze natrafiłem na jakieś tory, które na wszelki wypadek rozkręciłem. Po dwóch dniach marszu torami natrafiłem na małą stację kolejową. Zaczepiłem na peronie jakiegoś kolejarza i spytałem o pociąg do Warszawy. Ten jednakże tylko wytrzeszczył na mnie oczy i znikł w jakichś drzwiach. Zacząłem szukać rozmówek, ale były na samym dnie worka, więc musiałem wszystko z niego powyjmować. Właśnie doszedłem do bomby zegarowej, gdy otoczyło mnie znieścaka kilkunastu żołnierzy z nasadzonymi na broń bagnietami. Serce podeszło mi pod gardła¹², ale z ulgą dostrzegłem, że nie byli to Niemcy, lecz Rosjanie. „Towariszczi, zdrastwujtie!” – powiedziałem radośnie, na co otrzymałem cios kolbą w głowę i usłyszałem: „Wot sobaka, giermańskij szpion!”

Ogarnęła mnie ciemność. ■

11 twórczej

12 i żołądek też

W PODGLĄDACH
wykorzystano
podziemną prasę
polską

Do domu towarowego przyszedł zajączek i pyta:

– Proszę pani, czy są żarówki?

– Nie ma!

To przepraszam – powiedział zajączek i wyszedł, ale po chwili wrócił:

– Proszę pani, a może są żarówki?

– Powiedziałam ci już, że nie ma – krzyknęła zdenerwowana sprzedawczyni. – Jeżeli jeszcze raz będziesz pytał o to samo, to przybiję ci uszy gwoździami do ściany...

Przerazony zajączek uciekł ze sklepu, ale po kilku minutach zjawił się znowu i pyta:

– Proszę pani, czy są gwoździe?

– Nie ma!

– A żarówki?... ■

6 dla niepoznaki

7 z portretem Kościuszki na kopercie

8 w twardych okładkach

9 z mapką i objaśnieniami

10 brakowało też 4 l. spirytusu

5 i popuściłem

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. —zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obronę praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd” — „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia	2,5 \$A
Austria	30 Ö S
Belgia	85 bfr
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	2,5 \$
Wielka Brytania	1,2£

PRENUMERATA

RFN:

kwartalna	DM 27,-
półroczna	DM 52,-
roczna	DM 100,-
Kraje europejskie:	
półroczna	DM 54,-
roczna	DM 104,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 72,-
roczna	DM 140,-
Australia:	
półroczna	DM 82,-
roczna	DM 160,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BZL 100 500 00

lub
Postcheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postcheckamt
1000 Berlin (West)

Konto dla prenumeratorów
w Szwajcarii:

Postcheckkonto
80 - 27830 Zürich
(Abo - „Pogląd”)

ogłoszenia z terenu Szwajcarii
przyjmuje redakcja
w Glattzentrum

Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak

Adres redakcji:

„Pogląd”
Postfach 62 02 24
D-1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84

Oddział redakcji „Poglądu”
w Szwajcarii:

CH-Glattzentrum 83 01
Postfach 392
Tel. 01/821 34 54

Redaktor odpowiedzialny:
W.J. Jawczak-Wolnicki

Wszelką korespondencję, informacje, materiały, ogłoszenia i reklamy z terenu Szwajcarii przyjmuje oddział redakcji w Glattzentrum.

Przedstawiciele, korespondenci
i kolporterzy „Poglądu”

Stanisław Brodnicki, Clarenberg
12, 4600 Dortmund 1; Jerzy Janowski, Strassenbergstr. 9, Zim. 429 C, 8000 Muenchen 40, tel. 089/351 07 33; Lech Jarmuła, Gropiusring 19, 2000 Hamburg 60, Tel. 040/631 47 82; Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti St., New Muckleneuk, Pretoria 0181, RPA, Tel. 012/46 75 96; Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Schweden, Tel. 08/742 14 57; Anatol Kobylński, Landesbergerstr. 205, 8000 Muenchen 21, Tel. 089/570 51 47; Andrzej Kowalczyk, 23 rue Pernety, 75014 Paris, Tel. 1/545 92 90, 1/7780345 Frankreich; Zygmunt Kuciej, Emdenerstr. 9, 6230 Frankfurt 80, Tel. 069/385975; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/856 74 15; Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond St. Bentley, 6102 Australia, Tel. 09/3505094; Mirosław Marecki, P.O.Box 605A, Holand, MI 49423 Tel. 616/396 62 07, USA; Marek Poliwski, Bachemerstr. 27, 5000 Koeln 41, Tel. 0221/40 71 61; Jacek Werocny, Adalbertssteinweg 207, 5100 Aachen, Tel. 0241/50 85 52.

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzeżenie prawa skracania nadestanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Tomasz Jastrun
**ZAPISKI
Z BŁĘDNego KOŁA**

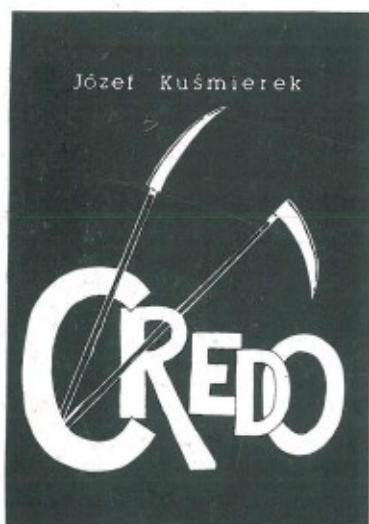
Cena DM 8,-



Józef Kuśmierek
**POLSKA
a
ZACHÓD**
czyli
**OCZEKIWANIE
NA POMOC**

Pogląd

Cena DM 12,-



Józef Kuśmierek

CREDO

Cena DM 8,-



W. M. ALEXANDER

**PANSTWO
POLICYJNE**

Pogląd

Cena DM 12,-

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH NA ZACHODZIE ORAZ
W REDAKCJI „POGLĄDU”



OFFSETDRUCKEREI
Hans-Jürgen Wichmann
Askanierring 155-156 - 1000 Berlin 20

Cena DM 5,-